

Joanna Lamparska

zdjęcia: Krzysztof Góralski



TAJEMNICZE PODZIEMIA

ASIA PRESS s.c.
WROCLAW 2000

Okladka, zdjęcia, reprodukcje: Krzysztof Góralski

Redaktor: Zyta Kwiecińska

Na okładce: Zalane sztolnie Złotego Stoku

© Copyright by Joanna Lamparska, Wrocław 2000



ISBN 83-911564-2-7

WYDAWNICTWO

ASIA PRESS s.c.

50-983 Wrocław 15
skr. poczt. 212

informacje handlowe:
tel. 0603 39-81-77

Skład: Studio wydawniczo-poligraficzne **TArt**, Wrocław
Druk i oprawa: Drukarnia „DELTA”, Wrocław

Na wstępie schodzimy do podziemi

Stałam po pas w wodzie w ogromnej, podziemnej hali. Przed chwilą dla zabawy zapaliłam kilkanaście świec, które pływały teraz na kawałkach styropianu. Było pięknie i romantycznie, spokój mąciła tylko myśl, że nad głową mam ze czterdzieści metrów skały. Ciekawe, ile to ton? – przemknęło mi przez głowę, kiedy uświadomiłam sobie, że ta skała w każdej chwili może się zawalić. Od 55 lat nikt tu niczego nie konserwował, o nic nie zadbał. Wprost przeciwnie. Podziemia regularnie odwiedzali amatorzy mocnych wrażeń. Niektórzy, tak jak ja, po prostu brodzili w wodzie, inni mieszkali na skalnych wyspach nawet kilka dni. Ale byli i tacy, którzy licząc na odnalezienie wielkich skarbów pruli kruche już ściany, poszerzali podziemne przejścia, zabierali z sobą fragmenty belek. Cierpliwość podziemi zaczęła się kończyć. Najpierw odrywały się pojedyncze kamienie, potem zawałyły się całe sztolnie. Zalane podziemia, w których teraz stałam, to wnętrze Włodarza w Górach Sowich. W czasie II wojny światowej Niemcy drążyli tu potężne hale o nieznanym do końca przeznaczeniu. W 1945 roku porzucili niedokończoną budowę. Z czasem sztolnie obrosły tajemnicą i przyciągały coraz więcej osób. Dochodziło do wypadków.

Tydzień po mojej wizycie we Włodarzu, do środka weszła kolejna grupa. Kiedy po kilku godzinach penetrowania korytarzy chcieli wyjść, okazało się, że nie ma którejdy. Wejście się zawaliło. Kolejne kilka godzin zajęło odgruzowywanie. Tym razem przygoda skończyła się szczęśliwie. Nawet gdyby było inaczej, i tak nikogo by to nie odstraszyło. Podziemia, podobnie jak stare zamki, pałace, parki, mają w sobie coś niezwykłego. Rzadko można spotkać człowieka, który widząc wejście

do sztolni ominie je obojętnie. Bo czy jest ktoś, kogo nie pociąga tajemnica? Chyba nie. Stąd pomysł tej książki.

Tajemnicze podziemia. Przewodnik po lochach, sztolniach i jaskiniach to propozycja zejścia do podziemi Dolnego Śląska. W całej Polsce nie ma rejonu, w którym ziemia, tak jak tutaj, przypominałaby szwajcarski ser. Zaczęła sama Natura. Tysiące lat temu stworzyła przepiękne jaskinie, z których część odkryto dopiero niedawno. Potem pojawili się poszukiwacze złota i minerałów. Z czasem zastąpili ich profesjonalni górnicy. Po nich właśnie zostały malownicze kopalnie złota w Złotoryi i Złotym Stoku.

Liczne, przechodzące przez Śląsk wojny sprawiły, że władcy wznosili twierdze, które miały niekiedy kilkanaście podziemnych kondygnacji. Z nimi związane są opowieści o ukrywanych skarbach, nocnych transportach, zamordowanych świadkach tamtych wydarzeń. Mimo że pozostała liczna dokumentacja, do dzisiaj eksploratorzy nie potrafią odnaleźć zaznaczonych na mapach korytarzy i pomieszczeń. Są bezbronni wobec potężnych zawałów, ścian zniszczonych prawdopodobnie przez tych, którzy chcieli jak najdłużej uchronić skarby. Wiele emocji wzbudzą też największe, dolnośląskie dziury – te w Górach Sowich. Ich ogrom przerasta wszelkie wyobrażenia. Zalana hala we wnętrzu Włodarza, o której już wspomniałam, ma kilkadziesiąt metrów średnicy. W środku zmieściłby się z tuzin domków jednorodzinnych. Aby wydrążyć tego olbrzyma, Niemcy poświęcili życie tysięcy jeńców. Co warte było takiej ceny? Takie pytania cisną się na usta każdego, kto tu wejdzie. Kilkadziesiąt lat po wojnie ciągle nie potrafimy na nie odpowiedzieć. Nie wiemy też, co naprawdę znajduje się w pomieszczeniach, o których wspominają świadkowie, a których brakuje w rzeczywistości. Ostatnie lata wojny to wielka akcja ukrywania dzieł sztuki, zbiorów muzealnych, kolekcji prywatnych zbieraczy. Na listach miejsc ich ukrycia pojawiają się przede wszystkim sztolnie, ale i podziemia zamków i pałaców. Czy dlatego w tak wielu zabytkach nieoczekiwanie zabrakło piwnic?

Nie wiemy też, jak duże są naprawdę kopalnie, które zostały po Rosjanach. W 1947 roku zaczęli wydobywać na Dolnym Śląsku uran. Teoretycznie mogłoby z niego powstać 200 głowic jądrowych. Mimo że te uranowe podziemia ciągle wzbudzają strach, jak wszystko co zakazane, przyciągają poszukiwaczy. Bo te wszystkie korytarze, tunele, komory, studnie, hale, bez względu na to, w jakim celu zostały wydrążone, mają po prostu swój urok. Znam nawet amatorów urody poradzieckich

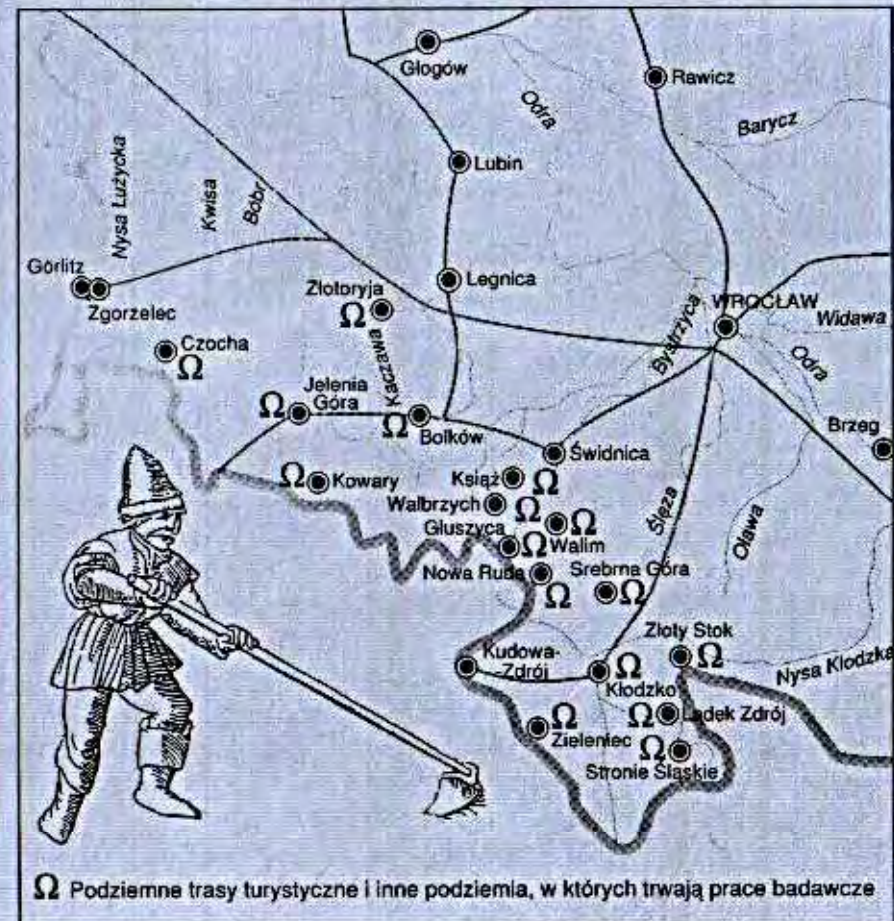


Podziemia Włodarza w Górach Sowich

schronów, których również nie brakuje na Dolnym Śląsku. A skoro komuś może podobać się siermiężny schron, to na pewno wszyscy zachwycą się malowniczymi podziemiami Kłodzka czy ukrytym w sztolniach Złotego Stoku wodospadem. Trudno się więc dziwić, że większość podziemi, tych udostępnionych do zwiedzania, odwiedzają rocznie setki tysięcy turystów.

Do wędrowki po wnętrzu ziemi musicie się zawsze przygotować. Nawet w upalny dzień temperatura pod ziemią jest stała. W sztolniach Gór Sowich waha się w granicach 5-6 stopni C, w jaskiniach jest tylko nieco wyższa. Dlatego dobrze mieć z sobą ciepły sweter. Podziemne trasy turystyczne są świetnie zabezpieczone; bez problemu można tu przyjechać z dziećmi. Natomiast jeśli wybieracie się gdzieś sami, pamiętajcie o wygodnym, nieprzemakalnym obuwiu i latarkach. Nigdy nie penetrujcie nieznanego sztolni bez zabezpieczenia. To naprawdę nie są żarty. Na filmach wygląda to zawsze bardzo prosto. Obwieszona linami i innym specjalistycznym sprzętem ekipa schodzi do podziemi i odkrywa coś niezwykłego, na przykład skarb, tajemnicze przejście bądź naskalne rysunki. Rzeczywistość jest bardziej prozaiczna. Kamienie są wilgotne, w wąskiej szczelinie łatwo się zaklinować, a w starych budowalach czyhają pułapki. Na dnie głębokich, niewietrzonych studni brakuje powietrza. W zalanych korytarzach łatwo przewrócić się na leżących pod wodą deskach. Ale takie „niespodzianki” czyhają tylko na ryzykantów bez fantazji. Ponieważ ja też należę do osób, które zawsze idą tam, gdzie diabeł nie może, rozumiem żądzę przygody, ale wiem również, że ryzyko da się ograniczyć do minimum. Poza tym „normalne” zwiedzanie sztolni może być również fascynujące. Tym bardziej że większość podziemi upiększono dla turystów. W Kowarach, w korytarzu tuż obok dawnej kopalni uranu, spotkacie św. Barbarę. W Walimiu znajduje się kolekcja broni i ekran, za którego pośrednictwem można oglądać niedostępne pomieszczenia. W Jaskini Niedźwiedziej gra świateł sprawia wrażenie zejścia do zupełnie odrealnionego świata. W Osówce od czasu do czasu gra kwartet smyczkowy. Bez względu, gdzie zejdziecie do wnętrza ziemi, czeka na Was jakaś niespodzianka.

W *Tajemniczych podziemiach* opisałam podziemia, których zwiedzanie nie wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem bądź zostały już przekształcone w trasy turystyczne. Wspomniałam też o legendarnych, właściwie nieznanym podziemiach Wrocławia i Jeleniej Góry. Mimo że ich najciekawszych fragmentów nikt nie potrafił odnaleźć, ciągle są najwięk-



szym marzeniem poszukiwaczy. Pewnie jeszcze długo będziemy czekać, zanim ktoś odkryje sławne, wrocławskie metro. Na razie więc wejźmy do podziemi już odkrytych. Zaczynamy od złota i kopalni, które zostały po jego poszukiwaczach.

Zmarli w złocie pochowani

*O dwóch rycerzach zamienionych w wilki * Czy naprawdę istniały krasnoludki? * Nadchodzą kreteńscy kopacze * Mnich przeklina górników * Tunel pod cmentarzem * Niemieckie skarby w kopalni * Ojciec Aurelii błąka się po sztolniach*

Wyobraźcie sobie pokrytą gęstym lasem górę. Na jej szczycie wznosi się ponura budowla. Grube i ciemne ściany wręcz ostrzegają, żeby się tam nie zbliżać. Być może tak właśnie wyglądała siedziba bohaterów *Wichrowych wzgórz* Emily Brontë, w których namiętność, tragedia i burze przywołujące duchy były codziennością? W warowni, którą teraz widzicie, było podobnie. Nikt dokładnie nie wiedział, co dzieje się w środku, ale i nikt się tym specjalnie nie interesował. Był XII, może XIII wiek, ludzie w obawie o swoje życie nie wychodzili po zmroku z chat. Ci szczególnie ciekawscy widzieli tylko, że każdego wieczora przy bramie zamku zapalały się pochodnie. Dwa światełka wiodły w dół zamaskowanych jeźdźców. Dwaj bracia, Bruno i Wat, dawno już porzucili rycerski stan i zajęli się rabowaniem podróżnych. Nikt nie wiedział, skąd pochodzili i kim byli ich rodzice. Wiedzano jedynie, że ich matka mieszkała gdzieś w dalekich krajach, a oni sami byli szlachetnie urodzeni. Od miesięcy grasowali w okolicy, zamieniwszy swój dom na wielki, splamiony krwią skarbiec.

Tej nocy również ruszyli na łowy. Zbliżały się święta, kupieckie karawany ciągnęły drogocenne towary, wracający w rodzinne strony ludzie wieźli prezenty dla bliskich. Bruno i Wat zaczęli się przy drodze do Złotoryi. Nie czekali długo. Akurat była pełnia. Księżyc oświetlał każdy zakątek lasu, dokładnie więc zdążyli się przyjrzeć dwójce

spóźnionych podróżnych, którzy poganiając konie wyłonili się z zagajnika. Na ogół rabusie nie wahali się ani chwili, teraz jednak poczuli dziwny niepokój. Być może dlatego, że jednym z jeźdźców była kobieta. Bracia widzieli już wiele, ale dama o tej porze, na tym odludziu, odziana do tego po męsku i jak mężczyzna podróżująca konno? To było co najmniej dziwne...

Żaden z rabusiów nie odważył się jednak podzielić obawami z bratem. Po krótkim wahaniu zaatakowali. Kobieta nawet się nie bronila, jej towarzysz zaskoczony atakiem zdołał tylko zasłonić się ręką. Zmarli cicho, nie zdążywszy przyjrzeć się twarzom oprawców.

Bruno wprawnym ruchem okiełznał konie, a Wat przeszukiwał ubrania podróżnych. W ostatniej chwili zauważył, że kobieta ma przywiązane do nadgarstka jakieś zawiniątko. Przeciął sznurek i bez zastanowienia wrzucił pakunek do torby. Krzyknął na brata i szybko odjechali do zamku.

Ludzie w okolicy często zastanawiali się, co panowie ze szczytu góry robią ze zrabowanymi pieniędzmi. Nigdy prawie nie pokazywali się we wsi, niczego nie kupowali, nikt ich nie odwiedzał. Szeptano, że całe złoto, kamienie, tkaniny leżą w nieładzie w zamkowych komnatach, a zrabowanymi księgami bracia palą w kominkach. Było w tym wiele prawdy. To tak, jakby rycerze upajali się krwią swych ofiar, za nic mając bogate łupy. I tym razem rabusie tylko przejrzyli niewiele warte drobiazgi, i już mieli się rozejść do swych komnat, gdy Wat przypomniał sobie o zawiniątku, które w ostatniej chwili zabrał kobiecie. Przyniósł szmatkę i rozwinął bez zbytniego zainteresowania. W środku był nieco pognieciony list. Bruno wziął go do ręki, nachylił się do kominka i w blasku ognia zaczął powoli czytać.

„Do moich kochanych dzieci” – tak zaczynało się pierwsze zdanie kreślone delikatnym, kobiecym pismem – „Drogi Bruno i ty umiłowany Wacie. Ponad dwadzieścia lat czekałam, aby wyznać Wam, że macie młodszą siostrę. Ona właśnie przybywa do Was ze swym mężem i przekaże Wam to pismo...”. Bruno nie mógł czytać dalej. Krew uderzyła mu do głowy. Ogień z kominka zdawał się ogarniać nie tylko jego ciało, ale i cały pokój. Ciężki stół biesiadny zaczął poruszać się, jakby popychany niewidoczną siłą, murami wstrząsnął huk, a od ścian jeden za drugim odrywały się kamienie. Pośrodku sali otworzyła się czełuszc, która w kurzu i huku walących się ścian pochłaniała zamek. Bracia po raz pierwszy w życiu poczuli strach. I nie był to strach przed

śmiercią, która mogła być tylko wybawieniem, ale przed karą, która miała ich teraz czekać za zamordowanie siostry. Bo choć rycerze nie odróżniali już dobra od zła, kiedyś mieli łagodne serca. Na dnie tych serc poczuli, że kara będzie straszna. I tak się stało.

Ciało Wata, a za chwilę Bruna pokrywać zaczęły zwierzęce włosy. Policzki zginęły pod gęstym zarostem, a zęby zamieniły się w kły. Rycerze przestali istnieć. W walącym się zamku narodziły się dwa wilkołaki. Od tej pory mieszkańcy pobliskiej osady przestali widywać co wieczór przemykające się pochodnie.

Następnego dnia, kiedy opadły poranne mgły, ze zdumieniem stwierdzono, że na górce nie ma już warowni. Zapadła się pod ziemię razem ze wszystkimi skarbami. Górę nazwano Wilczą, odważniejsi zaś mówili i mówią na nią do dziś Wilkołak. Wilczy bracia zaś zaczęli ukazywać się tym, którym świat przesłaniało zło i pieniądze. A takich było tu wielu.

W tym czasie Złotoryja słynęła swoimi kopalniami złota. I choć cenny kruszec kopano jeszcze w Mikołajowicach, Złotym Stoku, Strzegomiu, Czernicy w powiecie w jeleniogórskim i we Lwówku – kopalnia pod Złotoryją była najbogatsza. Z niektórych źródeł wynika, że w ciągu tygodnia wydobywano tu około 5 kg złota. Śmiało można nazwać tę okolicę średniowiecznym Eldorado.

Inne dane podaje jeden z badaczy, według którego w okresie rozkwitu górnictwa od 1180 do 1240 roku uzyskiwano tu od 24 do 48 kg złota rocznie. Czy to dużo, czy mało? Jak pisze Hubert Sylwestrzak w książce *Złoto w przyrodzie i dziejach*: „Średnia zawartość złota w skorupie ziemskiej wynosi około 0,004 grama na tonę. Oznacza to, że w jednej tonie skały (czyli w bloku skalnym o rozmiarach 1 x 1 x 0,3 m) tkwi złoty pyłek o średnicy kilku mikrometrów. Jeśli procesy geologiczne zwiększą zawartość złota tysiąckrotnie, to przy odpowiednio dużej kubaturze miejsce, w którym koncentracja taka nastąpiła, stanie się złożem złota. Tak niska zawartość metalu w złożu oznacza, że aby uzyskać 4 gramy złota, trzeba wydobyć, nieraz z wielkiej głębokości, tonę skały, skruszyć ją, a następnie zemleć na pył, potraktować odpowiednią porcją roztworu lugującego, a pozostałość wywieźć na hałdę”.

Tona skały i 4 gramy złota! Tyle, ile mieści się w tyżeczce od kawy! Wyobrażacie sobie, jaka to praca wyrwać z ziemi kilkadziesiąt kilogramów złota? Często więc zdarzali się tacy, którzy dla niego tracili życie bądź zabierali je innym. Wielu mówiło, że chociaż kruszec to naj-

cenniejsza rzecz, to tak naprawdę jest przeklęty. Inna sprawa, że przeklinali go przede wszystkim ci, którzy go nie mieli.

Właściwie nie wiadomo dokładnie, kiedy rozpoczęła się eksploatacja złota w rejonie Złotoryi. Podobno, tak jak w innych rejonach Śląska, pierwsza fala poszukiwaczy przeszła przez ten obszar około 2000 lat p.n.e. Wtedy w okolicy pojawili się przybysze z Krety, gdzie kwitło górnictwo. Jak pisze Hubert Sylwestrzak¹: „Mówiły o tym legendy o Daktylach – «Paluszkach», ludziach niskiego wzrostu, wydobywających skarby na zboczach góry Ida; mówiły o tym także dowody archeologiczne – miedziane kilofy z czasów wczesnominojskich. Podobne kilofy znajdowano w licznych miejscach w Europie, wiek tych znalezisk określano na 2500-2000 lat p.n.e. Charakterystyczne jest, że forma tych kilofów była kretańska, natomiast miedź, z której były wykonane, pochodziła ze złóż karpacczych. Świadczy to, że kretańscy górnicy rozeszli się po Europie w poszukiwaniu złóż metali. W bardzo odległym rejonie Europy, w reńskich Górach Łupkowych, znaleziono stare wyrobiska o bardzo małych rozmiarach (szybiki średnicy 50 cm, sztolnie wysokości 90 cm i szerokości 50 cm). W tradycji ludowej wielu krajów Europy pozostały legendy o krasnoludkach, karzelkach szukających skarbów. Legendy te były oddźwiękiem kretańskich podań o Daktylach. Tradycje te przetrwały i na Śląsku, uosobieniem górnika był Karlik; wbrew powszechnemu przekonaniu nie chodziło tu tylko o popularne imię, było to nawiązanie do karla – poszukiwacza podziemnych skarbów”.

Szyby w okolicach Złotoryi też z początku były małe. Mniej więcej w VI wieku n.e. przybyli tu Celtowie, ale tak naprawdę rozkwit górnictwa to przełom XII i XIII wieku. Roboty górnicze rozpoczęto już około XI wieku, kiedy to osada nazywała się Kopacze – od kopających złoto ludzi. Do złotonośnych piasków dostawano się poprzez kopanie rowów o średnicy 2-3 m. Doły kończyły się komorami nachylonymi zgodnie z przebiegiem złotej warstwy. Urobek transportowano na górę i tam powoli przesiewano. Aż trudno sobie wyobrazić, jak żmudna musiała to być praca. Jak się dzisiaj przypuszcza, koncentracja złota w hałdach z okolic Złotoryi wynosiła około 2 gramów na tonę, czasami – jed-

¹ *Złoto w przyrodzie i dziejach* H. Sylwestrzaka, wydana przez „Wiedzę i Życie” w 1997 roku, to niezwykle ciekawa książka o eksploracji złota na przestrzeni wieków. Jak pisze sam autor, złoto jest bardziej namiętnością niż towarem i dlatego opisywanie go jest zarazem tak trudne, jak i fascynujące.

nak wyjątkowo rzadko – zdarzało się 15 gramów. Niekiedy trafiano na samorodki wielkości ziarna grochu.

Piaski złotonośne zostały przetransportowane w te okolice przez wody Kaczawy i Bobru około 65 milionów lat temu. Kopano wszędzie. Jedynym miejscem, które zostawiono na razie w spokoju, był cmentarz na Górze Świętego Mikołaja. Utało się nawet powiedzenie, że „złotoryjanie grzebią swoich zmarłych w szczerym złocie”.

Zarówno górników, jak i osadników doglądał z zamku w pobliskiej Rokitnicy książę Henryk Brodaty, panujący tu przez 37 lat, do 1238 roku. Mąż Jadwigi, późniejszej świętej, popierał poszukiwania złota. Ściągał więc w te okolice kupców, rolników, rzemieślników i oczywiście górników. W ten sposób powstała najpierw osada górnicza na Górze Świętego Mikołaja, a potem wieś, która otrzymała nazwę Aurum. A aurum to po łacinie złoto. A że nie były to czasy równości, wszelkie surowce mineralne, m.in. złoto, srebro i miedź, należały do księcia. Prawo górnicze mówiło, że własnością panującego jest wszystko, co znajduje się w ziemi poniżej zagłębienia się ostrza pługa. Oprócz tego wieśniacy mieli obowiązek goszczenia i żywienia władcy oraz całej jego świty, jeżeli akurat raczyli zjawić się w okolicy. Najważniejsze jednak było złoto, wydobywane w średniowiecznej Polsce tylko na Śląsku. A dla Śląska, złota i Złotoryi przełomem miał być rok 1211. W okolicy masowo napływali niemieccy górnicy. Powierzchniowe zasoby złota zaczęły się wyczerpywać. Złóża zalegały na głębokości nawet 50 m, trzeba więc było ryc szyby i chodniki. Praca miejscowej ludności nie była już wystarczająca. Teraz potrzebni byli profesjonaliści. Ci coraz częściej pracowali na własny rachunek, a księciu, podobnie jak i właścicielom ziemi, na której prowadzili eksplorację, płacili po prostu daninę.

Złotoryja kwitła. W 1217 roku usłyszano o niej nawet w Watykanie, gdzie jako do ostatniej instancji trafił spór pomiędzy dwoma tutejszymi proboszczami. Dwadzieścia cztery lata później, w kwietniu sławnego roku 1241, górnicy stanęli pod Legnicą wraz z Henrykiem Pobożnym do bitwy z Tatarami. Prawdopodobnie walczyło około 500 kopaczy, którzy uzupełnili pierwszy oddział wojsk polskich, otoczony później i rozbity. Wielu górników zginęło, podobno wielu – choć nie ma na ten temat potwierdzonych informacji – wzięto do niewoli. Dwanaście lat po bitwie pewien franciszkański misjonarz spotkał nad Morzem Kaspijskim górników z dalekich krajów. Ale czy byli wśród nich złotoryjanie, tego się dziś już nie dowiemy. Tak czy nie, bitwa pod Legnicą była poważnym

ciosem dla tutejszego górnictwa. Poza tym w dość szybkim tempie zaczęły wyczerpywać się złoża. Jeszcze w połowie XIV wieku, dokładnie około 1352 roku, odkryto w okolicy Mikołajowic i Wądroża Wielkiego nowe zasoby cennego kruszcu, które spowodowały krótkotrwałą, średniowieczną gorączkę złota. Błyszczący piasek kopało tysiące górników, w samych Mikołajowicach było ich około 15 000. Efekty okazały się znakomite. Tak jak niegdyś, w ciągu kilku dni eksplorowano kilogramy złota. Hossa nie trwała jednak długo. Po 30 latach ziemia przestała się błyszczeć i w 1380 roku szukanie złota było tylko wspomnieniem. Co prawda jeszcze w 1404 roku proboszcz z Pragi podjął próbę odwodnienia nieczynnych kopalń, ale nic to nie dało. Pozostały tylko barwne na-



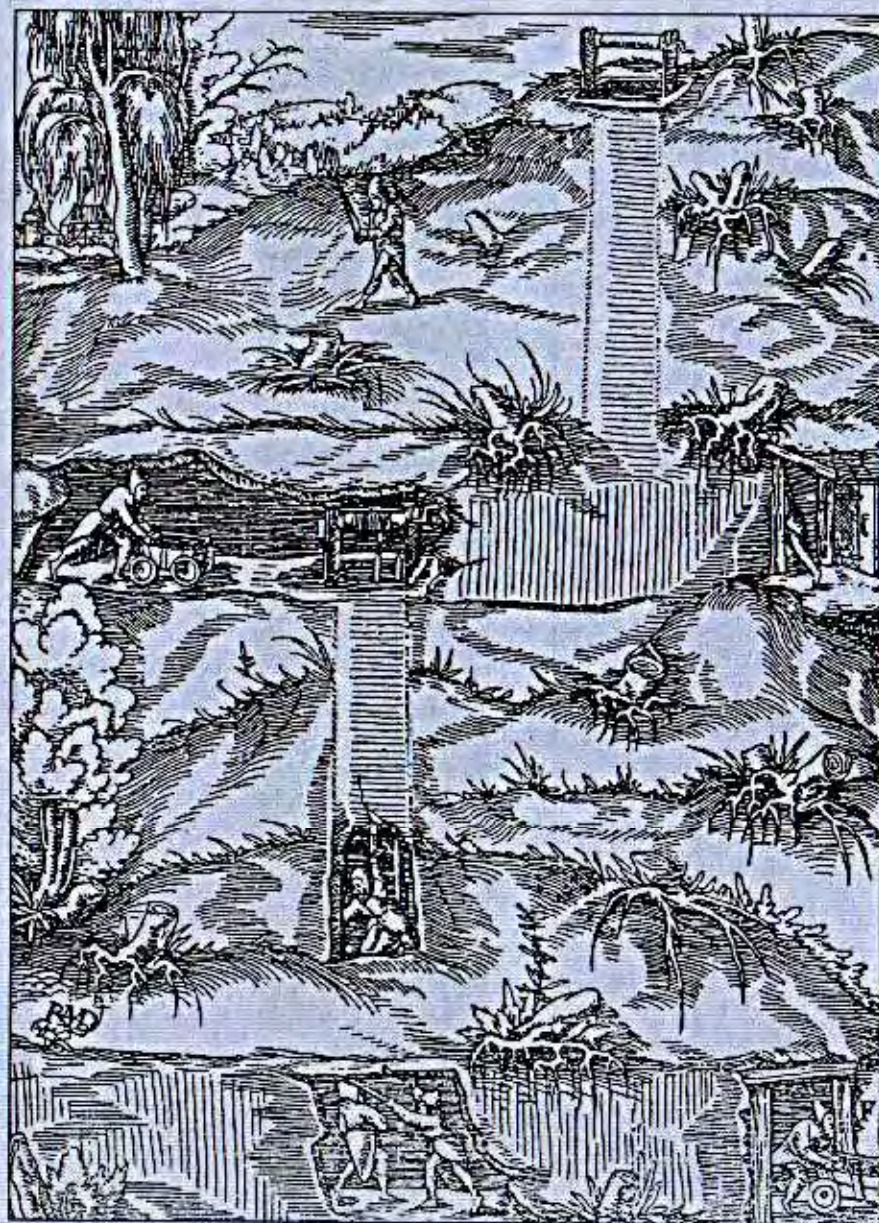
W średniowieczu górnicy wszystko musieli robić własnymi rękami. Ostatnia wielka gorączka złota ogarnęła rejony Złotoryi w XIV wieku

zwy dawnych sztolni: Złote Koło, Na Lanach, Lisi Zakątek. Pod Chrustem. Ci, którzy później badali sprawę, twierdzą, że przyczyną mogła być klątwa rzucona na górników przez pewnego bardzo chytręgo mnicha.

Mnich ów jeździł po Śląsku ściągając dziesięcinę, czyli podatek pobierany przez Kościół. Podobno, jak na duchownego, za bardzo uduchowiony nie był, a metody zbierania należności stosował jak najbardziej świeckie. Bardziej groźbą niż prośbą wymuszał zapłatę. Doszło nawet tego, że raz go nieco poturbowali górnicy, ale mnicha niczego to nie nauczyło. Kiedy pojawił się w kopalni w Mikołajowicach, jeszcze ostrzej potraktował tamtejszych kopaczy. Ci zaś, nie zważając na duchowne szaty, pobili mnicha tak mocno, że ...zmarł. Zanim jednak wyzionął ducha, zdążył przekląć wszystkie kopalnie złota na Dolnym Śląsku. Mroczny czar sprawił, że odtąd nikt nie mógł znaleźć ani grama złota i kopalnie trzeba było zamknąć. Mówiono, że klątwę mogą odwrócić ci, co będą w stanie odnaleźć złoto z zamku, który niegdyś zapadł się na szczycie Wilczej Góry. Ale kto by się odważył wydzierać skarby wilkołakom? Poza tym klątwa klątwa, a złoto złotem.

Minęło kilka wieków i w Złotoryi znowu pojawili się górnicy. Około XVIII wieku (choć niektórzy twierdzą, że znacznie wcześniej) pod Górą Mikołaja wryto niewielką, 90-metrową sztolnię, którą dziś udostępniono do zwiedzania. Zanim jednak do niej wejdziemy, przyjrzyjmy się jeszcze jednej barwnej postaci wpisanej na stałe w historię złota i tych okolic. Myślę o Czarnym Krzysztofie. Ten okrutny i podobno zabójczo przystojny rabuś grasował w tych okolicach od początku XVI wieku. Legenda mówiła, że usiłował szukać skarbów na Wilczej Górze, że pragnął mieć własne kopalnie złota, ale jakoś nie mu z tego nie wychodziło. Dlatego postanowił zająć się napadaniem na podróżnych i kupców. I chociaż wszystko to brzmi jak kolejna opowieść o nierealnym cieniu przeszłości, Czarny Krzysztof istniał naprawdę. Pochodził z rodu von Reisewitzów. Służył wiernie księciu legnickiemu Fryderykowi II.

Krzysztofa znano z męstwa i niezwyklej brawury. Inni rycerze darzyli go szacunkiem, a wiadomo, że są ludzie, którym pozwala się na nieco więcej niż innym. Podobnie było i w tym przypadku. Książę Fryderyk przymykał oczy na różne wybryki swego rycerza. Bo Czarny Krzysztof, oprócz wojowania w słusznej sprawie, lubił też od czasu do czasu wypuścić się do którejś z pobliskich wiosek, coś podpalić, ograbić



Georgius Agricola stworzył w XVII wieku słynne *De re metallica*, obejmujące całokształt ówczesnej wiedzy górniczej i metalurgicznej. Oprócz opisów, w dziele Agricoli znalazły się ryciny przedstawiające pracę kopaczy złota

kupców czy zniewolić piękną pannę. Doszło nawet do tego, że od Lwówka do Złotoryi matki straszyły młodym Reisewitzem dzieci.

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że jakimś szczególnym sentymentem darzył uczonych, w przeciwieństwie do braci z Wilczej Góry, którzy – jak pamiętacie – palili księgami w kominkach; on zaś ludzi wykształconych zawsze puszczał bez uszczerbku. W końcu jednak miarka się przebrała. Od pierwszych dni XVI wieku, przez prawie 12 lat Czarny Krzysztof siał w okolicy spustoszenie. Swoje zbójckie wyprawy starannie przygotowywał. Mylił „przeciwnika” przebraniem. Wkładał stroje chłopskie, kupieckie, mieszczkańskie. Ofiary często nie zdążyły się nawet zorientować, kto jest napastnikiem. A Czarny Krzysztof nie przebierał. Najeżdżał wielkie zamki i nieduże posiadłości, grabił wioski, karczmy, jarmarki, księży, szlachtę i biedaków. Zabierał wszystko, co wpadło mu w ręce. Nie gardził żywnością, ubraniami, trzodą. Skrzętnie chował w swoim dworze kradzione pieniądze, biżuterię, monstrancje. W 1509 roku napadł pod Bolesławcem na podróżującą parę młodych ludzi. Młodzieńca zabił, a dziewczynę nieludzko pokaleczył. Wkrótce osaczył samotnego podróżnego, ukradł mu 5 marek, a potem zamordował. Pięć lat wcześniej zaczął się w lesie w pobliżu Choinca i napadł na kupiecką karawanę. Uciekł zabierając z sobą 4 konie i 2 wozy.

Najlepiej zapamiętano jednak grabież z 1506 roku. Wtedy w karczmie koło tego samego Choinca napadł na lwóweckich kupców, którzy wracali z jarmarku z Wrocławia. Osiemnastu ludzi Czarnego Krzysztofa zrabowało towar wartości mniej więcej 1400 gulderów. W trakcie bijatyki zginął ówczesny burmistrz Lwówka. Od tej pory za głowę Krzysztofa wyznaczono nagrodę. W 1512 roku okoliczni mieszkańcy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Z rozkazu księcia przystąpiono do oblężenia dworu, w którym ukrywał się rabuś. Legenda chce, aby to była Olszanica; w tym czasie jednak rezydowali tam Zedlitzowie. Trudno dziś dociec, o jakie miejsce może chodzić. Pewne jest jedno. Czarny Krzysztof spokojnie liczyłby dalej zagrabione pieniądze, gdyby do całej sprawy nie wmieszała się kobieta. I to do tego piękna. Jak to w legendzie bywa, dziewczyna była niegdyś ukochaną rycerza-rabusia. Odrącona postanowiła się zemścić. Wskazała oblegającym dwór tajne, podziemne przejście. Nie minęło kilka godzin, a von Reisewitz znalazł się w pułapce. Nie miał żadnych szans.

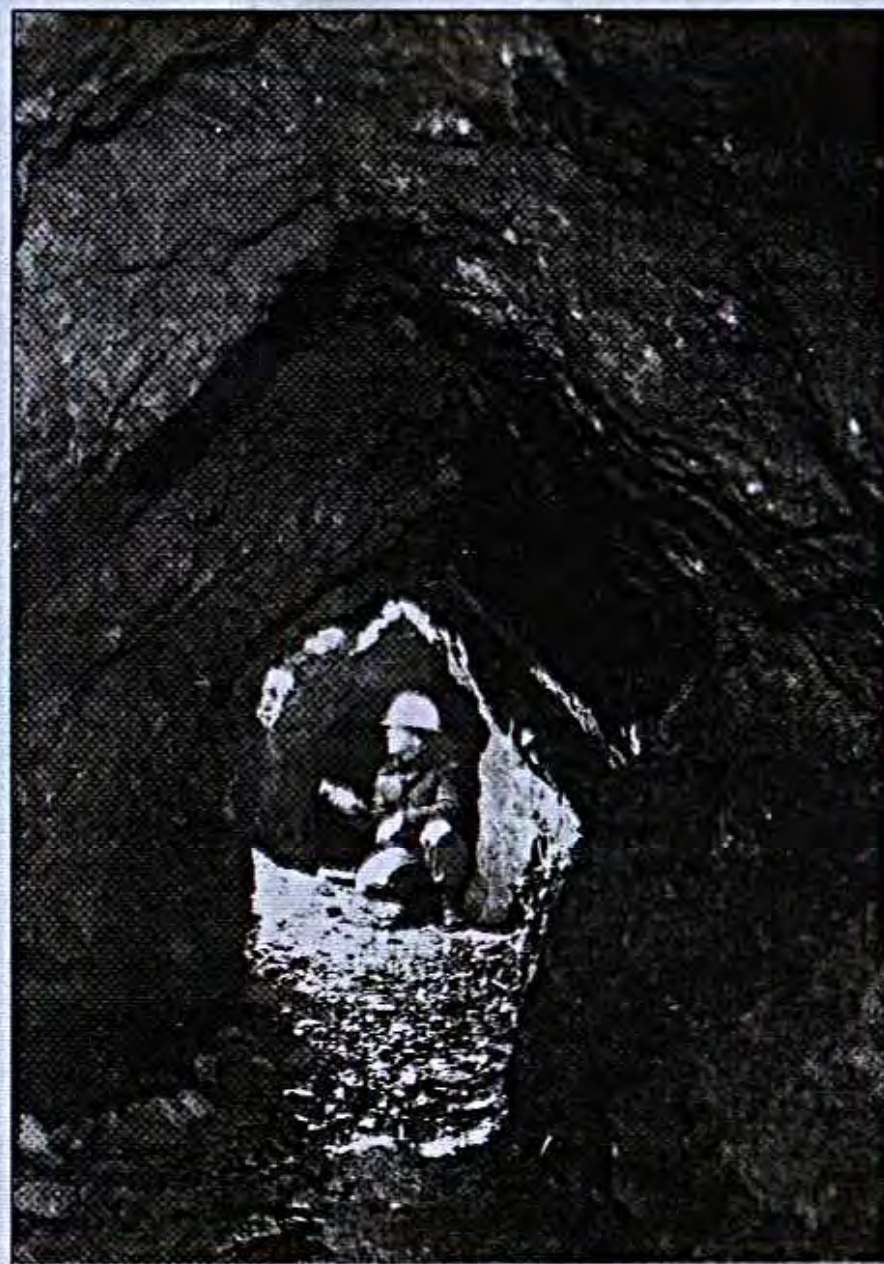
Ponad rok trzymano Czarnego Krzysztofa w Wieży Rycerskiej w Legnicy; 5 października 1513 roku, o świcie, powieszono go na szubieni-

cy we wnętrzu wieży. Podczas egzekucji ubrany był w białą koszulę z czarną kokardą. A na nogach miał buty z rycerskimi ostrogami.

Z dniem egzekucji zaczęła się pogoń za skarbem. Rycerz musiał gdzieś ukryć zrabowane złoto. Szukano wiele lat. Już w XX wieku jeden z poszukiwaczy skarbów postanowił jeszcze spenetrować sztolnię pod Górą Świętego Mikołaja. Bez skutku. Ta sztolnia powstała przecież najwcześniej w XVII wieku – pierwsze prace górnicze wspomniane są w 1660 roku – i miała charakter sondażowy. O żadnym skarbie nie było mowy. Dziś za to sztolnia jest jedną z największych atrakcji Złotoryi. Nazywa się Aurelia. Aurelia od aurum.

Jest też opowieść o pewnym górniku, który nie mógł sobie pozwolić na wyprawienie komunii swojej córce. Postanowił dłużej zostać w kopalni i poszukać w nocy złota. Wędrował jednak po ciemnych korytarzach zbyt długo, lampka mu zgasła, zgubił się i zmarł. Od tej pory w dniu komunii świętych w Złotoryi słychać pod ziemią stukanie. To ten zagubiony kopacz usiłuje przypomnieć o sobie. A ponieważ jego córka miała na imię Aurelia, tak właśnie nazwano sztolnię. Tak naprawdę tunel liczy zaledwie 90 m długości (co wcale nie znaczy, że cała kopalnia nie była większa), więc w opowieść tę uwierzą tylko wyjątkowo sentymentalni. Mimo to niewielka Aurelia ma wiele tajemnic. Podobno rzeczywiście jeszcze kilkadziesiąt lat temu składała się z kilku dodatkowych korytarzy.

W niemieckim opracowaniu z 1926 roku napisano, że pod Złotoryją znajduje się największa na Dolnym Śląsku sieć podziemnych korytarzy. Sama Aurelia miała się łączyć z piwnicami gotyckiego kościółka stojącego na cmentarzu. Także z pobliskich zakładów obuwniczych miał wieść tunel do schronu koło dzisiejszej poczty. Z zeznań Polaków, którzy w czasie II wojny światowej pracowali w złotoryjskiej fabryce „Opta-Radio-Werke” (produkowano tu radiostacje lotnicze) zakłady miały dość potężną część podziemną. W jej skład mogła wchodzić i Aurelia. Czy to jednak możliwe? Czy dzisiaj oglądamy zaledwie mały fragment kopalni? Pod koniec wojny, tuż przed wkroczeniem Rosjan, Górą Świętego Mikołaja wstrząsnąć miała potężna detonacja. Być może chodziło o zniszczenie czegoś, być może o dokonanie zawału, za którym zostały... I, jak zwykle w takiej historii, pojawia się następne pytanie. Czy w Aurelii ukryto jakieś dobra, czy zostały tam podzespoły elektroniczne z niemieckich zakładów lotniczych, czy też opowieść o wysadzeniu jest kolejną fantazją poszukiwaczy skarbów? Korytarze w Aurelii nie kończą się litą skałą. Są tam sztuczne zawały.



Karol Pawlaczek, który odkrył w Aurelii zasypany szyb, jest przekonany, że kopalnia kryje jeszcze wiele tajemnic

W 1997 roku kilku zapaleńców postanowiło wyjaśnić tę zagadkę. Rozpoczęto eksplorację kopalni. Jakież było zdumienie badaczy, gdy po kilku dniach zapadł się fundament pod garaż znajdujący się nad kopalnią. Wielka dziura okazała się dawnym szybem górniczym. Na cześć swojego odkrywcy Karola Pawlaczka, otrzymał on nazwę Szyb Karola. Przez kilkanaście miesięcy 30-metrowy szyb był oczyszczany. Znalaziono w nim karabin i niemiecki hełm, musi to więc oznaczać, że w czasie II wojny światowej miejsce to było dostępne. Kolejny wniosek – zasypiano je później. I znowu pytanie: dlaczego?

– Niemcy starali się tu coś ukryć – twierdzi Karol Pawlaczek, pracownik Aurelii – Zrobili to w pośpiechu, tak jakby zamierzali tu wrócić. A jeśli chcieli wracać, to musieli mieć po co. Przecież dawniej w ogóle nie zasypywano takich kopalni. Różdźkarz, który tu kiedyś przyjechał, twierdzi, że dookoła jest więcej takich wejść.

I rzeczywiście. Dwa lata później, w 1999 roku, Karol Pawlaczek wraz ze Stanisławem Powroźnikiem poszli śladami radiestety. Uderzyli dwa razy i pod ich stopami otworzyła się ziemia. Tym razem szyb był węższy. Ma ponad metr szerokości i schodzi ukośnie w głąb góry. Znajduje się kilkanaście metrów w lewo od głównego wejścia do Aurelii. Pawlaczek zszedł w dół 12 m. Dalej szyb zalany jest wodą. Trudno jednak prorokować, czy odkryte wejście łączy się z Aurelią czy też nie.

Po okolicy krąży opowieść o kawalkadzie ciężarówek, która pod koniec wojny wjechała do kamieniołomu pod Wilczą Górą i już nigdy zeń nie wyjechała. Historia więc zatoczyła koło. Na Wilczej Górze od Bruno i Wata, dwóch okrutnych braci, wszystko się przecież zaczęło.

Kilka praktycznych porad jak zostać poszukiwaczem złota

*Gdzie szukać? * Jak szukać? * ABC płukania * W tych miejscach próbujcie szukać złota*

Szukanie złota to żadna filozofia, wystarczy przyjrzeć się metodom z filmów o Dzikim Zachodzie i spróbować samemu. Tak przynajmniej twierdzi Sylwia Dudek, która w kopalni złota w Złotoryi uczy turystów, jak płukać błyszczący piasek. Zdaniem Sylwii płukanie złota to świetna zabawa, wymagająca jednak sporo cierpliwości. Nie od razu trafia się przecież na bezcenną żyłę. Czasami przekopuje się kilka lub kilkanaście metrów szczęśliwych piasku rzecznoego i nie ma żadnego rezultatu. A jak bolą plecy! W takich chwilach poszukiwacza podtrzymuje jedynie myśl, że jeszcze chwila i być może znajdzie samorodek swojego życia. Sylwia mówi, że prawdziwych poszukiwaczy nic nie powinno zniechęcać.

Bardzo możliwe, że po odwiedzeniu dolnośląskich kopalni sami zechcecie poszukać złota. Dlatego przyda Wam się kilka słów od fachowca. Możecie oczywiście pojechać do Złotoryi i płukać złoto pod okiem pracowników kopalni, ale pewnie wielu z Was woli zrobić to na własną rękę. Będą Wam potrzebne do tego trzy rzeczy: miska, wytrwałość i trochę teorii. To trochę tak, jak z prawem jazdy. Zanim wyjedziecie do miasta, najpierw musicie poznać przepisy. Polskie prawo pozwala na poszukiwanie złota w rzekach i w strumieniach. Nie wolno jednak niszczyć przyrody, zabezpieczeń przeciwpowodziowych, a płukanie może mieć wyłącznie charakter hobbystyczny. W innym przypadku potrzebna jest koncesja.

Gdzie szukać?

Ludzie od zawsze starali się w różne, często niekonwencjonalne sposoby pozyskiwać złoto. Różdżkarze dokładnie przyglądali się nalotom mineralnym na skałach, wachali je i smakowali. W „podejrzanym” regionie uważnie przyglądali się roślinności. Doszli do następujących wniosków: miejsca bogate w kruszce jesienią nie pokrywają się szronem, a liście drzew rosnących nad wychodnymi rud przybierają barwę białawą lub niebieskawą. Można więc kierować się tymi wskazówkami, a można też troszeczkę poczytać o geologii. Sylwia twierdzi, że znajomość jej podstaw to połowa sukcesu.

Złoto występuje w różnych złożach – dzielimy je na pierwotne i wtórne. Pierwotne są wynikiem wytrącania się złota z gorących roztworów w skałach, np. z powodu nagłego spadku temperatury lub ciśnienia. Złoża wtórne lub aluwialne powstały przez rozpad skał okruszczonych złotem. W wyniku erozji i wietrzenia wyodrębniły się ziarna złota, które dostały się do potoków, a potem do rzek. Pierwszy typ złóż występuje w Złotym Stoku, Czarnowie, Radzimowicach, Kleczy, Radomicach, Wielisławiu Złotoryjskim i w Leszczyńcu. Nas jednak bardziej interesują złoża wtórne. One właśnie są dostępne dla poszukiwaczy – hobbystów. Występują w okolicach Złotoryi, Lwówka Śląskiego, Wądroża Wielkiego, Bolesławca i Glucholaz. Na złoto powinniście trafić w takich rzekach, jak Bóbr, Kaczawa, Łomnica, Kwisa, Izera, oraz w wielu potokach i strumieniach Karkonoszy i Gór Izerskich: w Płuczkach, Płuczniku, Złotym Potoku, Złotusze. Miejsca, w których powinno być złoto, mają na ogół „złote” nazwy. To bardzo cenna wskazówka.

– Złota najlepiej szukać w blisko wody, której potrzebujemy do przepłukania osadu – tłumaczy Sylwia Dudek – Złoto wraz z cięższymi minerałami opada na dno. Zazwyczaj towarzyszą im grube żwiry i otoczaki. Przykryte są drobniejszym materiałem piaszczystym i ilastym. Im bliżej złóż pierwotnych, tym ziarna są większe i bardziej nieregularne. W dół rzeki grudki przechodzą w łuski, a następnie w złocisty pył.

Metodą najczęściej stosowaną przez poszukiwaczy jest metoda szlichowa. Jest to najtańsza i jednocześnie najprostsza metoda o dużym stopniu skuteczności. Szlich jest to koncentrat minerałów o znacznym ciężarze właściwym. W skład szlichu wchodzi złoto i kamienie szlachetne: kwarcy, cyrkony, epidoty, szafiry, topazy, chryzoberyle, spinela, gra-

naty. Pobiera się go z piasków i żwirów z koryt rzecznych i ich dopływów, z tarasów i zakoli. Najlepiej więc szukać:

- w kępach i zakolach plaż oraz miejscach ostrych zakrętów.
- przy przewężeniach dolin rzecznych.
- przed przeszkodami tarasującymi koryta rzeczne, jak np. większe bloki skalne, pnie drzew, znajdują się tam partie bogatsze w złoto i minerały.
- w starorzeczach i bocznych dopływach większych ścieków wodnych.
- w kottach u podnóża wodospadów,
- w odcinkach rzek, których podłoże bogate jest w twarde progi, szczeliny i „kieszenie” skalne.

Złoto gromadzi się również w pobliżu połączeń potoków lub ujść potoku do rzeki. Spróbować można tuż przed przewężeniem dna doliny. Czasem na złoto możemy natrafić w gruboziarnistych osadach powodziowych. Duże znaczenie ma profil dna doliny. Przy węższym nachyleniu minerały trudniej się osadzają, przy mniejszym bardziej.

Uwaga! W drobnych piaskach i żwirach o czerwonobrunatnej barwie, pochodzącej od związków żelaza, jest mało złota, mimo że natrafimy w nich na sporą ilość szlichu.

Podwyższoną zawartość złota notuje się głównie w zaglinionych warstwach złożonych z grubych kamieni, nawet głazów. Większe samородki znajdziemy przy granicy żwiru i dennej glinki ze skalnym podłożem. Na złoto można trafić we wszelkich nierównościach, występujących w obrębie dna koryta. Po pewnym czasie, po miesiącu, roku, opróżnione przez nas ze złota pulapki mogą ponownie wypełnić się kruszcem. Złoto często gromadzi się też przy korzeniach roślin, np. w kępach traw.

Jak szukać?

Teraz zabieramy się do szukania. Musicie mieć miskę do płukania złota, saperkę, lupę i magnes oraz puste słoiczki na zdobycz. Bardziej zaawansowani stosują do pozyskiwania złota głębokie patelnie, korytka drewniane lub blaszane. Natomiast poszukiwacze, którzy żyją z poszukiwań, bo są i tacy, wykorzystują specjalistyczny sprzęt – czerpaki syberyjskie, płuczki jakuckie lub pompy z silnikiem, częściej jednak pompy Alfreda Hendersona ze Szkocji, które służą do ręcznego zasysania osadu z rzek i potoków i mają kształt długiej rury.

Jednak żaden z poszukiwaczy nie rezygnuje z miski. To najlepsze narzędzie do poszukiwania złota w potokach służy również do szybkiego sprawdzania czy w danym miejscu w ogóle znajduje się złoto. Prosta mi-



Zasady płukania złota nie zmieniły się od wieków. Może tylko poszukiwacze pracują w nieco innych strojach

ska – można ją kupić w siedzibie Polskiego Bractwa Kopaczy Złota w Złotorzy (Bractwo mieści się przy ul. Żeromskiego 15a, tel. 076 878 70 40) mniej więcej za 40 zł – z powodzeniem wystarczy początkującemu poszukiwaczowi.

Miski dzieli się na dwa typy: te z płaskim dnem oraz miski stożkowe w formie chińskiego kapelusza. Mają one różne nazwy: kalifornijska duża, kalifornijska mała, chiński kapelusz, klondike z progami, złotoryjska – z płaskim dnem. Miski blaszane, zwłaszcza stożkowe są nieco cięższe od plastikowych, które łatwiej ulegają zniszczeniu. Mniejsze miski są łatwiejsze do przenoszenia w czasie wędrówek – łatwiej mieszczą się w plecakach, duże natomiast są efektywniejsze. Specjaliści uważają, że do poszukiwań najlepsze są miski płaskie, do płukania na zawodach zaś miski stożkowe.

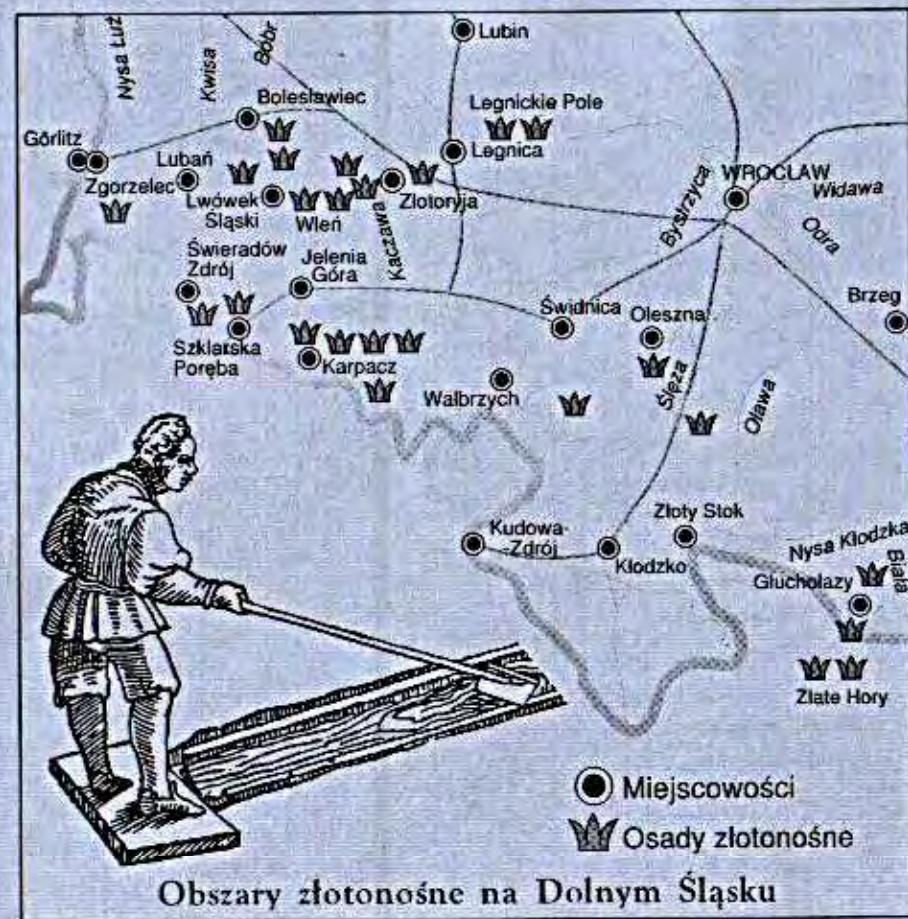
Technika płukania nie jest trudna, warto jednak przedtem poćwiczyć dla wprawy. Doskonałą metodę opracował J. N. Dower, amerykański specjalista od poszukiwania złota. Zaleca on zmieszanie z piaskiem i żwirem 200 gramów najdrobniejszego myśliwskiego śrutu. Tak sporządzoną mieszankę należy wsypać do miski, a następnie kolistymi ruchami przepłukiwać pod niezbyt silnym strumieniem wody. Ołów ze względu na duży ciężar właściwy zachowuje się podobnie jak złoto, osadza się na dnie wyraźnie wyodrębniając się od żwiru. Piasek powinien być wypłukany. Należy próbować do skutku. Dopiero gdy przejdziemy ten pierwszy stopień wtajemniczenia, możemy próbować w złotonośnych potokach i rzekach.

ABC płukania

Piaski i żwiry z dna rzeki lub potoku wsypuje się do naczynia i po dokonaniu dokładnych oględzin usuwa się z miski większe otoczaki, tzn. okruchy skał i kamyki. Następnie miskę zanurzamy w wodzie, pamiętając jednak, aby wybrać miejsce, w którym prąd nie jest zbyt silny.

Zawartość miski mieszamy rękami i rozcieramy większe gliniaste grudki – lżejsze części ilaste unoszą się na powierzchni. Ponownie zanurzamy miskę w wodzie i wykonujemy koliste ruchy z jednoczesnym niewielkim potrząsaniem, pochylaniem i odlewaniem zawartości naczynia. Na dnie miski pozostaje złoto, które dzięki dużemu ciężarowi właściwemu opada na dno wraz z cięższymi cząsteczkami, lżejsze zaś zostają usunięte na zewnątrz. Niestety praktyka i wiedza teoretyczna nie są gwarancją sukcesu. Wiele zależy od szczęścia. Penetrując dno rzeki można znaleźć obfitujący w złoto fragment, podczas gdy obok w osadach nie będzie ani ziarenka. Często miejsca występowania kruszcu mają charakter gniazd. Stare, wyeksploatowane już złoża odnawiają się. Dlatego warto penetrować sudeckie potoki. Im bliżej złóż pierwotnych, tym ziarna są większe i bardziej nieregularne.

Sudeckie złoto ma postać blaszek, drobniutkich ziarenek, łuseczek, drucików, gałązek, nitek, grudek, a nawet pyłu. Jest ono jakościowo bardzo dobre. Samorodki nie trafiają się jednak zbyt często – samorodki to bryłki większe od główki zapalek. Drobiny złota posiadają ciemnożółtą barwę o delikatnym czerwonym odcieniu. Od zanieczyszczeń oddzielić je za pomocą magnesu. Najpierw jednak wysypcie to, co udało Wam się wypłukać, do kartonu lub płaskiego pudełka. Z tego, co zostanie, należy przebrać ręcznie złoto, a to już jest bardzo pracochłonne. Ale jaką będziecie mieć satysfakcję!



W tych miejscach próbujecie szukać złota

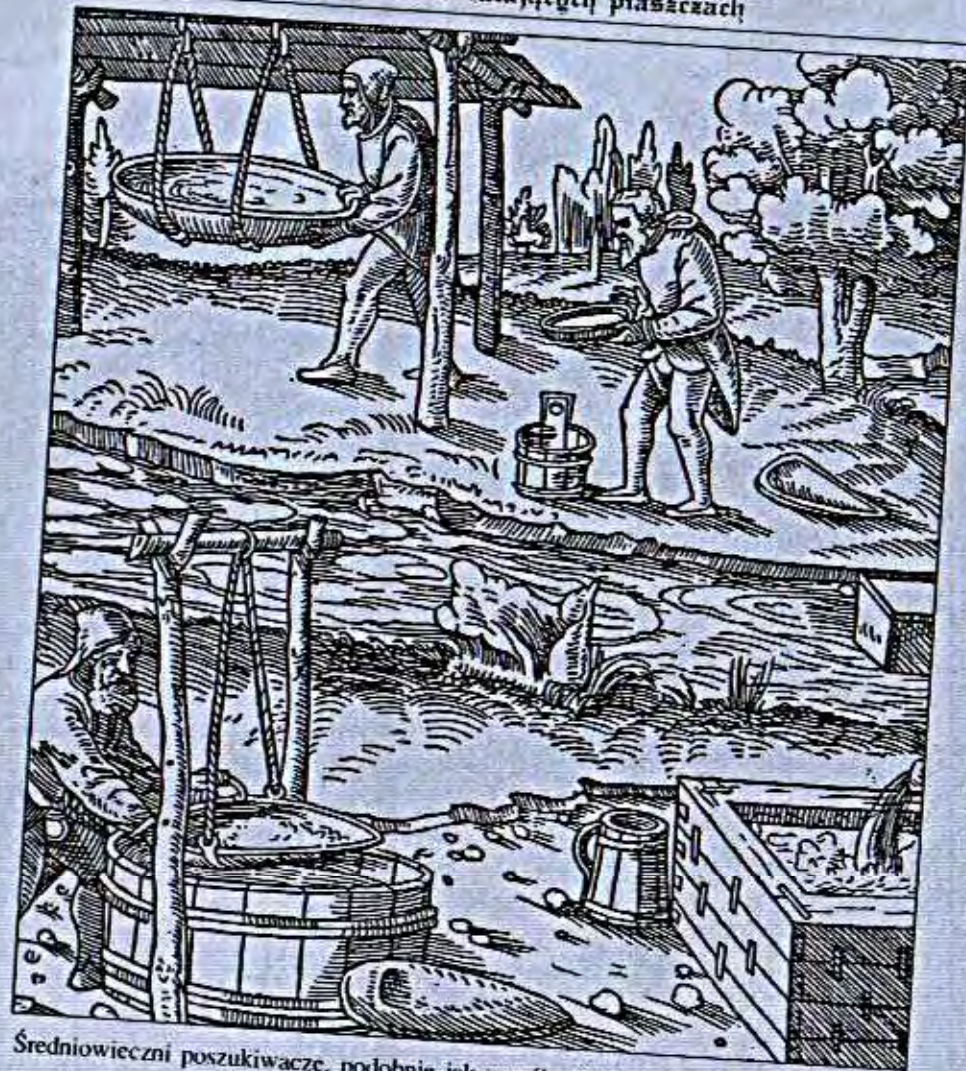
Dolina Choińca koło Zamku Chojnik, w pobliżu tzw. Złotej Jamy, strumień Mała Kamienna, Bieleń i Czarna Góra, Biała Dolina, Złoty Potok, Szrenicki Potok, Płucznik, Czarna Płuczka, okolice Śnieżnych Kotłów, Karpacz, Płuczki, Ściegny, Wilcza Poręba, Sowia Dolina, Lomniczka, Złoty Potok, Lomnica, Mały Staw, Równia pod Śnieżką, okolice Jeleniej Góry, Dziwiszowa, potoki, które są dopływem Bobru, Złotucha, Świeradów, Czerwony Potok – na zachód od Rozdroża Izerskiego, Dolina Izerki, Hała Izerska, Jagnięcy Potok, na północ od Mirska w rejonie Augustowa, na południe od Radomowa, Lubomierza, Chmieleń i Wojcieszowa.

Panowie w latających płaszczach

*Znalezieni na bagnach * Walończycy szukają skarbów * Po widelcu do złota * Duchy podziemi * Drwale i paszcza potwora * Światło czarnych świec * Jakub spotyka czarowników * Worek magicznych sopli*

Zaczął się od artykułu: „Podczas pozyskiwania torfu w 1952 roku, dokonano makabrycznego odkrycia – pisał Juliusz Naumowicz w biuletynie «Pod Szrenicą» – Wydobyto zwłoki dwóch brodatych, dziwnie ubranych mężczyzn z głowami rozbitymi toporem. Sądzone początkowo, że są to pozostałości z rozliczeń przemysłowych lub band Wehrwoflu. Jakież było zdziwienie, kiedy z Zakładu Medycyny Sądowej nadeszła ekspertyza, że obaj panowie zostali zamordowani co najmniej 200 lat temu. Zwłoki i ubrania były doskonale zakonserwowane. Szkoda, że nie wykorzystano owego odkrycia do reklamy własności borowiny i burzliwej walońskiej przeszłości naszych okolic. Zwłoki pochowano cichaczem na starym cmentarzu żydowskim w Jełniej Górze (w pobliżu GOPRu)¹. Juliusz Naumowicz opisywał miejsce, w którym Dziki Potok wpada do Ciekonia. Tam właśnie znajdują się kilkumetrowe grzędzawiska, eksploatowane jako borowina dla kuracjuszy

¹ Cytowany fragment artykułu J. Naumowicza został w marcu 2000 roku przedrukowany przez Miesięcznik Hobbystów i Poszukiwaczy „Odkrywca”. Sam autor jest człowiekiem niezwykłym. W Szklarskiej Porębie w dawnej Karczynie Głodowej stworzył Muzeum Ziemi, a w jego Starej Chacie Walońskiej można obejrzeć i kupić kamienie ozdobne i szlachetne. Ponieważ Juliusz Naumowicz jest Mistrzem Walońskim, jeżeli uzna, że jesteście tego godni, pasuje Was na młodszego czeladnika walońskiego.



Średniowieczni poszukiwacze, podobnie jak współcześni, używali do płukania złota specjalnych misek

w Cieplicach i Świeradowie. Dzisiaj to okolica bardzo tajemnicza, a wyobraźcie sobie, jakie wrażenie musiała robić kilkaset lat temu. Niegdyś, tutaj było najwięcej poszukiwaczy, zwanych walończykami. Być może dwaj zabici należeli właśnie do nich?

Walończycy budzili strach i podziw. W Karkonosze przybyli z Belgii i północnej Francji. Ciągnęli wzdłuż Sudetów do kopalni złota w Siedmiogrodzie, gdzie zaprosił ich król Węgier, Geza II. Po drodze

zatrzymywali się na Śląsku, zostawiając po sobie niezwykle opowieści i tajemnicze znaki na kamieniach. Byli poszukiwaczami skarbów i od XII wieku zapuszczali się w góry, aby wydrzeć im ich bogactwa. A że w średniowiecznych Niemczech nazwą „Wahlen” określano wszystkie grupy ludów romańskich, z czasem wolonami zaczęto też nazywać wszystkich kopaczy. Było wśród nich też wielu Włochów, szczególnie Wenecjan; od czasu do czasu spotykano również Węgrów. Szybko stali się konkurencją dla rozwijającego się górnictwa. Najbardziej interesowały ich Karkonosze i Góry Izerskie. Wywozili stąd złoto i kamienie: te szlachetne – szafiry i rubiny, a także półszlachetne, służące potem do wtapiania w weneckie szkło. Dzięki hojności śląskiej przyrody rosły prawdziwe fortuny, a wolonowie, zwani też walończykami, we wszystkich zakątkach świata opowiadali o ukrytych pod górami skarbach. Jeden z poszukiwaczy dzięki bogactwu Karkonoszy postawił sobie w Wenecji wspaniały dom. Na frontonie umieścił napis: *Mons Chrysocreos fecerunt nos dominos* (Góry złotodajne uczyniły nas panami). Wkrótce z kopacza stał się znanym bankierem.

Pojawienie się walończyków zawsze było sensacją. Ubrani w szerokie, ciemne peleryny wzbudzali niepokój. Opowiadano, że wielkie płaszcze, podobnie jak latające dywany, służą im do podróżowania, że znają czary i zaklęcia, a ich działania wspiera najpotężniejszy władca okolicy, Duch Gór. A że walończycy korzystali z gałązek leszczyny, które – podobnie jak używane dziś przez radiestetów różdżki – pomagały im docierać do minerałów i złota, wiele osób uważało ich za czarodziejów. Prawdą jest jednak, że i magia nie była obca poszukiwaczom.

W górnej części Przesieki znajduje się kilkutonowy gład zwany Chybotkiem. Swą nazwę wziął stąd, że można go wprawić w ruch wahadłowy. Chybotek był dla walończyków przeklętym przez Kościół Czar-cim Łbem. Tu miało się znajdować wejście do jednego ze skarbców Du-cha Gór. Dlatego poszukiwacze składali na skale ofiarę piekielnym mo-com. Krwią czarnych kogutów smarowali ostrza narzędzi i skrapiali ka-mień. Potem w naturalnie wyłobionych misach mieszały zjeżdżały sadło i ziele tojadu, w to wszystko wkładali zdobyty w miejscu kaźni sznur z szubienicy i go zapalali. Kiedy dokoła zaczynał unosić się potworny smród – diabeł, jak powszechnie wiadomo, lubi takie zapachy – waloń-czycy losowali, w którą stronę każdy z nich pójdzie. W ten sposób usi-łowali uniknąć spotkania z konkurencją. A że nie zawsze się to udawa-ło, widać wyraźnie po znalezisku z bagien.



Wolonowie używali do poszukiwań złotodajnych złóż specjalnych różdżek. Dzisiaj radiesteci w ten sposób lokalizują miejsca do drążenia studni

Tajemniczości pracy poszukiwaczy dodawały znaki, które ryli na drzewach i skałach. Były to gwiazdy, krzyże, młoty, strzałki, a nawet litery². Najpowszechniejszy był uproszczony rysunek górniczego młotka w kształcie odwróconego T. Najcenniejszą wskazówkę stanowiły jednak tzw. księgi walońskie, zbiory rad, jak dojść do skarbów. Początkowo były to takie średniowieczne przewodniki, z prostymi opisami szlaków. Z czasem jednak obrastały magią. Zaszyfrowane wiersze opowia-

² Dziś ciągle jeszcze można je zobaczyć na Walońskim Kamieniu na Widoku w Przesiece.



dały o podziemnych zamkach, przerażających strażnikach skarbów, węzłach pilnujących złota, skamieniałych rycerzach, których zgubiła chciwość. Jako miarę odległości podawano w nich „strzał z kuszy” albo „mle”, której nie sposób wymierzyć w górach. W księgach pojawiały się zaklęcia oraz sposoby na odczarowanie już zaklętego złota. Bo były skarbee – marzenia, miejsca, do których chciał dotrzeć każdy walończyk. Najważniejsze z nich to: Wieczorny Zamek, Ślęza i Złota Sztolnia w Górach Orlickich. Do tej ostatniej jeszcze wrócimy, zatrzymajmy się na chwilę przy Wieczornym Zamku, zgrupowaniu skałek na zboczu Zwaliska w Górach Izerskich. Wierzono, że w Noc Świętojańską wtajemniczeni mogą przeniknąć kamienie i wejść do pełnych złota podziemi. Księga walońska z 1615 roku takie dawała rady tym, którzy chcieli posiąść skarby Wieczornego Zamku³:

„Poleć się Bogu, bo będzie cię spotykało wiele przeciwności. Ty się jednak nie przerażaj, lecz idź śmiało wokół wielkiej skały, a znajdziesz na zachodnim stoku góry głęboką rozpadlinę. W rozpadlinie będą piękne odrzwia z brązowego, lśniącego marmuru, a w nich czerwone drzwi z blachy, a obok zasłonięte okienko. Podejdź bliżej, ujrzysz nad drzwiami złoty krucyfiks. Uklęknij, zmów pięć razy Ojcze nasz, pięć Zdrowaś Mario, raz Wierzę w Boga... Następnie spojrzysz w prawą stronę, podnieś mech, a znajdziesz w szczelinie klucz, którym otworzysz drzwi. Otworzywszy okno zobaczysz cuda, gdyż nie ma na świecie miejsca

³ Tłumaczenie to podaje za książką *Dziedzictwo kulturowe Dolnego Śląska* pod red. Z. Kłodnickiego wydaną przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze w 1996 roku we Wrocławiu.

równie bogatego. Możesz wziąć skarbów, ile tylko uniesiesz, po czym zasłoń okno, zamknij drzwi i okno, połóż klucz na miejscu i odejdz.” Prawda, jakie to proste? Jeszcze prostsze wskazówki zawierała najstarsza znana dziś księga walońska. Jej autorem był Antonio de Medici z Florencji, który w latach 1425-1456 wielokrotnie odwiedzał Karkonosze. W zapiskach podróżnika punktem orientacyjnym są Piekielne Widły, zwane popularnie „widelcem”. To skała pomiędzy Szklarską Porębą i Jakuszcami. Walończycy często nadawali wielu miejscom własne nazwy. Tak było i tym przypadku: „znajdziesz widelce, którego zakończenie wskazuje na północ, dokonaj od widelca jeszcze dziewięć kroków, a natrafisz na strumyczek, który płynie skryty pod mchem: połóż się na boku i usłyszysz szum wody: podnieś warstwę mchu, to znajdziesz złoto wielkości monet, a także i mniejsze...”

Rzeczywistość była jednak bardziej prozaiczna. Góry przerażały. W lasach w każdej chwili można było natknąć się na dzika albo niedźwiedzia. Walończycy niekiedy samotnie pokonywali dzikie tereny. A nie było wtedy schronisk i nikt nie podawał ciepłej herbaty. Do tego dochodził strach przed zazdrosnym o skarby i jak najbardziej realnym w tamtych czasach Duchem Gór, no i ból w krzyżu. Wieczne pochylanie się nad korytem i bliskość wody odbijały się na zdrowiu. Szukanie złota wcale nie było prostym interesem.

Tak opisywał pracę przybyszów w dziele *De re metallica* z 1530 roku saksoński uczonec Agricola: „Włosi, którzy udają się do niemieckich gór w poszukiwaniu złota, płuczą piasek rzeczny, przemieszany z płateczkami złota i granatami w podłużnych, płaskich korytach, które z jednej strony są otwarte. Koryto umieszczają w strumieniu w ten sposób, że woda wpływa do niego bardzo powoli. Wrzucony do koryta piasek mieszają zaokrąglonym kawałkiem drewna. Aby z lżejszym piaskiem nie spłynęły płatki złota i granaty, zamykają koryto z otwartej strony zaokrągloną listwą, która jednak jest niższa aniżeli ściany koryta. Płatki złota i granaty, które ze zwirom osiadły na dnie koryta, wsypują do bukłaków, które zabierają z sobą”⁴.

Z czasem walończycy zaczęli przeszkadzać. Patrzone na nich z coraz większą niechęcią. Po pierwsze byli przecież nielegalną konkurencją dla pracujących ciężko górników. Po drugie wierzono, że przybysze

⁴ Tłumaczenie podaje za artykułem S. Bernatta, *Dawne księgi o złocie Karkonoszy i innych części Sudetów*.

Poradnik dla poszukiwaczy złota

Znakiem utajonych skarbów są niespokojne duchy, które przez zdrość około nich błakają się zwodząc ludzi, póki zabrane nie będą.

Item: bojaźń i strach oziębły i drżączka zimna człowieka przenikająca, gdy nad nim stanie.

Takie: gdy bez wielkiej przyczyny światło zgaśnie na jakimś miejscu.

Albo: gdy w nocy lub we dnie pokazuje się płomień wynikający z jakiego miejsca. Jeżeli zaś skarb przemieni się w węgle albo inne rzeczy przez kooperacje złych duchów, wrzucić go w ogień potężny, wtenczas metal do swojej natury przywraca się.

Pierwszy sposób znajdowania skarbów jest przez rozdwojoną z natury leśzczynę, która noszona w ręku do skarbcia nakłania się. A w ten sposób jest używana, przy której setne beczki metalów znajdowano.

Drugi sposób. Zrobić knot ze starego płótna, wlać nań oliwy i przydać część dobra merkuriusza, a zapalwszy szukać skarbu. Gdy tedy na to miejsce trafisz, gdzie jest skarb utajony, światło takowe bez przyczyny wygaśnie i merkuriusz poruszy się.

Trzeci sposób. Wziąć kadzidło z siarki i wosk, który nie był w zazywaniu, wziąć szmatki albo nie, co roztopiwszy razem zrobić z tej mikstury świecę, a wszystkie kąty zlustrować budynku. Gdzie pieniądze są utajone tam zgaśnie nagle świeca.

Czwarty sposób. Świeca także z sadła człowieczego ma to do siebie, że na tym miejscu albo trzeszczy i gaśnie, gdzie są skarby utajone.

Piąty sposób. Jest niejaki magnes, który do siebie srebro ciągnie. Za czym cienką różgę nim napuściwszy, kręci się w ręku, gdzie jest srebro i nakłania się ku niemu.

Szósty sposób poznawania ukrytych w ziemi skarbów jest, iż czyni się nad nim datek, to jest zapadlina, taką figurę, jaką zakopane są, a gdy taranem w to miejsce uderzymy, głos wydaje wewnętrzny, osobliwie, gdzie próżne miejsce jest zostawione.

Siódmy sposób. Uważać muru, w którym bowiem miejscu jest grubszy nad potrzebę, tam się zamurowanych rzeczy spodziewają. Uderzając także wedle razu na murach, wydają głos odmienny utajone depozyta.

Ósmy sposób. Długimi świdrami stalowymi miejsca podobne wiercić, a po wierceniu łatwo zrozumie, na co trafi. Mogą albowiem tak być zrobione z murami świdry, że cokolwiek wezmą w siebie, do góry przez rurę podnoszą i nią wszelką materię, przez którą świder idzie, prezentują [...]. Powiadają i to, że gdzie są zakopane skarby, tam rosy nie znać, bo z metalów wynikająca ekshalacja jest sucha i ostra, która trawi rosę.

„O śmierci, skarbach i złodziejach” Kalendarz Duńczewskiego 1751

nie zdobywają skarbów przyziemnymi metodami, jest im więc łatwiej. W końcu w 1587 roku po złożeniu skargi przez jednego z Schaffgotschów z Czernicy, zaczęto wydawać koncesje na poszukiwania. Nielegalni kopacze mieli być odtąd karani. Nie znaczy to jednak, że włończycy zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pojawiali się nawet wtedy, gdy kopalnie i huty zaczęły odzierać góry z ich tajemniczości.

Z 1692 roku pochodzi wzmianka w miejskiej księdze Dusznik o Włochach, którzy przybyli wydobywać cenny kruszec. Podróżnicy mieli z sobą mapy i dokładnie wiedzieli, jak dojść do złotodajnego miejsca. Wcześniej zaopatrzyli się w oskardy i kilofy, worki na skarby, kupili też konie, aby w razie czego szybko odjechać – działali w końcu nielegalnie. Zmierzali ku Złotej Sztolni w Górach Orlickich. Zanim jednak odnaleźli wejście do wnętrza ziemi, złożyli sobie przysięgę. Nikt i nigdy nie może się dowiedzieć, w jaki sposób zdobyli złoto. Niech ludzie myślą, że pochodzi z ciężkiej pracy. I rzeczywiście, czekała na nich ciężka praca.

Nie dość, że klimat tutejszych gór był zbyt ostry dla przybyszów z południa, to jeszcze w samej jaskini działo się coś dziwnego. Poszukiwacze nie wiedzieli, ale niechcący zbudzili tutejsze duchy, które zasnęły zdrowym snem, przepędziwszy poprzednich eksploratorów. A wiadomo, gwałtownie zbudzony duch ma zły humor i robi wszystko, żeby się zemścić. Tak więc na Włochów sypały się kamienie, co chwila znikwały narzędzia pracy, a gdy i to nie zniechęciło intruzów, we włosy zaczęły wplątywać się im nietoperze. Poszukiwacze byli jednak twardzi. Sądząc, że to natura, a nie żadne duchy, staje im na drodze, drażyli skałę nie zwracając uwagi na trudności. Rozpalili wewnątrz ogniska, aby dym przepędzał nietoperze. Modlili się i przeklinali. W końcu doszli do żyły złota. Była niewielka, szybko się skończyła, ale Włosi wiedzieli, że to i tak starczy im do końca życia. Nie pozabierali nawet narzędzi. Błyszczące grudki zapakowali do woreczków, wsiedli na konie i tyle ich widziano.

Duchy jednak nie mogły już zasnąć. Po pierwsze żałowały złotego pasma, które magicznie rozświetlało jaskinię, po drugie bały się, że ktoś znowu zakłóci ich spokój. I rzeczywiście, nie minęło kilka tygodni, a do jaskini trafili drwale, którzy pracowali w tutejszym lesie. Może nie mieli ochoty wejść do środka, wejście było wąskie i ciemne, ale jeden z nich zobaczył małą grudkę złota. Musiał ją upuścić któryś z Włochów. Drwale przeżegnali się i już mieli zatopić się w nieznanym, gdy z jaskini powiało mroźnym powietrzem, kamienie nad wejściem zaczęły się poruszać, i wszystko wyglądało tak, jakby czeluść ożyła i niczym

paszcza potwora chciała pochłonać swoje ofiary. Tego było już za wiele. Drwale porzucili siekiery i uciekli, gdzie pieprz rośnie. Przez wiele lat nie chcieli nawet pamiętać, w którym miejscu znajduje się wejście do złotej sztolni. Wszyscy zresztą zaczęli omijać to miejsce, mówiono bowiem, że jest nawiedzone przez duchy. I była to absolutna prawda.

Jest jeszcze jedna wersja tej legendy. Mówi się, że pochodzący z Wenecji Włosi byli czarownikami. W czasie swoich wędrówek spotkali Jakuba z Jawornicy, wioski położonej niedaleko Lewina Kłodzkiego. Kiedy tylko się dowiedzieli, że Jakub pochodzi ze Śląska, zaczęli go wypytywać o Złotą Sztolnię. Chłopak dobrze znał to miejsce i obiecał pokazać wędrowcom, ostrzegł jednak, że mają przed sobą dobre dwa tygodnie podróży. Wenecjanie uśmiechnęli się tylko i oświadczyli, że jutro wszyscy znajdą się w okolicy jaskini. Nazajutrz zdumiony Jakub, zamiast obudzić się w zajeździe na końcu świata, nowy dzień przywitał wśród znajomych drzew. Nawet nie zapytał, jak to się stało. Bez słowa zebrał swoje rzeczy i powiódł czarowników do sztolni. W czwórkę stanęli przed obrośniętą mchem szparą.

– Możesz iść z nami – oświadczył najstarszy z mężczyzn – Nie wolno ci tylko nic mówić, niczemu nie będziesz się dziwił i nigdy nikomu nie wyjawisz, co tu widziałeś.

Jakub wystraszony nieco przytaknął i dalej wszystko potoczyło się już jak w prawdziwej, choć trochę przerażającej bajce. Czarownicy wyjęli spod płaszczy czarne świece i tajemnicze księgi, zaczęli wypowiadać jakiś zaklęcia, a potem po cichutku zeszli do jaskini. Na dole stanęli w kręgu i zapalili świece. I oto ściany zaczęły powoli się przesuwać, a przed mężczyznami otwierały się coraz to nowe korytarze. Szli wzdłuż błyszczących ścian, aż ukazała się wielka jak świątynia hala, której sufit zdobiło z tysiąc sopli ze złota. Z podłogi wyrastał drugi tysiąc błyszczących igiełek. Wśród nich leżał człowiek w starodawnym stroju. Wyglądał tak, jakby na zawsze uspiła go magiczna siła.

– Ten nie znał zaklęcia – powiedział najmłodszy z czarowników i dziarsko zabrał się do utrącania wiszącego złota. W jego ślady poszli pozostali. W jaskini słychać było już tylko uderzenia młoteczków. W godzinę zapelnili worki po brzegi. Wenecjanie wymruczeli znów jakieś zaklęcie i zaczęli się wycofywać ku wyjściu. Za nimi jedna za drugą zamykały się ściany.

Jakubowi wydawało się, że całe życie będzie pamiętał zgrzyt zasuwających się kamieni i bram, których zamki przekręcała niewidzialna

ręka. Z ulgą wyszedł na świeże powietrze. Czarownicy chcieli go zabrać do gospody, w której spotkali się po raz pierwszy, ale chłopak wolał zostać na Śląsku. Tu miał dom, narzeczoną, a worek pełen złotych sopli, jak nic innego, dodawał mu pewności siebie. Już się zaczął rozmarzać, widzieć oczami wyobraźni nowe gospodarstwo, siebie w otoczeniu dzieci, a może i wnucząt, gdy jeden z czarowników oświadczył:

– Twoje złoto jest zaklęte. Wnet zamieni się w piasek albo sprowadzi na ciebie wieczny sen, tak jak na tego nieszczęśnika wewnątrz. Tylko my potrafimy je odczarować. Oddaj nam swój worek, my ci za niego zapłacimy, a ty odejdz w spokoju.

Tak też się stało. Jakub oddał sople, czarownicy dali mu pieniądze, rozłożyli na ziemi swoje czarne peleryny, usiedli na nich i jak na latających dywanach wzniesli się ku górze. Później ludzie w okolicy mówili, że tego dnia widzieli na niebie trzy wielkie chmury. Dziwili się tylko, że nie przyniosły deszczu. A Jakub, zgodnie z obietnicą, nikomu – nawet najbliższym – nie opowiedział o swojej przygodzie. Wiedział zresztą, że chociaż czarownicy byli już bardzo daleko, prawdziwej tajemnicy i tak strzegły duchy ze Złotej Sztolni.

Chyba nikt nie ma wątpliwości, że w XVII wieku Jakub spotkał jeszcze najprawdziwszych walończyków. Magiczne opowieści o Złotej Sztolni, ale i jej piękno, sprawiły, że w 1872 roku w jaskini znowu pojawili się ludzie. Komitet Przyjaciół Przyrody Ziemi Kłodzkiej zmienił bieg potoku, aby jego wody nie zalewały i nie zamulały sztolni. Gerhardt Gurich z Uniwersytetu Wrocławskiego przebadł dokładnie podziemne korytarze, a w 1890 roku Złotą Sztolnię udostępniono turystom. Ułożono schody, przebito przejścia przez groty, ustawiono ławki. Zwiedzanie odbywało się pod okiem wykwalifikowanego przewodnika, który pobierał za swoje usługi stosowną opłatę. W 1891 roku jaskinię odwiedziło ponad sto osób. Była to namiastka śląskiego alpinizmu jaskiniowego, który zresztą nigdy się nie rozwinął. Po kilkunastu latach woda wyrządziła w sztolni takie szkody, że wkrótce całkowicie ją zamknęto.

Dzisiaj rzadko kto do niej zagląda. A ten, kto już zajrzy, mimo wszystko poczuje się tu nieco nieswojo. Te ściany żyją, bo duchy przecież wszystko widzą. A poza tym... Zarówno w Górach Orlickich, jak i w Izerach czy w Karkonoszach między drzewami przemknie czasem postać w czarnym płaszczu. A potem niebo na chwilę się zachmurza. Nigdy jednak nie pada deszcz.

Arszenik i alchemicy

*Jak nie znaleziono eliksiru nieśmiertelności * Co ma Casanova do Złotego Stoku? * Górnicy żywcem pogrzebani * Zabójcze opary * Odmuchów ot muchów * Gertruda szuka męża * Konno do kopalni * Inwestycje Wita Stwosza * Ciężarówka z rosyjską wódką*

Jan Schärffenberg, alchemik z zamiłowania, aptekarz z zawodu, szukał eliksiru nieśmiertelności. Wierzył, że wieczną młodość może zapewnić magiczny napój, którego produkcja obwarowana była wieloma tajemnicami i zaklęciami. Co prawda kończył się XVII wiek i świat coraz częściej opierał się na badaniach naukowych, jednak Schärffenberg wiedział, że eliksir nie powstanie na żadnej uczelni. Mógł natomiast zostać wyprodukowany w jakimś małym, prywatnym laboratorium.

Alchemik był przekonany, że będzie to jego laboratorium. Tym bardziej że eksperymenty z cudownym specyfikiem, podobnie jak z prywatną produkcją złota, przeprowadzano już od dawna. W czasach Schärffenbergera również działo się wiele. Ciągłe żywa była pamięć o Sędziwoju, czarodzieju z Polski, który przed obliczem Zygmunta III przeobraził w złoto żelazny gwóźdź. Johann Rudolf Glauber, niemiecki lekarz i aptekarz, usiłował wyprodukować na własną rękę kamień filozoficzny i złoto. Zamiast cennego kruszcu odkrył sól glauberską, używaną zresztą do dziś jako środek przeczyszczający. Były proboszcz Daniel Wuelfer założył w Norymberdze „Towarzystwo Alchemiczne”, którego członkowie zgromadzili jedną z największych na świecie „branżowych” bibliotek. Niejaki Benedictus Figulus wymyślił, że „złoto z Żydów robić można”. Podawał nawet proporcje. Zaręczał, że z czterech Żydów

otrzymać można 1 lut złota, co rocznie dawało 1248 lutów. Figulus przestrzegał przy tym, żeby w dni świąteczne odpoczywać i chwilowo dać sobie spokój z pozyskiwaniem kruszcu¹. W tym czasie wreszcie powstał tajny zakon Różokrzyżowców. Bracia dążyli do zreformowania świata, uszczęśliwienia ludzkości, a także do przemiany metali nieszlachetnych w złoto i srebro. Za kilkadziesiąt lat na królewskich dworach pojawić się mieli hrabia de Saint Germain, który twierdził, że żyje już z tysiąc lat dzięki recepturze na eliksir młodości, i słynny uwodziciel Giacomo Casanova, do późnych lat szukający przepisu na ten specyfik. Czasy były więc nieco szalone i co do jednego można było mieć tylko pewność. Zarówno Saint Germain, jak Casanova zmarli, wniosek z tego, że nie udało im się odnaleźć eliksiru nieśmiertelności. Nie udało się to też Schärffenbergowi.

W 1679 roku niemiecki aptekarz stanął u wrót Złotego Stoku, ówczesnej stolicy śląskiego złota. Drogocenny kruszec go jednak nie interesował. Bardziej ciekawił go arsen. Na długie wieczory zamykał się w swoim laboratorium i eksperymentował. O eksperymentach wiedzieli wszyscy, bo w tamtych czasach naukowcy robili wiele huku. Co jakiś czas zza zamkniętych drzwi słyszano więc odgłosy eksplozji albo niegodne badacza przekleństwa. Oficjalnie Schärffenberg przyjechał do Złotego Stoku wprowadzić nową gałąź robót górniczo-hutniczych: produkcję arseniku z rud arsenowych. Po cichu szeptano jednak, że w laboratorium powstaje cudowny napój, po wypiciu którego nikt już nie będzie się starzeć. Tajemniczości całej sprawie dodawała obecność krewnego aptekarza, zwanego z racji duchownego stanu Pater Angelus. Dzieci ze strachem podglądały obu mężczyzn, gdy wieczorami energicznym krokiem wychodzili na spacer. Na ramieniu jednego z nich siedział zawsze mały szczur.

Ten szczurek był ulubieńcem przybyszów. Jako pierwszy skosztował też białego proszku, który pewnej nocy, udało się uzyskać. Aptekarz miał za sobą kilkanaście godzin męczących doświadczeń. Kiedy jednak wytrącił się proszek, poczuł znowu zapał do pracy. Odsypał trochę i podał szczurowi. Liczył, że w ten sposób przez kolejne tygodnie będzie mógł obserwować działanie niezwykłego eliksiru. Szczur jednak, zamiast młodnieć w oczach, przewrócił się na bok i – jak to elegancko mówiono w tamtych czasach – oddał ducha.

¹ Niektórzy badacze przypuszczają, że w przerażających wymysłach Figulusa, a naprawdę Benedykta Toepflera, kryją się m.in. korzenie niemieckiego rasizmu.

cego z wyrobisk kopalni. Podobno wysiedleni po wojnie Niemcy byli uzależnieni od tej wody, ich organizm potrzebował po prostu arsenu w większych ilościach. Mimo że przeciętna zawartość złota w tutejszych złożach wynosiła 0,00005%, a arsenu 1%, Złoty Stok nie zawdzięczał swej sławy arsenikowi. Miasto kojarzyło się jednak przede wszystkim ze złotem.

Złotodajną rudę wydobywano tu prawdopodobnie już w czasach Mieszka I, chociaż legendy chcą, aby w zamierzczłych czasach złoto w tutejszym jarze wskazał poszukiwaczom sam Duch Gór. Udokumentowane ślady pochodzą jednak z 1273 roku, kiedy to Henryk Probus nadał klasztorowi Cystersów w Kamieńcu Ząbkowickim prawo do poszukiwań górniczych. Pierwsi szukali tu więc zakonnicy. W tamtych czasach najpierw rozdrabniano wydobytą rudę. Potem układano ją w stopy na przemian z węglem drzewnym i okładano balami drzewa. Następnie takie stopy podpalano. Ponieważ złoto występowało głównie w rudzie arsenowej, do atmosfery dostawały się trujące substancje. Większość z nich, z powodu zachodnich wiatrów, opadała za Paczkowem. Zatrute powietrze sprawiało, że nie widywano tam owadów, okolica była więc wolna „ot muchów”. Od owych „muchów” powstała prawdopodobnie nazwa położonego kilkanaście kilometrów dalej Otmuchowa.

W XVI wieku w ośrodku złotostockim było czynnych 190 kopalń, z których większość należała do Fuggerów, bogatej rodziny bankierów. Fuggerowie prowadzili brutalną politykę wydobywczą, nie interesowało ich nic, oprócz złota. Pod ich rządami rozkwitła eksploracja. Do miasta przybyli hutnicy z Mansfeldu u stóp Harzu i górnicy z Tyrolu, gdzie w należących do Fuggerów kopalniach wydobywano miedź, antymon i srebro. Fuggerowie należeli do potentatów finansowych ówczesnej Europy. W każdej ze stolic utrzymywali swoje przedstawicielstwa, pożyczali pieniądze władcom, finansowali wojny i przewroty. W 1504 roku Fugger wraz z dwoma innymi przedsiębiorcami założyli spółkę mającą na celu wydobywanie złota. W najlepszym okresie wydobywali do 110 kg rocznie, co dawało 8% produkcji europejskiej. Na początku XVI wieku, w okresie największego rozkwitu eksploracji złota, udział w gwarctwie mieli znany krakowski mieszczanin i drukarz Szwajpolt Fiol i już sławny wtedy Wit Stwosz, autor ołtarza w Kościele Mariackim w Krakowie. Z tamtego okresu pozostały barwne nazwy sztolni: Bogate Pocięcie, Wniebowzięcie, Złoty Osioł. Całość odwadniał Emanuel. W Złotym Stoku przetapiano też srebro ze Srebrnej Góry i Olkusza



Najpierw Złoty Stok był stolicą złota, potem arsenu

oraz złoto ze Złotoryi. Ta dobra passa trwałaby jeszcze długo, gdyby nie wypadek w najwydajniejszym szybie Fuggerów, w Złotym Osle.

Już sama nazwa tej sztolni nie wróżyła nic dobrego. Złoty Osioł miał się wziąć od przewiska miejscowych Ślązaków, których nazywano „zjadaczami osła”. Na miano to zasłużyli sobie zachłannością, ponieważ nie chcieli zatrudniać w kopalniach obcych gwarków. Jeden z przybyszów powiedział nawet, że „Ślązacy są tak zachłanni na swego Złotego Osła, jakby go sami chcieli pożreć”. Według innej wersji sztolnia należała do rozrzutnych właścicieli, którzy cały dochód z wydobytego tu złota po prostu „przejadali”. I było w tym wiele racji, bo i Fuggerowie myśleli tylko o jednym. O jak największym zysku.

W 1565 roku w Złotym Osle doszło do największej katastrofy na terenie kopalni. Sztolnia zawałiła się, grzebiąc prawie stu górników. Właściciel nie chciał prowadzić akcji ratowniczej i zostawił górników w podziemiach. Legenda mówi, że mężczyźni krzyczeli i błagali o pomoc, ale nikt się tym nie przejmował. Fugger wyjechał i wycofał swoje udziały w kopalni. Górnicy do dziś czekają, aż ktoś dokopie się do ich grobowca. Pracownicy muzeum, które otworzono w dawnej kopalni złota, są przekonani, że dziwne odgłosy, które tu słychać czasami po wyjściu turystów, to właśnie duchy pogrzebanych żywcem mężczyzn. W planach jest odkopanie Złotego Osła.

Tragedia w Złotym Osle była początkiem upadku górnictwa w okolicy. Pod koniec XVI wieku produkcja złota spadła już do kilkunastu kilogramów rocznie. Wkrótce miasto zaczęły prześladować liczne klęski. W 1631 roku w kolejnej katastrofie zginęło 17 górników, dwa lata później wybuchła epidemia cholery, która pochłonęła ponad 1200 ofiar. Wielki pożar z 1638 roku, który zaczął się od niewielkiej piekarni, zniszczył 60 domów, ratusz i kościoły. Do tego doszła jeszcze wojna 30-letnia i kolejna zaraza. Całkowitemu upadkowi miasta zapobiegło przybycie znanego wam już Hansa Schärfffenberga i rozpoczęcie produkcji arseniku. Złoty Stok znów ożył.

W upalny sierpień 1790 roku miasto odwiedził Johann Wolfgang Goethe, najwybitniejszy niemiecki poeta, podróżujący właśnie do Łądko Zdroju. Goethe badał kopalnie w Złotym Jarze i opisał występowanie nefrytu. W 1853 roku złotostockie górnictwo szczegółowo opisał prof. Fryderyk Skobel z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nawet jeśli nie lubicie suchych rachunków, uzbrojcie się w trochę cierpliwości i przestudiujcie poniższą listę.

W 1825 roku w Złotym Stoku znajdowały się urząd skarbowy, sąd i poczta, 3 kościoły i kaplica na Kaplicznej Górze², 2 szkoły z czterema nauczycielami, ratusz z aresztem, szpital miejski i górniczy, 2 remizy strażackie, 2 browary, 4 warzelnie, 2 młyny wodne, farbiarnia, 2 pożantarnie, 2 fabryki wyrobów tytoniowych, 5 młynów prochowych, duża fabryka porcelany i strzelnica. Działało też 10 restauracji i 10 szynków. Kiedy w 1908 roku odkryto źródło szczawy arsenowej, miasto stało się popularnym letniskiem. Szczególnym powodzeniem cieszyła się gospoda w Złotym Jarze.

Ostatnim fajerwerkiem przed wybuchem II wojny światowej były zorganizowane z pompą w 1933 roku obchody 1000-lecia górnictwa złota. Taka data obchodów nie była jednak oparta na żadnych historycznych przesłankach.

Przyjmuje się, że do XX wieku w Złotym Stoku wydobyto około 15 ton złota. Z tutejszego złota odlano m.in. obrączki ślubne dla króla Fryderyka III, a także dla Wiktorii, królowej brytyjskiej. Stąd też pochodziło złoto użyte przy produkcji chrzcielnicy, dzbanka i misy, wykorzystywanych od 1851 roku przy chrztach na pruskim dworze królewskim i cesarskim. W czasie II wojny światowej roczne wydobywanie dochodziło do 60 kg rocznie. Jeszcze w 1946 roku wydobyto 64 kg złota, a potem produkcja już tylko spadała. W najlepszych latach osiągnano efekty na poziomie 15 do 28 kg. Produkcja arseniku wynosiła natomiast nawet do 1400 ton rocznie. Praca w kopalniach arsenu i hucie była niezwykle ciężka i przede wszystkim niebezpieczna dla zdrowia. Górnicy cierpieli na zatrucia. Kontakt z rudą wywoływał oparzenia skóry.

Kopalnia przetrwała do 1961 roku. Wtedy nieoczekiwanie, podobno ze względu na niską rentowność, kopalnię zamknięto. Wysadzono i zalano korytarze. W magazynach zostały tysiące beczek z arsenikiem. Do dziś nie wiadomo, co się z nimi stało. Plotka głosiła, że chodziło o cichą umowę ze Szwedami, drugim znaczącym producentem arseniku w Europie. Kopalnia stała opuszczona przez 30 lat, do momentu, kiedy Wiktor Lubieniecki, burmistrz Złotego Stoku, wpadł na pomysł udostęp-

² W kaplicy na Kaplicznej Górze, która góruje nad Złotym Jarem spotkacie ostatniego chyba na Dolnym Śląsku pustelnika, Bronisława Mitusińskiego. Od 1947 roku mieszkaniec Złotego Stoku, a od 1 stycznia 1974 roku wizjoner z zapalem modli się i nawraca ludzkość. Pan Mitusiński cieszy się z każdej wizyty, uważa jednak, że kobiety powinny nosić „długie spódnice, naturalne, nie ufryzowane włosy, a na twarzy jak najmniej malowideł. Kobiety w spodniach Antychryst wodzi”.

nienia korytarzy turystom. Dodatkową atrakcją miał być podziemny wodospad spadający w szybie o głębokości 23 m. Szukanie współników trwało 5 lat. W końcu w spółkę z gminą weszło kilkunastu prywatnych udziałowców i 28 maja 1996 roku w podziemia weszli pierwsi goście. Wtedy też nowi pracownicy kopalni zaczęli dokładne penetrowanie starych korytarzy i powolne odkrywanie tajemnic złotych podziemi. Niby do zwiedzania udostępniono 2 sztolnie, ale wkrótce się okazało, że mają wiele zawałonych i niezbadanych odnóg, że pod nimi znajdują się kolejne poziomy. Zagadka gonila tu zagadkę. Legenda legendę. A do tego wszystkiego do sprawy wmieszały się duchy.

– Kiedyś prowadziłam tędy grupę i nagle coś mi tak dmuchnęło w twarz, że zaraz pomyślałam, że ten podmuch może oznaczać tylko jedno; nie wchodźcie tam. Aż mnie ciarki przeszły. A potem była tu pani, która od wielu lat zajmuje się sprawami paranormalnymi, i powiedziała, że w kopalni czuje wibracje dusz. Pytała nawet, czy tu ktoś zginął. Potem ktoś powiesił w podziemiach różaniec. Może to dziwne, ale musieliśmy zamknąć ten „nawiedzony” chodnik, nikogo tam nie wprowadzamy – opowiada Elżbieta Szumska, pani na kopalni złota w Złotym Stoku, a oficjalnie prezes spółki dzierżawiącej pomieszczenia Muzeum Górnictwa i Hutnictwa Złota w Złotym Stoku. Elżbieta sama jest niespokojnym duchem. Całymi godzinami potrafi opowiadać o zagadkach złotych sztolni. Do podziemi jednak rzadko zapuszcza się sama. Wie, że nawet głęboko pod skałami też wszystko żyje.

– Pracownicy słyszą często dziwne odgłosy i postukiwania. Kiedyś jeden z kolegów malował metalowe schody prowadzące do podziemnego wodospadu. Po kilku godzinach pracy postanowił trochę odpocząć, pod ziemią był zupełnie sam. I nagle, gdzieś w połowie szybu, tam gdzie jest XV-wieczny chodnik usłyszał zmułne stukanie. Jakby pracował jakiś górnik. Kolega mówił, że nigdy potem już nie poczuł tego, co w tamtej chwili, lęku, a nawet przerażenia – wspomina Ela Szumska.

Z każdą sztolnią wiąże się jakaś opowieść bądź legenda. Na przykład Sztolnia Książęca. Ma 200 m długości, wejście do niej zaś znajduje się w Złotym Jarze. Kiedyś jeden z magnatów postanowił osobiście zobaczyć, jak wygląda wydobywanie złota. Oznajmił jednak, że po własnej kopalni nie będzie się czołgał, więc specjalnie dla niego poszerzono chodnik. Górnicy cieszyli się, że nie miał ochoty wjechać do kopalni konno.

W sztolni Czarna natomiast zadomowiły się gnomy. Siadają na plecach każdemu, kto ma nieczyste sumienie. Dlatego w chodniku ustawio-

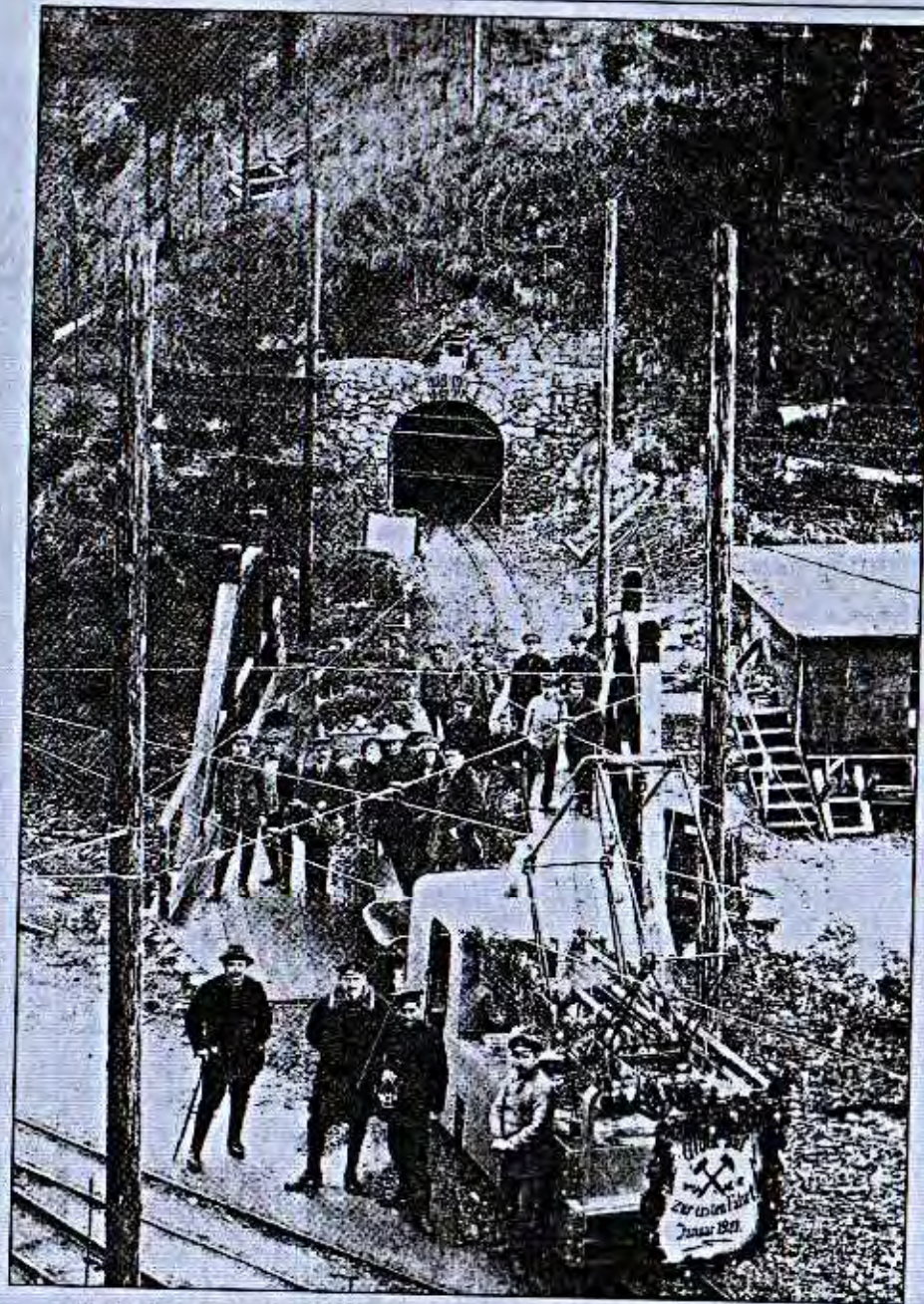
no lustro. Każdy może sprawdzić, czy na pewno nie się do niego nie przyczepilo.

Sztolnia Gertruda wzięła swoją nazwę od imienia żony jednego z górników, którzy zginęli w wypadku. Gertruda chciała ratować męża, weszła pod ziemię i już nie wróciła. Podobno od tej pory błąka się pod podziemiach i pomaga wyjść na światło dzienne zagubionym. Część Gertrudy jest zalana. Być może kiedyś do zalanych fragmentów będą dochodzić turyści, na razie pełne wody chodniki dostępne są tylko dla poszukiwaczy przygód. W tej części kopalni jest niesamowicie. Krystalicznie czysta woda w najgłębszym miejscu ma 1,5 m, w najniższym zaś ledwie kilkanaście centymetrów. Przepłynięcie 500-metrowego korytarza trwa wieczność. Korytarz jest wąski i w niektórych miejscach trzeba uważać, aby skały nie podziurawiły pontonu. Na końcu chodnik się rozwidla. W lewo prowadzi do Komory Strachu. Gdyby przebić nad nią 40-metrowy komin, można by dojść do Sztolni Książęcej.

W wielu zakamarkach kopalni znajdują się miejsca, które należałoby jeszcze zbadać. Kilka lat temu w jednym z garaży w Złotym Stoku nieoczekiwanie zapadła się posadzka. Samochód wleciał do wielkiej dziury i przepadł. Tak odkryto Emanuela, zdaniem Elżbiety Szumskiej najpiękniejszą sztolnię na świecie. Ta sztolnia odwadniała wyrobiska górnicze na Górze Haniak i osiągnęła długość 1340 m. Opisywano ją już w 1506 roku. Jest ręcznie kuta, kręta, a pod nią znajduje się jeszcze 8 poziomów. Gdyby ją dzisiaj udrożnić i dalej przebić, można by prawdopodobnie dojść pod Złotego Osla, który czterysta lat temu pogrzebał górników.

Ale i tak nie Emanuel jest największą tajemnicą kopalni. Nie rozwiązana zagadką pozostaje cały czas sztolnia Czarna, która teoretycznie ma dwa wejścia. To udostępnione znajduje się w Złotym Jarze, kilkaset metrów od Gertrudy. Tymczasem jeszcze 50 lat temu do Czarnej można było wejść tuż obok Gertrudy. W 1945 roku uciekający Niemcy wysadzili Czarną. Powstał w ten sposób zawał, który uniemożliwia dostanie się do środka „głównym wejściem”. Jest to niemożliwe także z drugiej, turystycznej strony. Zwiedzający oglądają w Czarnej ręcznie kute chodniki, schodzą do podziemnego wodospadu i wracają tą samą drogą. Ewentualne przejścia są zasypane. Zawał w Czarnej fascynuje nie tylko pracowników muzeum, ale i poszukiwaczy skarbów.

Ze Złotym Stokiem, podobnie jak z większością dolnośląskich miast, związana jest opowieść o tajemniczych ciężarówkach, które pod koniec



W 1921 roku w sztolni Gertruda zaczęła pracować kolejka elektryczna. Na zdjęciu jej pierwszy, szczęśliwy wyjazd (zdjęcie z archiwum kopalni)

wojny wjechały do Złotego Jaru. W Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu znajdują się zeznania Aleksandra Kajdaka, który twierdzi, że jesienią 1944 roku na stację kolejową w Złotym Stoku przyjechał pociąg wyładowany skrzyniami. Skrzynie przeniesiono na ciężarówki, które wywoziły je do jednej z okolicznych sztolni. W czasie przejazdu transportu nikomu nie wolno było wyglądać przez okno. Jeżeli gdzieś chociaż zadrzała firanka, esesmani natychmiast otwierali ogień. Eksploratorzy więc liczą, że za zagadkowym zawalem znajduje się co najmniej złoto w sztabkach. Mówi się też, że w sztolni ukryto przed nadchodzącymi Rosjanami samochody z wódką, ale ile w tym prawdy, nie wiadomo. Przekopanie się przez Czarną pozwoliłoby rozwiązać wojenną tajemnicę, a także jeszcze bardziej uatrakcyjnić zwiedzanie. Wtedy zamiast spacerować do podziemnego wodospadu, można by do niego płynąć.

– Kiedy po raz pierwszy podjęliśmy próbę przebicia się przez zawal, to w cztery miesiące udało się odgruzować zaledwie 5 m – opowiada Elżbieta Szumska – W 1999 doszliśmy już do chodnika zabezpieczonego metalowymi sztabami i szalunkami. Koszta całego przedsięwzięcia były jednak zbyt duże, postanowiliśmy więc spróbować dostać się do ciężarówek z drugiej strony, od miejsca, które zwiedzają turyści. W styczniu 2000 roku zaprosiłam do współpracy Andrzeja Derendarza i Tomka Banasia, eksploratorów z Kalisza. Zajęli się oczyszczeniem niewysokiego korytarza, który znajduje się tuż nad zejściem do wodospadu. Udało przedostać się tylko do pewnego miejsca. „Skarb” ciągle czeka.

Tajemnice złotostockiej kopalni działają na wyobraźnię nawet zatwardziałych racjonalistów.

– Dwieście metrów stąd jest już granica polsko-czeska – mówi Elżbieta Szumska – Kiedyś przy grupie wojskowych zażartowałam, że pod ziemią przenosimy piwo z Czech. Na drugi dzień w dwóch samochodach przyjechała Straż Graniczna, żeby mnie przesłuchać. To co mówiłam, wzięli zupełnie na poważnie. A kto wie, może rzeczywiście jest tu takie przejście?

Ela Szumska uśmiecha się figlarnie. Wyjaśnione tajemnice to żadne tajemnice. Geodeci twierdzą, że w okolicach Złotego Stoku może zalegać jeszcze 80 ton złota! To zapewne znacznie przesadzona liczba, ale kto wie, czy kiedyś nie zostanie znowu wznowione wydobywanie. A nawet jeżeli nie, to w Złotym Stoku na odkrycie ciągle czekają: sztolnia pogrzebanych żywcem górników i niemieckie ciężarówki. No i eliksir nieśmiertelności.

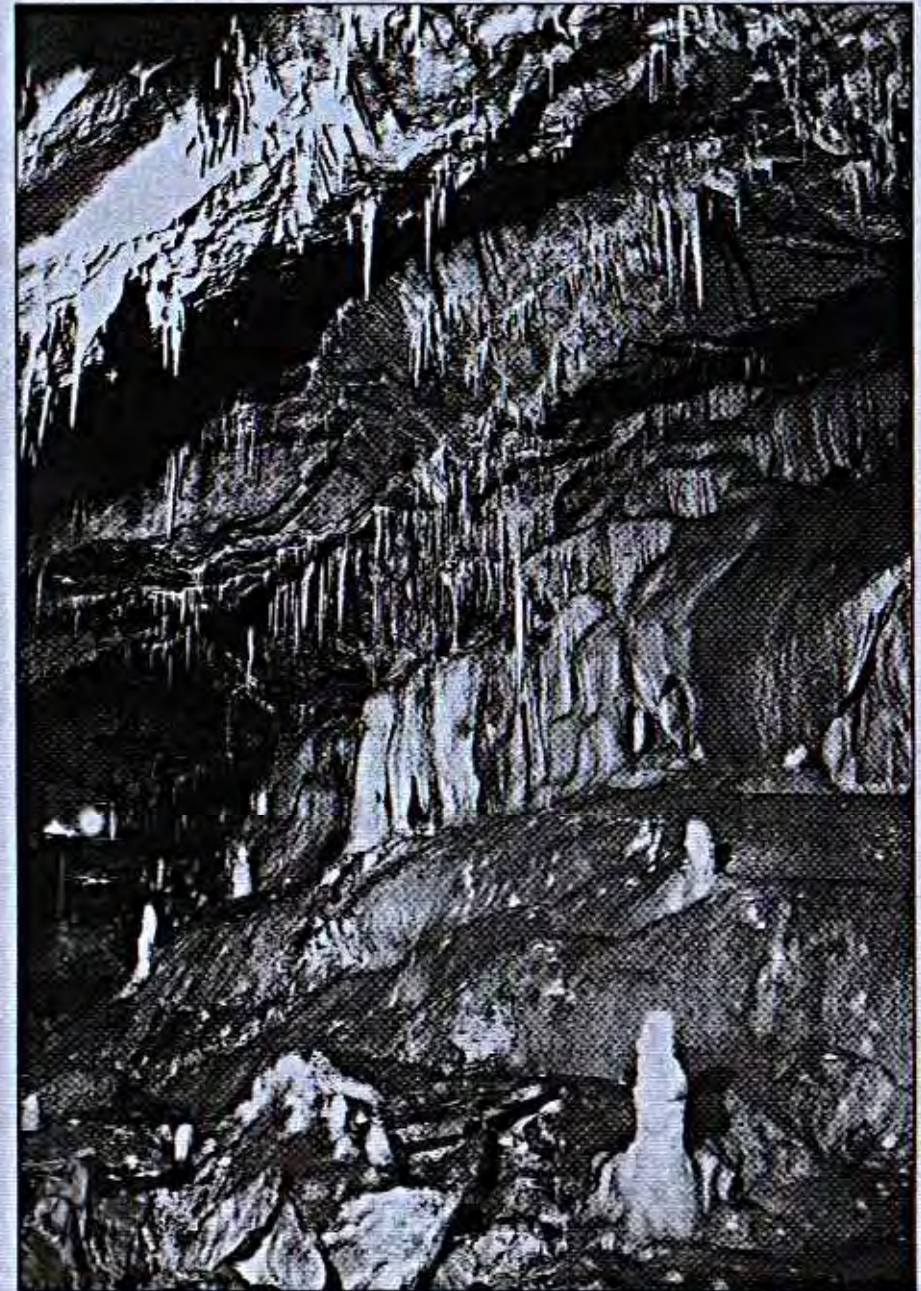
Księżyc uwięziony w podziemiach

*Wybuch odkrywa wejście * Korytarze, których nie znamy
* Piersi Afrodyty * Niedźwiadek zaklinowany na wieki * Ko-
los, który bał się ludzi * Grotolazi czolgają się przez szufladę
* Podziemia pod podziemiami * Lwy pożerają chrześcijan*

Nazwy mówią same za siebie. Sala Szampańska, Diamentowy Korytarz, Wielka Kaskada, Pałac na Kryształowej Górze. Od zgromadzonego tu piękna można dostać zawrotu głowy. Wszystko się błyszczy, mieni tysiącami odcieni złota, brązu i bieli. Umiejętnie podświetlone zaulki, wypełnione kryształową wodą zakamarki, dźwięcznie opadające krople tworzą magiczny klimat.

Kiedy w 1966 roku do Jaskini Niedźwiedziej weszli pierwsi ludzie, nie chcieli wierzyć własnym oczom. Zupełnie jakby znaleźli wrota do podziemnego skarbcza. W Polsce jest niewiele jaskiń, które ze względu na wielkość, budowę i piękno stają się turystyczną atrakcją. Jaskinia Niedźwiedzia koło Kletna szybko została uznana za perłę Ziemi Kłodzkiej. Badania wykazały, że pod względem długości zajmuje szóste miejsce w Polsce, jest za to najdłuższa w Sudetach i najpiękniejsza. Aż trudno uwierzyć, że jej odkrycie było... kwestią przypadku.

Już od średniowiecza w okolicach Kletna szukano srebra, miedzi i żelaza. Po II wojnie światowej znajdował się tu oddział kowarskiej kopalni uranu. Kiedy zaprzestano jego wydobywania, przyszedł czas na marmur. Był październik 1966 roku. Robotnicy, jak zwykle, zaczęli pracę. W ścianie kamieniołomu zrobili dwa otwory i włożyli do nich ładunki amonitu. Czekali na wybuch. Kiedy ucichł huk walącej się skały, ujrzeli niewielką szczelinę.



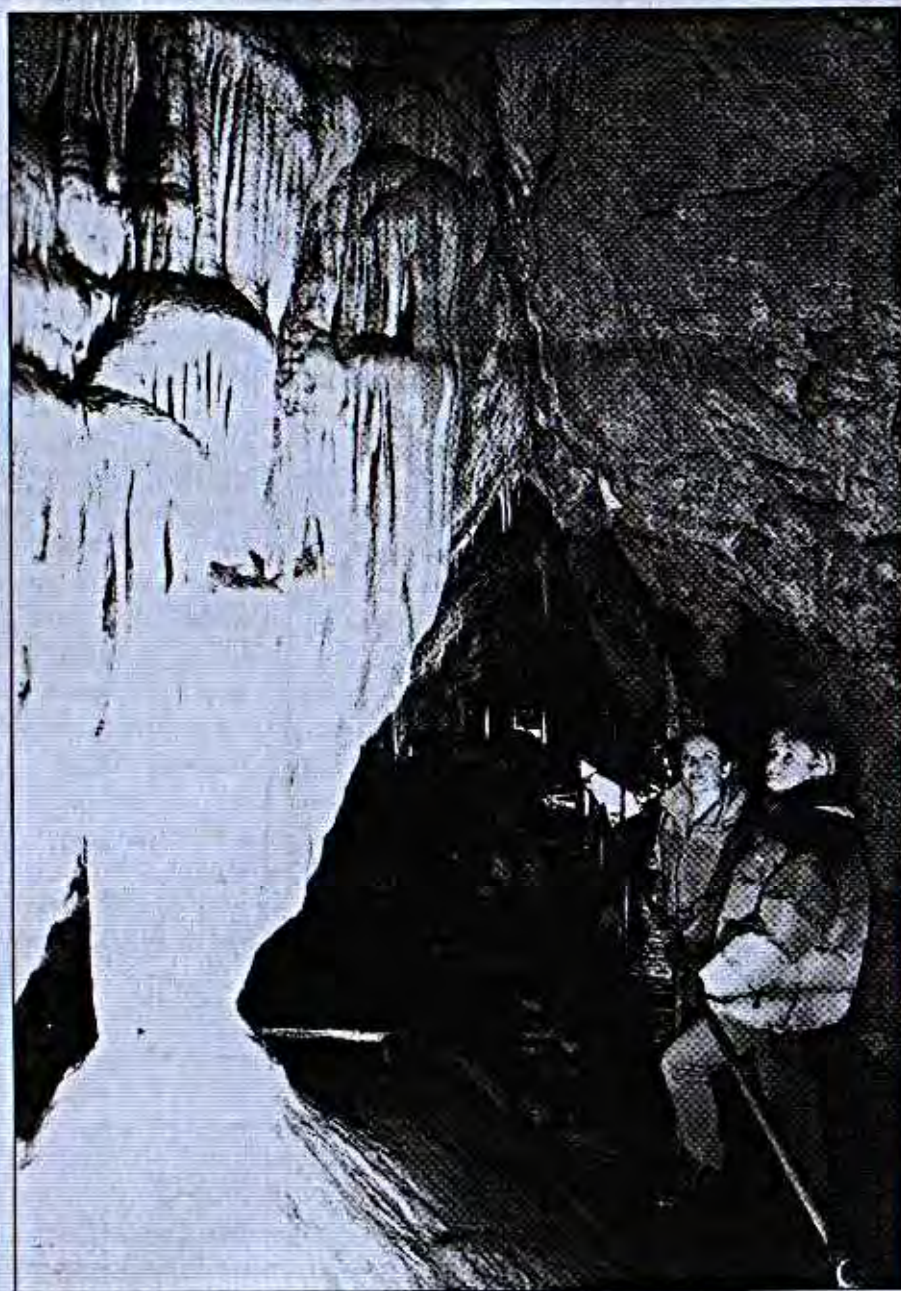
Szata naciekowa jaskini tworzy się cały czas.
Badacze twierdzą, że każdy milimetr to nawet kilkanaście lat

I może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie kości, które przy wejściu zauważyli robotnicy. O znalezisku poinformowali naczelnego geologa Ładka Zdroju; w Kletnie pojawili się naukowcy i stwierdzili, że kości należały do żyjącego około 15 000 lat temu niedźwiedzia jaskiniowego – opowiada Marek Suszyński, dyrektor Jaskini Niedźwiedziej – Były tam oczywiście także szczątki innych zwierząt, ale że prawie 80% z nich to kości niedźwiedzia; od niego też jaskinia wzięła swoją nazwę. Znaleźisko miało poważną rangę. Wkrótce więc zamknięto kamieniołomy. Co prawda do początku lat dziewięćdziesiątych pracował położony poniżej wejścia do jaskini kamieniołom Kletno I, ale teraz częściej niż robotników widywano tu grotolazów, geologów i naukowców pokrewnych dziedzin.

Jaskinia Niedźwiedzia była wielkim odkryciem. Była też niezwykle lekcją historii ziemi. Do Kletna przyjeżdżały setki zapaleńców, którzy pod czujnym okiem naukowców badali i czyszili korytarze. Za każdym załomem czekało coś nowego. W ciągu dwóch lat badacze odkryli blisko 1000 m korytarzy i komór. Do 1972 roku znanych było już prawie 3000 m. Wiadomo jednak, że to nie wszystko. Jak wynika z badań elektrooporowych znajdują się tu jeszcze inne, nieznanne pomieszczenia, których wielkość trudno określić.

Już trzy lata po odkryciu Jaskini Niedźwiedzią uznano za pomnik przyrody, a w 1977 roku na obszarze prawie 90 ha utworzono rezerwat. W 1983 roku do wnętrza ziemi weszli pierwsi turyści. Od tej pory jaskinia stała się jedną z największych polskich atrakcji. W sezonie z trudem można tu dostać bilety. Większe grupy rezerwują wejściówki nawet kilka tygodni wcześniej. Jaskinia warta jest takiego czekania. Kiedy wejdziecie już do środka, trudno Wam będzie uwierzyć, że to, na co patrzycie, tysiące lat powstawało dzięki naturze.

Wody Kleśnicy tworzyły korytarze i sale jaskini, a wody opadowe powodowały powstanie szaty naciekowej. W jaskini można prześledzić różne formy, fazy i kształty korytarzy, będące następstwem przepływu wód jaskiniowych. Najpiękniejsze nacieki znajdują się w tzw. Sali Pałacowej, Korytarzu Stalaktytowym i w korytarzu Mis Martwicowych. Oprócz niezliczonej liczby stalaktytów i stalagmitów, w jaskini występują kolumny nazwane stalagnatami, heliktyty, draperie (dzieci nazywają je chipsami), firany, kominy, syfony i kaskady naciekowe. Największa z nich, udostępniona do zwiedzania to 8-metrowa Wielka Kaskada. Na dnie korytarzy i komór ciągną się pięknie wykształcone misy mar-



Oprócz niezliczonej ilości stalaktytów i stalagmitów, w jaskini występują kaskady naciekowe. Największa, udostępniona do zwiedzania, to 8-metrowa Wielka Kaskada

twicowe. W ich wnętrzu tworzą się przypominające kolonie koralowców lub ziarna ryżu formy krystaliczne. Stąd tej ich nazwa: Pola Ryżowe. Przyjrzyjcie się im uważnie. Wzory w każdym zagłębieniu mają inny kształt. Wszystko jest podświetlone, ale ze względu na ochronę jaskini we wnętrzu mogą przebywać tylko niewielkie grupy. Lampy są tak z sobą sprzężone, aby paliły się tylko wtedy, gdy zwiedzający oglądają konkretne miejsce.

Szata naciekowa tworzy się cały czas. Trudno powiedzieć, ile czasu budują się te niezwykle ozdoby. Badacze twierdzą, że każdy milimetr to nawet kilkanaście lat. Na jednym z nacieków widać nietoperza, który 50 lat temu martwy upadł w tym miejscu. Teraz zobaczycie już tylko jego zarysy.

Te szczególnie oryginalne nacieki mają swoje nazwy. Największy, wyrastający z ziemi stalagmit to Pałac na Kryształowej Górze, „tłuściutki” stalaktyt to Indor, są też Piersi Afrodyty, Mózg, Krasnoludki, Święta Rodzina, Kobra, Budda. Otwór, którego wnętrze wygląda jakby wypełnione zębami, to Uśmiech Czarownicy. Przewodnicy nie opowiadają tutaj legend. Każdy przyglądając się nierzeczywistym kształtom tworzy własne historie. Nacieki to znakomita pożywka dla wyobraźni. Wnętrze jaskini przypomina scenografię do filmu o podziemnym świecie, który znamy tylko z bajek. A i tak, to co oglądają turyści, to zaledwie połowa tej bajki. Jaskinia ma przecież trzy poziomy. Najciekawszy, dostępny tylko dla wprawnych grotolazów, to ten najniższy. Jan Trumpus, przewodnik, wieloletni badacz i strażnik jaskini, nazwał jego „wystrój” gotykiem. Środkową, turystyczną część jaskini przyrównał natomiast do baroku.

Aż trudno uwierzyć, że tam poniżej wszystko jest jeszcze piękniejsze, jeszcze bardziej tajemnicze i o wiele, wiele większe. Wystarczy spojrzeć na 8-metrową Wielką Kaskadę. Podobna kaskada w niedostępnej części ma 40 m wysokości!

– Zdarza się, że do najniższego poziomu jaskini nie są w stanie wejść nawet najwytrawniejsi grotolazi – twierdzi dyrektor Marek Suszyński – Do środka wchodzi się przez szczelinę, którą nazywamy Szufladą. Widać ją pod mostkiem tuż za wejściem. Penetratorzy czolgają się przez nią w błocie około 3 m. To przejście jest tak wąskie, ma zaledwie 30 cm wysokości, że często pełźnie się z twarzą w błocie. Byłem świadkiem, jak doświadczony i bardzo szczupły grotolaz, który bywał wcześniej w środku, nie mógł się przecisnąć przez Szufladę. Nastąpiła u niego blokada psychiczna. Ale widziałem też, jak pulchny eksplorator założył się,

że wejdzie do środka. I wygrał zakład. Kolega, który przegrał, musiał za to przy świadkach pocałować go w... niech zresztą pani sama zgadnie gdzie. To naprawdę jest trudna trasa. Jest jeszcze do pokonania Ściana Placzu, wąska szczelina pomiędzy dwoma ścianami. Sześć metrów przechodzi się następującą metodą: plecy opieramy o jedną ścianę. Kolanami i łokciami zapieramy się o drugą i tak przesuwamy się w bok. Wystarczy chwila nieuwagi i po człowieku. Ale nawet w tak ekstremalnych warunkach trzeba dbać o jaskinię. Na samym dole badacze myją z błota kombinezony, aby nie zabrudzić krystalicznie czystych nacieków.

Najniższe „piętro” Jaskini Niedźwiedziej robi wrażenie na najbardziej doświadczonych badaczach. Sala nazwana Szampańską ma około 40 m średnicy i 20 m wysokości, czyli tyle, ile 7-piętrowy budynek. Kolumny są tak grube, że z trudem obejmują je 4 osoby. Korytarz Kryształowy lśni bielą, Diamentowy połyskuje jak skrzynia pełna skarbów. No i jeszcze 40-metrowa kaskada. Ta część jaskini prawdopodobnie nigdy nie zostanie udostępniona turystom. Po pierwsze ze względów bezpieczeństwa, po drugie ze względu na ochronę. Najniższe partie można oglądać na slajdach, w specjalnej sali przy wejściu. Koniecznie trzeba to zobaczyć.

Dla turystów najciekawsze są nacieki, lodowe sople, barwne kształty. Naukowcy natomiast bardziej interesują się namuliskami, które w jaskini odłożyły się w okresie ostatniego zlodowacenia. W osadzie z gliny, piasku i ilu leżą odłamki skał i kości. Tych kości naukowcy znaleźli tu kilkadziesiąt tysięcy. To głównie szczątki niedźwiedzia jaskiniowego.

W gablocie przed wejściem stoi zrekonstruowany szkielet niedźwiedzia – nie jest oryginalny. Szczątki, na których podstawie wykonano rekonstrukcję, obejrzyjcie w samej jaskini. Również tam, w jednej ze szczelin przed tysiącami lat zaklinował się mały niedźwiadek. Mógł mieć najwyżej 2 lata. Oglądane od dołu kości robią bardzo ponure wrażenie.

Niedźwiedź jaskiniowy był najpotężniejszym drapieżcą żyjącym przed 15 000 lat, o jedną trzecią większym od współczesnego niedźwiedzia brunatnego. Mieszkał w jaskiniach, w nich też chronił się, aby dokończyć życia. W postawie stojącej dochodził do ponad 3,5 m wysokości. Był dwa razy potężniejszy od człowieka. Człowiek był też jego największym wrogiem. Przedstawiciele tzw. kultury magdaleńskiej (w Polsce skończyła się około 9500 lat temu) wytępilli go całkowicie na mięso. Kult niedźwiedzia jaskiniowego był prawdopodobnie pierwszą, powszechną religią ludzkości. Stąd może kamienne niedźwiadki na Ślący.



Czaszka niedźwiedzia jaskiniowego. W pozycji stojącej ten olbrzym osiągał wysokość ponad 3 m



Bajkowy świat jaskini

Wielu naukowców wymienia jaskinie, a wśród nich Radochowską, jako miejsce domniemanego pochówku tego zwierzęcia. Mimo że w Jaskini Niedźwiedziej nigdy nie znaleziono śladów człowieka, jednak jeden z badaczy opisał znaleziony tu kiel z śladami obróbki i jedną czaszkę niedźwiedzia z otworem w części czołowej, wykonanym niewątpliwie włócznią prehistorycznego myśliwego.

„Istnieją przypuszczenia, że w okresie paleolitycznym człowiek mógł chwycić niedźwiedzia i hodować przez pewien okres w celu użycia go do jakichś uroczystości religijnych, a chroniąc się przed ewentualnym pogryzieniem spiłowywał zęby. Znane są jednak fakty śladów uszkodzenia i naturalnego zużycia zębów. Nagromadzenie oraz układy kości można wyjaśnić zachowaniem się samych niedźwiedzi, chociaż pewne zmiany mógł też wprowadzić człowiek” – pisze Teresa Wiszniowska.

Profesor Wiszniowska odnalazła 5 niedźwiedziich czaszek równo ułożonych obok siebie. Ponieważ nie było tu innych fragmentów szkieletu, naukowcy doszli do wniosku, że czaszki rozłożono w ten sposób umyślnie. Miejsce odkrycia nazwano korytarzem Człowieka Pierwotnego, bo grotolażi spotkali kamienny krąg, przypominający ognisko. Badania nie potwierdziły domysłów. Nigdy nie rozpalano tu ogniska, nigdy też nie było tu człowieka.

– Na kości i zęby niedźwiedzia natykamy się tu co krok – tłumaczy Marek Suszyński, dyrektor jaskini – Niedźwiedź jaskiniowy był pokryty bardzo gęstym futrem, żywił się głównie roślinami, rzadziej jadł mięso. Był łagodnym zwierzęciem, żył krótko, na ogół od dwóch do czterech lat. Z badań wynika, że jaskiniowe życie powodowało u niego różne choroby, z pewnością cierpiał na reumatyzm. Niedźwiedź jaskiniowy nie jest przodkiem niedźwiedzia brunatnego, jego geny zaginęły. Został wytępiony około 12 000 lat temu. Zgodnie z tzw. regułą Bergmana, gatunki w okresie schyłkowym ulegają degeneracji. I tak było w tym wypadku. Poszczególne osobniki bardzo różniły się od siebie wielkością. Niektóre miały wielkość psa, inne przypominały prawdziwe kolosy.

W Jaskini Niedźwiedziej żył także lew jaskiniowy. Z wyglądu przypominał coś pomiędzy współczesnym lwem a tygrysem. Był też o wiele masywniejszy od współczesnego lwa. Nie miał grzywy, a jego całe ciało porastała gęsta sierść. Ogon miał podobny do współczesnego kota, owłosiony i bez kitki na końcu. Pod względem siły i rozmiarów ustępował tylko niedźwiedziowi jaskiniowemu.

„Nie mógł zamieszkiwać jaskiń równocześnie z niedźwiedziem jaskiniowym, jakkolwiek kości obu tych zwierząt znajdują się razem w jaskiniach – pisze prof. Teresa Wiszniowska – Według niektórych autorów lew padł ofiarą zachodzącego do jaskini niedźwiedzia albo też czas pobytu w jaskini obu drapieżników był różny, po wyginięciu jednego drapieżnika grocie zajmował drugi. Potwierdzeniem tego mógłby być brak uszkodzeń na kościach tych zwierząt znajdujących w jaskiniach.”

Na ścianach jaskiń Europy Zachodniej znaleziono rysunki lwa jaskiniowego, nawet sprzed 30 000 lat. Może to świadczyć o tym, że ludzie na niego polowali. Lew przeżył niedźwiedzia jaskiniowego. Wspominali go jeszcze Herodot, grecki pisarz z V wieku p.n.e, i żyjący wiek później Arystoteles. Lew jaskiniowy został wytępiony prawdopodobnie między 80 a 100 rokiem n.e. Naukowcy nie wypowiedzieli się jednoznacznie, czy współczesny lew pochodzi od jaskiniowego. Natomiast bardzo możliwe, że to lwa jaskiniowego Rzymianie wypuszczali na arenę pełną bezbronnych chrześcijan.

W Jaskini Niedźwiedziej znaleziono też szczątki łagodniejszych zwierząt: lisów, bobrów, nornic, saren, kun, i nieco mniej przyjemnych wilków i hien. Do dziś natomiast żyją tu kolonie nietoperzy, które ostatnio zaczęły przenosić się do niższych partii jaskini. W niedostępnej części nadal panuje mikroklimat zbliżony do pierwotnego.

Temperatura w jaskini waha się w tej chwili w okolicach 6,2-6,3 stopnia C. To temperatura naturalna – tłumaczy Marek Suszyński – Jednocześnie wpuszczamy tylko niewielkie grupy. Dwa miesiące w ciągu roku i dwa dni w tygodniu jaskinia jest zamknięta. Wtedy jaskinia odpoczywa. Przy wejściu i wyjściu znajdują się śluzy, które umożliwiają utrzymanie odpowiedniej temperatury. Od 1991 roku działa przy jaskini stacja naukowa, która bada za pomocą nowoczesnej aparatury tutejszy mikroklimat.

Turystom trudno uwierzyć, że zmiany mikroklimatu po otwarciu groty wpływają na jej degradację. A jaskinia to przecież żywy organizm. Szybko reaguje na zmiany. Nawet wydychany przez 400 turystów dziennie dwutlenek robi swoje. Dlatego chroni się tu każdy centymetr skały. I pewnie dlatego Jaskinia Niedźwiedzia zachowuje ciągle swoje piękno. Przyjeżdżający zostawiają w księdze pamiątkowej pełne ozdobników wpisy.

„Jestem pełen podziwu wobec ludzi, którzy udroznili wszystkie kominy, pałace i korytarze tej groty oraz wobec Stwórcy sprzed milionów

lat” – napisał w 1994 roku Lech Wałęsa, który zwiedzał jaskinię w towarzystwie księdza Cybuli.

Pewna poetka stwierdziła, że Jaskinia Niedźwiedzia przypomina średniowieczne lochy, w których uwięziono Księżyc. Dlatego wszystko tu niezmiernie połyskuje. Prawda jest jednak jeszcze bardziej tajemnicza. To wnętrze jest dziełem Natury.

W poszukiwaniu zaginionej czaszki

*Śmiałkowie w wielkich koszach * Jednorożec na szczęście
* Wrzody cudownie uzdrowione * Kto opiłował kły? * Człowiek sprzed tysięcy lat * Ani śladu po dowodach * Tajemnicze troglobionty * Podziemne jezioro * Smok o trzech głowach*

Nierwszym, choć przypadkowym badaczem jaskiń był Salmannasar, asyryjski władca, który w 852 roku p.n.e odbył podróż w poszukiwaniu źródeł Tygrysu. Woda zaprowadziła króla do trzech niewielkich jaskiń, Jego Wysokość nie zamierzał ich jednak badać. Wiele, wiele wieków później jaskinie zafascynowały sławnego Leonarda da Vinci. Potem przez ciemne wrota do wnętrza ziemi wchodzili tylko najodważniejsi poszukiwacze. Do połowy XIX wieku wielu z nich wierzyło, że w jaskiniach mieszkają duchy i potwory. Śmiałków opuszczano do środka w wielkich koszach. Oczekiwali najgorszego – spotkania ze smokiem. Naukowcy natomiast oglądali znalezione w jaskiniach kości i wiedli dysputy, czy przypadkiem nie są to szczątki mitycznego jednorożca. Ujrzenie jednorożca gwarantowało spełnienie się wszystkich, nawet najbardziej szalonych marzeń. Inni widzieli w wielkich kościach dragony zabite przed bohaterów. Jeszcze inni, ci myślący nieco bardziej realnie, przerabiali szczątki na lekarstwa. Proszki te, jak to dawniej bywało, uchodziły za dobre na wszystko: od pypcia na nosie po zaklinalanie miłości. W końcu jednak, w XX wieku naukowcy wzięli się do sprawy zupełnie poważnie. I wtedy okazało się, że to, co naprawdę dzieje się w jaskiniach, wcale tak wiele nie różni się od bajkowych wyobrażeń. Świat jaskiń to kraina dziwnych stworów i walki o przetrwanie, zarówno ludzi, jak i zwierząt.

Już w XVIII wieku pojawiły się pierwsze wzmianki o jaskini w Radochowie, niedaleko Łądku Zdroju. Radochów był niewielką wioską, która w połowie XIX wieku zamieniła się w znane letnisko. Każdy przebywający w Łądku kuracjusz miał do zaliczenia trzy punkty programu: radochowski dwór z parkiem, kalwarię i oczywiście jaskinię. Dwór wzniesiony został w drugiej połowie XVI wieku, a wielokrotne przebudowy nadały jego bryle interesujący charakter. W 1854 roku na górze Cierniak wzniesiono Kalwarię i kaplicę, do których prowadziło 214 kamiennych schodków. Wyryte na nich były nazwiska fundatorów. Świątynia powstała dzięki cudowi, jakiego doświadczył w 1836 roku Antoni Wachtmann: w nadprzyrodzony sposób został wyleczony z wrzodów. Trzydzieści lat później rozpoczęła się budowa kaplicy górskiej Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych. Od 1856 roku w pobliżu mieszkali dwaj pustelnicy, a turyści zachwycali się całym założeniem i widokami na okolicę. Ci zaś, którzy chcieli poczuć lekki dreszcz emocji i mieć o czym pisać do rodziny, wędrowali do Jaskini Radochowskiej, zwanej w tamtych czasach Grotą Stalaktytową.

Jaskinia miała piękną i urozmaiconą szatę naciekową. Przed II wojną światową jaskinię odwiedzało rocznie ponad 2000 turystów. Pracowali tu też naukowcy. W 1935 i 1936 roku badacze znaleźli w namulisku współczesne kości lisa, borsuka, zębika, jelenia, zająca, żaby, okonia, a także dzikiego konia, bizona i wołu piżmowego. Największą jednak sensację wzbudziło odkrycie pod skalną płytą czaszki niedźwiedzia jaskiniowego, któremu za życia spiłowano zęby. Wyszło więc wniosek: w jaskini mieszkali ludzie paleolitu, którzy – jak przypuszczano – nie tylko polowali na niedźwiedzie, ale i otaczali je czcią. Teorię ugruntowało znalezienie trzech narzędzi z krzemienia. To działało na wyobraźnię zwiedzających. Oglądali przecież jedną z kolebek ludzkości. Poza tym romantyczny XIX wiek lubował się w legendach i mitach.

– Z jaskini przecież pochodził Zeus – szeptali do siebie schodzący w dół turyści.

– W jaskini wśród duszących oparów wieszczyla delficka Pytia – dawali inni. Już samo wejście miało nieco magiczny charakter. W tamtych czasach do jaskiń najczęściej schodziło się z pochodniami, tworzyło to więc niepowtarzalną atmosferę. Szybko jednak zaniechano tego zwyczaju, dym bowiem utrudniał oglądanie i podduszał turystów. Z czasem pochodnie zastąpiły świece, a potem lampki karbidowe. Aby ułatwić zwiedzanie, od 1933 roku regularnie usuwano namulisko. Niektóre partie jaskini oczyszczono nawet z 2-metrowej warstwy ziemi, błota, ko-

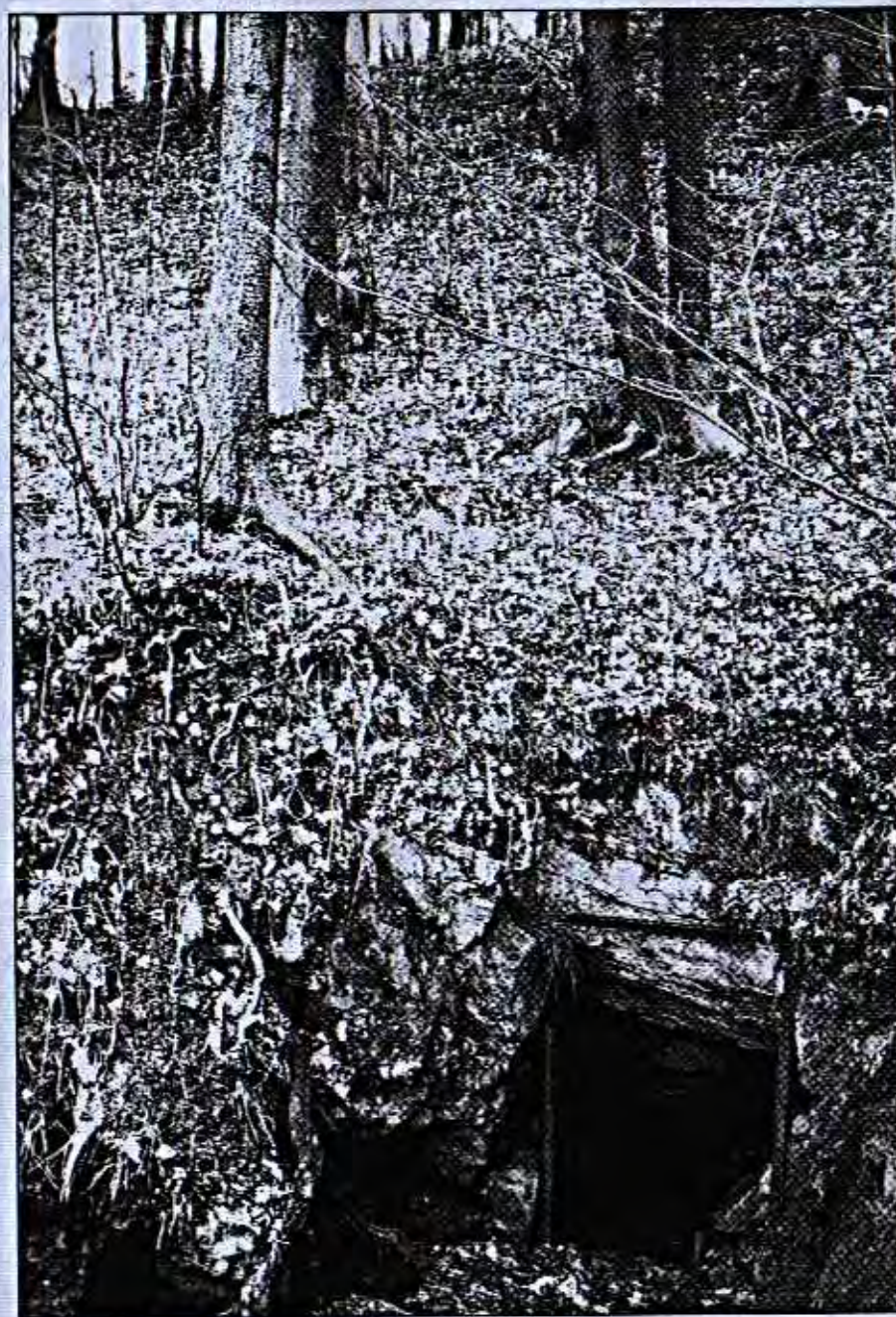
ści i kamieni. Po podziemnych salach i korytarzach oprowadzał przewodnik, dawny górnik Paul Heinrich. W dół prowadziły schodki, a wejścia zamykano. Przy wejściu można było kupić coś do picia. W 1945 roku ukrywała się tu 5-osobowa grupa Wehrwofu. Ujęto ich w listopadzie. Heinrich opiekował się jaskinią do 1947 roku.

Po wojnie bywali tu jeszcze turyści, ale pozostawiona na pastwę losu jaskinia zaczęła tracić swoją szatę naciekową. Do dzisiaj zachowały się tylko niewielkie fragmenty polew ściennych. Naukowcy podważyli dotychczasowe dowody pobytu człowieka paleolitycznego w jaskini. Jakby tego było mało, zaginął dowód w tej sprawie: sławna czaszka niedźwiedzia z opilowanymi zębami. Jaskinia Radochowska leży w południowo-wschodnim, prawym zboczu doliny potoku Jaskiniec, który spływa ze stoku Bzowca. Według najnowszych badań, znane korytarze Jaskini Radochowskiej mają łączną długość 502 m. W ten sposób pod względem długości Radochowska plasuje się na drugim miejscu w Sudetach, zaraz po Jaskini Niedźwiedziej. Do wnętrza prowadzą trzy wejścia. Widać je z wielkiej i bardzo pięknej łąki. To wejścia sztuczne, pierwotne, niedostępne znajduje się poniżej zachodniego otworu.

Sama jaskinia to długi korytarz, który biegnie równolegle do stoku góry, i kilka komór. Najładniejsze z nich to tzw. Komora Centralna i Sala Gotycka. Sala Gotycka wzięła swą nazwę od pięknego stropu i jeziorka, które osiąga głębokość nawet do 2 m. Naukowcy obliczyli, że w Jaskini Radochowskiej występują 2 gatunki grzybów, 91 gatunków zwierząt – m.in. chrząszcze, owady i trogllobionty, czyli organizmy, które żyją wyłącznie w jaskiniach i są świetnie do tego przystosowane. Trogllobionty są przezroczyste albo białe, nie mają w ogóle pigmentu. Pigment ochrania ciało przed promieniowaniem słonecznym; żyjącym w podziemiach trogllobiontom nie jest więc potrzebny. Kiedy takie stworzenie wyniesie się na zewnątrz albo wypłucze je woda, szybko ginie. Trogllobionty nie mają również oczu, lepiej za to rozwinął się u nich zmysł dotyku.

W jeziorkach Jaskini Radochowskiej żyje także 5 gatunków zwierząt, m.in. zupełnie ślepy i biały studniczek, który ma około 1-1,5 cm długości. Woda w podziemiach ma od wieków tę samą temperaturę 2,4 stopni C. Temperatura w samej jaskini waha się od 7,7 do 10,1 stopni C.

Zdaniem speleologów Jaskinia Radochowska ma jeszcze nieznanne fragmenty. Być może kiedyś zostaną odkryte. Zdaniem bazarzy natomiast w owej niedostępnej części mieszka rycerz zaklęty w potwora o trzech głowach na długich zielonych szyjach. W dawnych czasach, gdy w jaski-



Legenda mówi, że w Jaskini Radochowskiej uwięziony został smok o trzech głowach

niach zgodnie mieszkali ludzie i smoki, rycerz przybył do śląskich lasów z Dalekiego Wschodu. Szukał złota i sławy. Ktoś powiedział mu, że w okolicy jest grotę, w której żyją trzy zielarki. Oprócz leczniczych nalewek sprzedawały też proszek, po zażyciu którego człowiek stawał się na całą noc niewidzialny. W produkcji proszku tkwiła pewna tajemnica. Kobiety robiły go tylko z jednej luski, którą wrywały w ostatni dzień roku mieszkającemu z nimi, niewielkiemu smokowi. Był to dobrotliwy i wesoły stwór. Rozumiał kochanków, którzy w ukryciu zakradali się do pięknych kobiet, a chcąc pozostać niewidzialnymi zażywali luski. Dlatego bez szemrania oddawał część siebie trzem czarownicom. Preparat był niezwykle drogi. Za pieniądze zielarki kupowały różne smakołyki, w tym czereśniową nalewkę, którą smoki lubią najbardziej. W czwórkę wędli spokojne, pachnące ziołami i czereśniami życie.

Kiedy więc przed wejściem do jaskini stanął rycerz z Dalekiego Wschodu, bez problemu kupił proszek. Zielarki nigdy o nic nie pytały, gdy jednak sprzedawały śniademu przybyszowi miksturę, poczuły się nieswojo. A rycerz zaczął wprowadzać w życie swój plan. Był przekonany, że radochowski smok, podobnie jak wszystkie smoki świata, pilnuje złota. Nie wiedział, że całe tutejsze bogactwo bierze się z tej jednej luski. Szybko zażył proszek i wieczorem zaczął się przy wejściu do jaskini. Gdy kobiety zasnęły, niewidoczny dla wszystkich zakradł się do środka. Wyciągnął miecz i silnym pchnięciem zabił dobrego smoka. W chwili, kiedy ostrze splamiło się krwią, rycerz stał się widzialny. Rumor przebudził zielarki, które widząc, co się stało, zaczęły lamentować i przeklinać. Tłumaczyły głupcowi, że popełnił bezsensowną zbrodnię, bo w jaskini nie ma i nigdy nie było złota. Zanim rycerz zrozumiał, co się naprawdę stało, każda z zielarek rzuciła na niego urok, a niegdyś przystojny mężczyzna zamienił się w smoka o trzech głowach. Był tak ogromny, że nie mógł wydostać się z podziemi i został w nich do dziś. Do tego widać go tylko w jeden dzień roku, w ostatni. Podobno, kiedy przygotowywano grotę na przyjęcie turystów, ktoś pamiętał o tej historii i kazał wybić trzy wejścia. Trzy wejścia, trzy otwory na trzy głowy.

Odczarować rycerza mogą tylko trzy siostry, które w ostatni dzień grudnia przyjdą na łąkę i pocałują trzy smutne, zielone głowy. Ale że w środku zimy rzadko można tu kogoś spotkać, smok nadal czeka na wybawczynię. Jeśli zejdziecie do jaskini, przystańcie na chwilę i posłuchajcie ciszy. Na pewno usłyszycie wydobywające się z trzech gardel smutne wzdychanie.

Jaskinia Radochowska w Radochowie

Najszybciej dojdziecie do jaskini zielonym szlakiem z Radochowa. To niecałe pół godziny drogi. Z Łądką Zdroju wiedzie szlak niebieski, którym będziecie szli około półtorej godz.

Mimo dość zachęcających informacji w wielu przewodnikach, przy zwiedzaniu Jaskini Radochowskiej musicie zachować ostrożność. Nie wybierajcie się na wycieczkę bez towarzystwa. Koniecznie zaopatrzyć się w latarkę i odpowiednie buty. Musicie też liczyć się z tym, że w środku można się pobrudzić. Kiedy jest wilgotno, w ogóle dajcie sobie spokój ze zwiedzaniem, bo bardzo łatwo poślizgnąć się i potłuc.

W PTTK w Łądku Zdroju można wynająć za 80 zł przewodnika, który zaprowadzi Was do jaskini i ją Wam dokładnie pokaże.



Największy strażnik Europy

*Cieżarówki pełne skarbów * SS wysadza forty * Kanonier na Panieńskiej Ścieżce * Śląski Gibraltar * Makieta dla wtajemniczonych * Prezydent i zbójnik w jednej stali twierdzy * Ucieczka na miotelce * Tragiczny wystrzał*

Studnia ma 80 m głębokości. Kiedy wrzuci się do niej mały kamyczek, po chwili słychać dźwięk, który bardziej przypomina eksplozję niż uderzenie o powierzchnię wody. Osiemdziesiąt metrów to jakieś 30 pięter w dół. Takich studni jest tu 7. Przepastnych, tajemniczych i bardzo niebezpiecznych. Legendy mówią, że twierdza w Srebrnej Górze ma 11 podziemnych kondygnacji. Poszukiwacze skarbów opowiadają, że w zalanych dziś korytarzach ukryto pod koniec II wojny światowej dzieła sztuki z wrocławskich muzeów. I rzeczywiście, w marcu 1945 roku do Srebrnej Góry wjechała kolumna ciężarówek. Transport nadjeżdżał od strony Ząbkowic Śląskich. Zimą wąska droga jest zdradliwa. Samochody wolno więc posuwały się w kierunku fortów. Od ciężaru wielkich maszyn drżało całe miasteczko. Nikt jednak nie odważył się wyrzeć przez okno. Tego samego dnia do Srebrnej Góry przyjechał oddział SS i dopilnował, żeby okna we wszystkich domach zostały zasłonięte. Co prawda znaleźli się potem świadkowie, którzy twierdzili, że przez miasto przejechało trzysta ciężarówek. Ale czy to możliwe? Gdzie by ukryto ich ładunek?

Na początku 2000 roku, jeden z badaczy historii miasta trafił w Niemczech na nieznaną dotąd listę Günthera Grundmanna – konserwatora zabytków Prowincji Dolnośląskiej. Grundmann był odpowiedzialny za ukrycie zbiorów muzealnych i prywatnych kolekcji przed nadejściem wojsk

radzieckich. Wykorzystywał do tego nieczynne sztolnie, pałace, podziemia zamków. Z jego listów wynika, że pod koniec wojny odwiedził również Srebrną Górę. Wzniesioną tu twierdzę brał pod uwagę jako skrytkę. Możliwe więc, że jeden z transportów Grundmanna trafił do fortów. Co wiozły ciężarówkami? Mogło być w nich wszystko. Od obrazów po meble, rzeźby, książki, instrumenty. Świadkowie wspominają, że samochody jechały przez miasto dobre kilkadziesiąt minut. Potem okolicą wstrząsnęła potężna eksplozja, a puste ciężarówkami wróciły tą samą drogą.

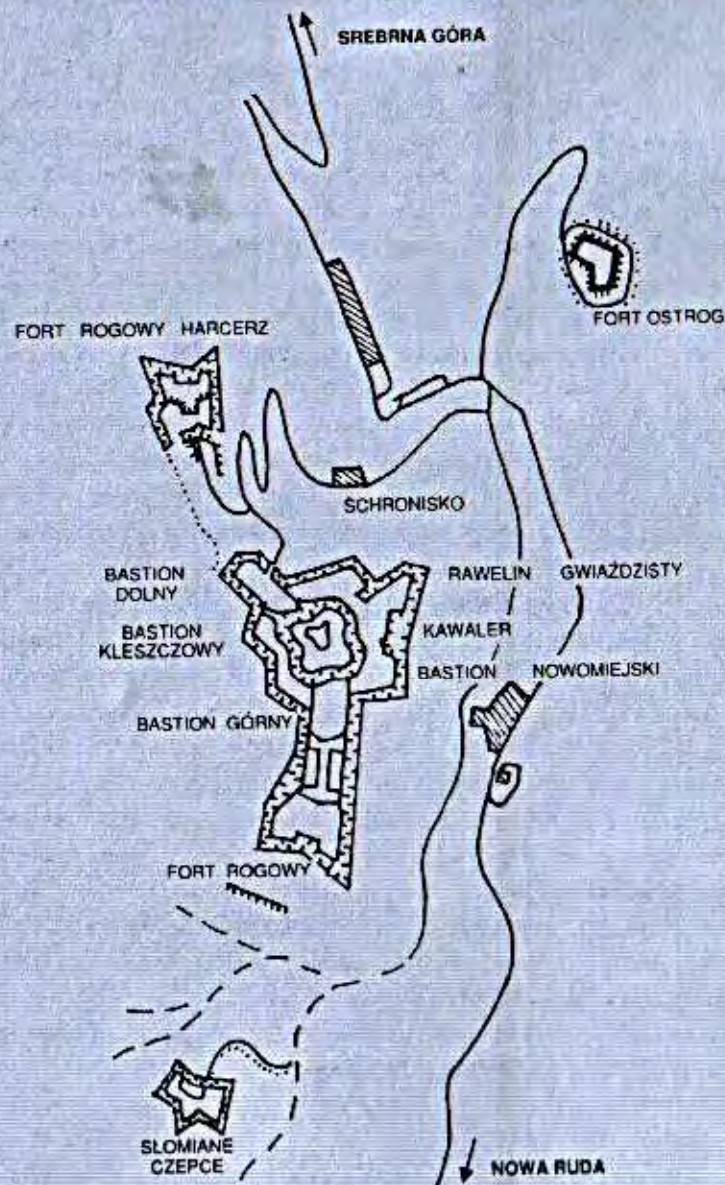
Skarb czeka więc na odkrywców, a w Srebrnej Górze jest gdzie szukać. Tutejsza twierdza to największy tego typu zabytek w Europie. Żeby obejrzeć każdy jego zakamarek, potrzeba trzech dni. To jednak bardzo ryzykowna wyprawa. Na penetratorów czyhają pułapki, przede wszystkim skryte w ciemnościach studnie. Po drugie potężna twierdza to już staruszka. Ściany powoli zaczynają się sypać, a dziury po poszukiwaczach skarbów w każdej chwili mogą zamienić się w kamienne zasadzki. Turyści więc oglądają niewielką, choć najciekawszą część twierdzy. Całość natomiast to prawdziwe dzieło sztuki.

O tym, jak niesamowitą budowlą jest twierdza w Srebrnej Górze, można się przekonać oglądając jej zdjęcia z lotu ptaka. To właściwie kamienne miasto. Zbudowane zostało na Przełęczu Srebrna, która dzieli Góry Bardzkie od Gór Sowich. Główna twierdza, złożona z Donżonu, otaczających go fortów i innych dzieł obronnych, została założona na czterech wzniesieniach głównego grzbietu Gór Sowich: Warownej Górze, Chochole Małym, Stawnej i Chochole Wielkim. Po drugiej stronie przełęczy, w części bardzkiej znajduje się samodzielny fort Ostróg.

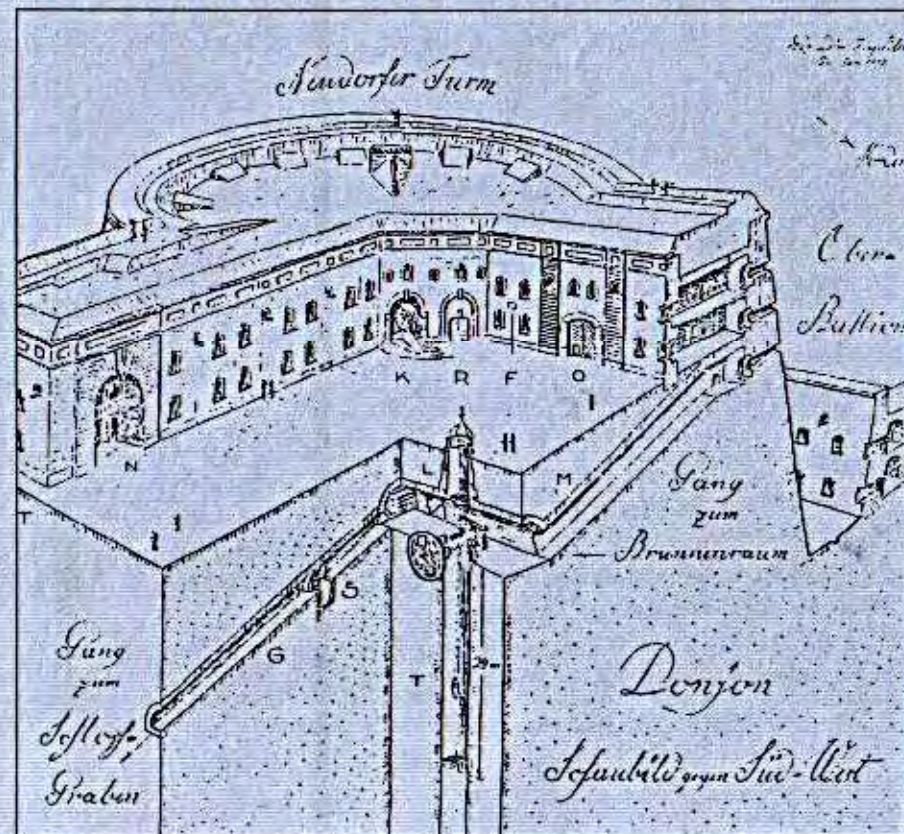
Budowę twierdzy rozpoczęto w 1765 roku. Kiedy cały dzisiejszy Dolny Śląsk był już opanowany przez Prusy, król Fryderyk II podjął decyzję o umocnieniu granic. Miał ich strzec łańcuch twierdz od Szczecina po Głogów, Wrocław, Brzeg i Koźle. Na przedpolu tych punktów ulokowano twierdzę w Kłodzku. Srebrna Góra jednak miała ją przewyższyć pod każdym względem.

Pierwszy projekt wykonał inżynier Pinto przy udziale znanego holenderskiego architekta G. K. Walrave, który już od 1748 roku modernizował zdobyte na Śląsku i Pomorzu warownie. Prace w Srebrnej Górze miały trwać 12 lat i wyrzucić do góry nogami życie całego miasta. Do tej pory mieszkańcy żyli z wydobywania srebra, poszukiwano tu nawet złota. W XVII wieku złoża się jednak wyczerpały, a mieście zostało zaledwie 7 górników.

PLAN TWIERDZY SREBRNOGÓRSKIEJ



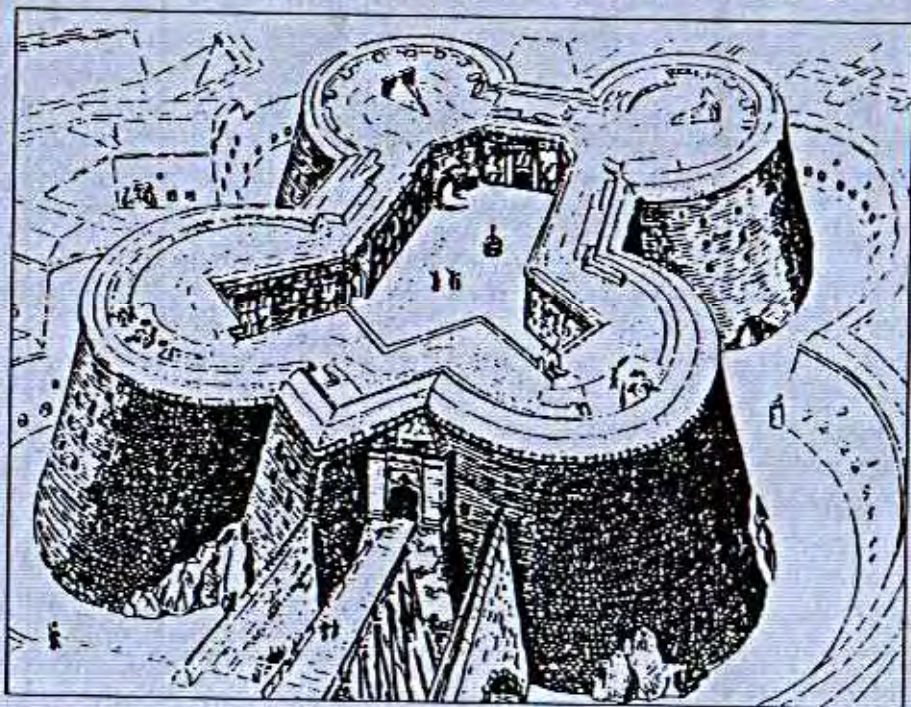
Kiedy rozpoczęło się wznoszenie umocnień, przypominało to prawdziwą rewolucję. Prace otoczono ścisłą tajemnicą, a w Srebrnej Górze wprowadzono wojskowe rygory. W szczytowym okresie przy obiektach twierdzy pracowało około 4000 ludzi – robotników i specjalistów. Każdego podejrzanego o zbyt duże zainteresowanie szczegółami budowy natychmiast posądzano o szpiegostwo i aresztowano. Udział we wznoszeniu twierdzy był przymusowy. Miejscowa ludność musiała wnieść też na budowę „datek” wysokości 70 000 talarów. Ogromne przedsięwzięcie po cichu nazywano więc „dopustem srebrnogórskim”. Koszt budowy przerósł przecieć półtora miliona talarów. Wszystko tu było drogie. Legenda mówi, że wykuta na dziedzińcu Donżona studnia miała dodatkowo pochłonąć sumę 999 999 talarów. Kiedy dowiedział się o tym król, dla równego rachunku wrzucił do środka jednego talara.



Fort Donżon. Przekrój najświetniejszej i najdroższej studni w twierdzy

Srebrnogórskie studnie to osobna historia. Najważniejsza z nich, o głębokości 60 m to właśnie ta w Donżonie. Najgłębsza – 84 m, znajduje się w Forcie Ostróg. Literatura podaje, że w twierdzy jest 7 studni, członkowie Polskiego Towarzystwa Eksploracyjnego naliczyli ich jednak 11. 6 z nich przebadali nurkowie, do 2 nie wplywali, 3 są zupełnie zasypane. W niektórych znajdują się boczne, wydrążone w skale korytarzyki. Prawdopodobnie miały znaczenie technologiczne, ale jak wytłumaczyć fakt, że jeden z takich korytarzy kończy pomieszczenie, które zamykane było drzwiczkami z okuciami?

Dziś nikt nie ma wątpliwości, że twierdza miała być nie tylko obiektem militarnym. Powstawało też dzieło sztuki, zdaniem znawców o wiele ciekawsze od twierdzy w Kłodzku. Liczne bastiony i forty wykuwano częściowo w skale. To zaś sprawiło, że ci, którzy nie widzieli w budowlu „dopustu srebrnogórskiego”, nazywali ją „Śląskim Gibraltarem”. Centralna i najwyższa część twierdzy to Donżon. Ma około 140 m długości i 120 szerokości. Składa się z broniącego wejścia trójkątnego Re-



Donżon – centralny punkt twierdzy.
Ściany czterech wież mają po 12 m grubości

danu oraz 4 ogromnych bastei wieżowych. Każda z nich ma w dolnej części średnicę 60 m i mury 12-metrowej grubości – dla porównania, przeciętny domek jednorodzinny ma 8 m długości. Z wewnętrznego, 5-bocznego dziedzińca, do 5 poziomów kazamatów prowadzi 8 bram. W 131 kazamatach mieściły się zapasy złożone z 6000 karabinów, 3-miesięczne zapasy żywności, w koronie bastionu stały 44 działa. Forty posiłkowe, połączone z Donżonem, były samowystarczalne pod każdym względem. Znajdujący się po drugiej stronie przełęczy fort Ostróg składał się z potężnych, dwukondygnacyjnych kazamat. Kazamaty otaczały wieloboczny dziedzińiec, z którego, podobnie jak w Donżonie, prowadziły wejścia do poszczególnych pomieszczeń. Z zewnątrz fort otaczała głęboka, sucha fosa, wykuta w skalistym podłożu. Fortu broniło 20 armat, 315 żołnierzy i 8 oficerów. Dodatkowe mosty zwodzone, fosy i podziemne przejścia (choć co do tych nie ma do końca pewności) czyniły ze srebrnogórskiej twierdzy budowlę trudną do zdobycia.

W 1800 roku, czyli 3 lata po ukończeniu budowy, twierdzę odwiedził John Quincy Adams, ambasador USA w Prusach i późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych. Dyplomatę oprowadzał po Srebrnej Górze sam komendant. Z pewnością musiał opowiadać o najslawniejszym rozbójniku tamtych czasów: Alfredzie Exnerze. Exner był takim lokalnym Janosikiem; Janosika również przypominał z wyglądu. Wysoki, dobrze zbudowany, desperacko odważny, z początku rabunkiem zajmował się w Saksonii. Szybko jednak przeniósł się na Śląsk. Tutaj działał według sprawdzonych metod. Napadał na bogaczy, lupił ich pałace, a potem uciekał w góry, gdzie zawsze znalazł schronienie u jakichś biedaków. Cierpliwość okolicznych panów wyczerpywała się z każdym dniem. W końcu hrabia von Hoym, minister Śląska, kazał wysłać na poszukiwanie zbrojnika wojsko. Śladem Exnera ruszyli żołnierze ze srebrnogórskiej twierdzy. Szukali go dobre kilka tygodni. W końcu dopadli rabusia w opuszczonym domu w Górach Sowich. Wyrokiem sądu resztę życia Exner miał spędzić w srebrnogórskiej twierdzy.

W tamtych czasach nikt nie słyszał o humanizacji więzień. Strażnicy podawali Exnerowi tylko chleb i wodę, a żeby mieć już do końca spokój, przykuli go łańcuchami do ściany. Ściany celi miały 4 m grubości. Te surowe warunki nie były jednak w stanie złamać zbrojnika. Od samego początku myślał o ucieczce. Uważnie obserwował strażę, pół roku przygotowywał każdy szczegół powrotu na wolność. W końcu nastął odpowiedni dzień. Żołnierz, który rano przyniósł więźniowi chleb, za-

stał pustą celę. Łańcuchy były zerwane, w podłodze widniała dziura po wyrwanej desce.

Nigdy nie udało się do końca ustalić, w jaki sposób rozbójnik uciekł z bacznie strzeżonej twierdzy. Prawdopodobnie wyrwał z posadzki deskę i przedostał się do niższego pomieszczenia. Może pomógł mu jeden ze strażników? Co prawda komendant twierdzy zarządził śledztwo, ale nigdy nic się nie wyjaśniło. Po Exnerze na kilka miesięcy zaginął śluch.

Jakiś czas potem znów zaczęły krążyć pogłoski, że pojawił się potężny mężczyzna, który napada na bogatych. Oczywiście był to Alfred Exner. Trzydziestoletni rozbójnik tym razem nie zdołał wymknąć się oblławie. Osadzono go w twierdzy kłodzkiej, skąd po jakimś czasie udało mu się wydostać. Ponownie złapany i uwięziony, tym razem w Świdnicy, uciekł po raz trzeci. Ale tym razem fortuna odwróciła się od rabusia. W czasie napadu na młyn w Twardocicach został przyłapany przez młynarza. Być może, gdyby młynarz wiedział, kim jest napastnik, uciekłby gdzie pieprz rośnie. Ale właściciel młyna postanowił walczyć. Exner wyciągnął nóż. Mężczyźni zwarli się w walce. Uderzali na oślep. Nagle młynarz wyrwał rabusiewi nóż i zadał śmiertelny cios... Wielki jak niedźwiedź i desperacko odważny rozbójnik skończył w kałuży krwi pośród podartych worków z mąką.

Nie wiadomo, czy w czasie, gdy John Quincy Adams zwiedzał twierdzę w Srebrnej Górze, przebywał tam Alfred Exner. Sądzę, że wycyżny rozbójnika nie zrobiłyby wrażenia na prawym dyplomacie. W swoich *Listach o Śląsku* Adams skupiał się raczej na opisach architektury. Nie brak też wspomnień z wyprawy do srebrnogórskich fortyfikacji:

„Obejrzelismy fortecę Srebrna Góra, której obronność porównują z Königsteinem. Została zbudowana ogromnym kosztem przez Fryderyka II. Razem ze Świdnicą i Kłodzkiem ma ona stanowić nową zapórę przed inwazją ze strony Czech. Komendant, którego generał de Favrat uprzedził o naszym zamiarze zwiedzenia jej, okazał się bardzo uprzejmy i pokazał nam tyle, ile pozwoliła pogoda, która tego dnia, pierwszy raz od początku naszej podróży, była bardzo zła. Roboty ciągną się trzy mile angielskie na sąsiadujących wzgórzach. Widok z najwyższego punktu jest bardzo rozległy i tak piękny, jak z fortecy w Kłodzku. Komendant pokazał nam też drewniany model całej fortecy, który przechowują zazwyczaj w stanie rozłożonym na kawałki w skrzyni, ale parę dni temu na inspekcję Króla został złożony. Komendant zaznaczył, że rzadko pozwala na pokazywanie go, chyba, że

paniom, ponieważ wie, że one nigdy nie zdradziłyby takiej tajemnicy. Powiedziałem mu, co już rozumiał, że może mnie zawieźć tak samo, jak paniom. Obejrzenie modelu dało mi o wiele jaśniejszy i dokładniejszy obraz fortecy niż oglądanie samej konstrukcji: zdałem sobie sprawę, dlaczego nie chce go pokazywać osobom bardziej obeznanym ze sztuką fortyfikacyjną niż ja”.

Twierdza górowała nad okolicą. Widziany z góry Donżon wyglądał jak czterolistna, kamienna koniczyna. Widziany od dołu niczym korona wieńczył szczyt Warownej Góry. Dzięki twierdzy miasto zaczęło rozkwitać. Szczególnie cieszyły się okoliczne panny, bo w garnizonie osadzono 137 oficerów i 2386 żołnierzy. Oni też bardzo chętnie zacieścili więź z okoliczną ludnością, szczególnie z jej ładniejszą połową.

Z tego okresu pochodzi opowieść o pewnej panie, która codziennie ryzykowała życie dla swego ukochanego. Jej wybranek był kanonierem osadzonym w celi za jakieś wykroczenie. Żołnierz przetrzymywany był w Donżonie, a świat oglądał przez małe, zakratowane okienko wyrąbane w murze na wysokości kilkunastu metrów. Z muru pod oknem wystawały strome skały. Każdej nocy dziewczyna wspinała się po nich i przytrzymując się krat w oknie rozmawiała z ukochanym. Podawała mu też jedzenie, którego więzień nie dostawał zbyt wiele. I ta opłaczona ryzykiem sielanka mogłaby trwać aż do chwili wypuszczenia kanoniera, gdyby nie ojciec dziewczyny – mistrz wałowy w twierdzy. Zauważył, że córka zrobiła się nieco nieswoja, w dzień zamiast pracować podsypia, nie chce też odpowiadać na żadne pytania. Ojciec zaczął uważnie obserwować dziewczynę. Kiedy jak zwykle wymknęła się pod

Donżon – masywna wieża usytuowana wewnątrz zamku, z wejściem na poziomie korony murów, przystosowana do samodzielnej obrony. W wypadku zdobycia zamku stanowiła ostatni punkt oporu.

Bastion – wysunięty element w narożu fortyfikacji, skąd załoga może widzieć i bronić teren przylegający do głównej linii obwarowań.

Fort – budowla obronna w systemie umocnień stałych XVIII-XX wieku.

Rawelin – półksiężyc, w fortyfikacjach typu bastionowego zewnętrzna budowla ziemna, zwykle na planie trójkąta, usytuowana za fosą główną (połączona z nią własną fosą), przed kurtyną.

Kurtyna – w architekturze obronnej odcinek muru lub wału, stanowiącego zewnętrzny obwód fortyfikacji, ograniczony z obu stron basztami albo bastionami.

Encyklopedia architektury N. Pevsnera, J. Fleminga, H. Honoura – Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1992

okienko celi, natychmiast doniósł o tym swoim przełożonym. Żołnierze wszczęli alarm. Złapana dziewczyna ani myślała schodzić na dół, bała się surowego ojca, ale w końcu przekonał ją narzeczony. Kanoniera przeniesiono do innej celi, a odważnej panny od tej pory sumiennie pilnował ojciec. Wszystko skończyło się jednak szczęśliwie. Po jakimś czasie żołnierza wypuszczono z więzienia, ożenił się ze swoją ukochaną, a na pamiątkę tych wydarzeń skały wystające z murów nazwano Pannieńską Ścieżką. Cała historia została zaś opisana w 1827 roku¹. Kto wie, może kanonier był jednym z tych, którzy bronili twierdzy w czasie oblężenia jej przez generała Deroya w 1807 roku?

Śląsk bronił się przed wojskami napoleońskimi. Dowódcą sił pruskich był generał von Götzen, a armią francuską dowodził książę Hieronim Bonaparte. W jego armii byli też ułani Legii Nadwiślańskiej. 26 czerwca 1807 roku Francuzi zdobyli Srebrną Górę i przystąpili do oblężenia twierdzy. Pozostał opis tamtych wydarzeń. Spisaną po wielu latach relację z oblężenia wydrukował w 1859 roku Wojciech Dobiecki, który przez wiele lat służył w pułku ułanów Legii Polsko-Włoskiej. Żeby zrozumieć, jak wyglądały walki w Srebrnej Górze zaczniemy od oblężenia twierdzy kłodzkiej.

„Zaczęto Glatz (Kłodzko) ściśle otaczać, posypano szańce oblężnicze, sprowadzono ciężkie działa z fortec wprzód zajętych: postępowano według wszelkich przepisów i reguł sztuki wojennej, było to nauką praktyczną młodego księcia Hieronima. Zaraz dnia pierwszego kapitan Stokowski z flankierami zapędził wszystkich huzarów do twierdzy [...]. A polskiej jazdy szwadrony zostały w asekuracji oblężniczych baterij. Póki noc panowała, stali spokojnie, ale za nadejściem dnia kilka godzin wytrzymywali pociski bomb i granatów, które im nieprzyjaciel ze wszystkich dział z fortecy hojnie przysełał. Odbył młody żołnierz tę pierwszą próbę ognia, chrzest żołnierski, nie mięszał się, nie trwożył wcale, tylko ostre żarty starych wiarusów musiał znosić cierpliwie. Już wprzód 1 czerwca poddała się Neissa (Nysa), 18 tego miesiąca – Kosel (Koźle), 23 – Glatz (Kłodzko). Pozostawała tylko twierdza Silberberg (Srebrna Góra), której położenie na szpiczastej skale trudnym zajęcie czyniło. Pod Frankenstein (Ząbkowicami) naprzeciw twierdzy założono obóz, z którego codziennie robiliśmy patrole pod same jej oko-

¹ Zbiorem niezwykłych historii o twierdzy jest książka T. Przerwy *Opowieści srebrnogórskie*, którą Wam serdecznie polecam i z której zaczerpnęłam tę opowieść.

py. Dowódca pruski zawołał nas ogniem armatnim ze wszystkich baterij uszanował, co nas przekonywało, że się niebawmie podda, bo nie oszczędzał prochu i podwójnymi nabojami na niepodobną do wiary odległość ściagał wystrzałami wracających do obozu ułanów”.

Zanim Francuzi przystąpili do ostatecznego ataku, zawarty został rozejm, a 7 lipca koniec wojnie położył pokój tylicycki. Dzięki temu twierdza w Srebrnej Górze zyskała sobie miano niezdobytej. Szybko jednak straciła znaczenie militarne i mimo że stacjonował tu garnizon, część fortów zamieniono na więzienie. Kto tu nie siedział! Poeta Fryderyk Reuter czekał w Srebrnej Górze na wyrok śmierci, który w końcu odwołano. Jego cęła znajdowała się dokładnie pod pomieszczeniem, gdzie niegdyś przetrzymywano rozbójnika Exnera. Przez 3 lata więziono w twierdzy Wilhelma Wolffa, znanego działacza ruchu socjalistycznego w Niemczech, Anglii i Belgii. Od 1846 roku Wolff przyjaźnił się z Marksem i Engelsem, a Marks zadedykował mu I tom swojego *Kapitału*. W celi, w której przetrzymywano działacza za jego poglądy, urządzono później niewielkie muzeum.

W 1838 roku, w czasie, kiedy Wolff został wypuszczony na wolność, w twierdzy odbywał karę pewien kominiarz. Podobnie jak jego bardziej

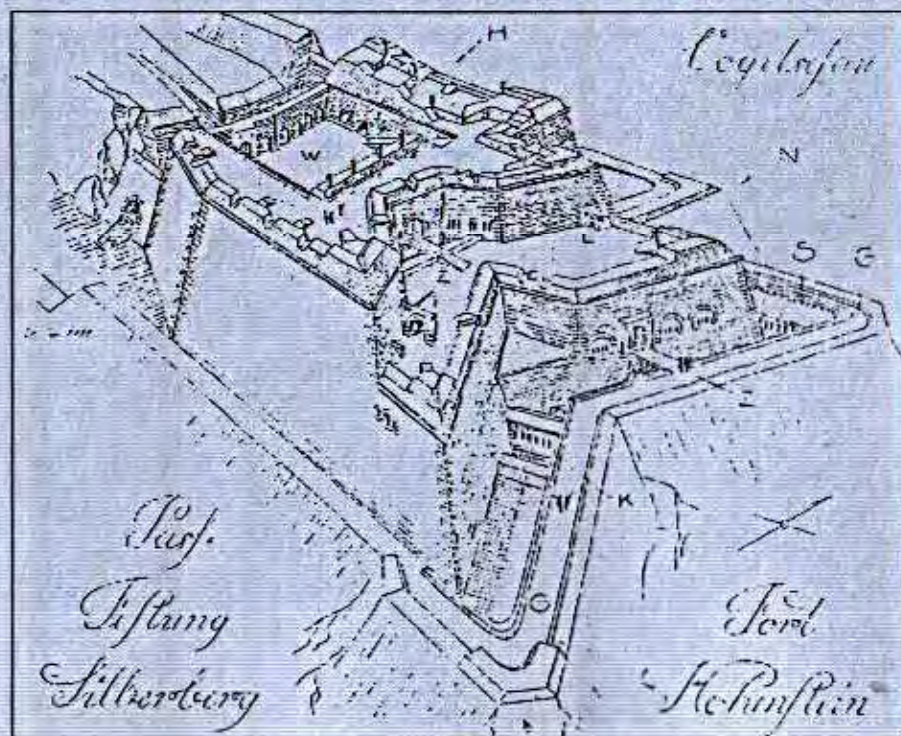


Już po I wojnie światowej pojawiła się widokówka przedstawiająca celę Fryderyka Reutera

szacowni koledzy, również siedział za przekonania. W perspektywie miał 15 lat za kratkami. Z czasem strażnicy przyzwyczaili się do więźnia i zaczęli zatrudniać go do czyszczenia kominów.

A kominiarzowi jedno tylko było w głowie: ucieczka. Dlatego, gdy tylko nadarzyła się okazja, wziął swoją miotłkę i zjechał przy jej pomocy po murze, 30 m w dół. Złapano go dopiero po 3 dniach. Komendant twierdzy nie chciał wierzyć, że kominiarz działał w pojedynkę. Panowało powszechne przekonanie, że z tego miejsca nie da się uciec. Dlatego kominiarz dostał propozycję. Jeszcze raz zjedzie po miotłce do fosy i jeśli mu się uda, odzyska wolność. Mężczyzna nie zastanawiał się ani chwili. Ale tym razem nie wyszło. Wylądował tak nieszczęśliwie, że przez kilka tygodni musiał się kurować w forticznym szpitalu. Komendant dotrzymał jednak słowa. Po rehabilitacji kominiarz opuścił mury więzienia, ale nigdy już nie zajmował się polityką.

Życie twierdzy toczyło się wolnym rytmem. W 1844 roku żołnierze brali jeszcze udział w stłumieniu powstania tkaczy pod Pieszcycami, w 1866



Fort Rogowy

roku Srebrną Górę postawiono w stan gotowości bojowej przed wojną z Austrią, ale już 2 lata później twierdzę rozbierano. Nadal jednak stacjonował tu garnizon, funkcjonowało też więzienie. Donżon spełniał funkcje poligonu artyleryjskiego. Tutaj też doszło w 1869 roku do tragedii.

Jesienią rozpoczęły się przygotowania do prób ogniowych z najcięższym ówczesnym pruskim moździerzem o kalibrze 210 mm. Celem był Fort Rogowy na zachodniej flance Donżonu. Do tego zadania wyznaczono 50 artylerzystów. Strzelac mieli ze wzniesienia Kortunał, które leży 3 km na południowy-wschód od twierdzy. Przetransportowanie moździerza w to miejsce to prawdziwa sztuka; 24 konie, 50 żołnierzy, dzwignie i wyciągi – w takiej scenerii broń wtaczała się na szczyt. Wkrótce rozpoczęto próby artyleryjskie. Trwały kilka tygodni i żołnierze powoli zaczęli wpadać w rutynę. W końcu 26 listopada doszło do nieszczęścia. To miał być ostatni wystrzał. Kapitan Rausch nadzorujący próby poprosił stojącego obok leśniczego o rozmienienie 5 talarów, które chciał na zakończenie rozdać żołnierzom. To uratowało leśniczemu życie. Zbiegł na dół rozmienić pieniądze. Tymczasem kanonier Hermann Hübner wsadzał ostatni granat do moździerza. Zrobił to jednak tak niebdałe, że uderzył w zapalnik granatu. Granat eksplodował.

Na miejscu zginęły 4 osoby. Kapitan stracił oko i palce u dłoni. Dokoła było pełno krwi. Ci, którzy przeżyli, leżeli na ziemi powaleni siłą wybuchu. Wracający leśniczy szybko zorganizował akcję ratunkową, a do swojego domu przyjął kapitana Rauscha, którym opiekował się całą zimę.

Pogrzeb zabitych żołnierzy odbył się 3 dni po wypadku. W ostatniej drodze towarzyszyło im 40 panien ze Srebrnej Góry i orkiestra wojskowa z Kłodzka. Hübner i jego trzech koledzy spoczęli na miejscowym cmentarzu ewangelickim, czwarty z żołnierzy został pochowany na cmentarzu katolickim. Tam też do dzisiaj można oglądać jego krzyż.

Nie minęło kilka lat, a rozbrojona twierdza srebrnogórska stała się turystyczną atrakcją. Wstęp był płatny, a po fortach oprowadzał weteran wojny francusko-pruskiej. W mieście zaczęły powstawać pierwsze gospody dla wędrowców. Srebrna Góra znana była w tych czasach z dwóch rzeczy: twierdzy i wytwórni zegarów wieżowych. W 1913 roku cesarz Wilhelm II podarował Fort Ostróg organizacji młodzieżowej, która otworzyła tu schronisko. W czasie I wojny światowej w fortach ulokowano wytwórnię karabinów maszynowych, a w czasie II wojny zorganizowano specjalny obóz karny dla oficerów polskich. Trafiali tu przede wszystkim ci, którzy już wcześniej próbowali ucieczek z innych

obozów. Przez to byli podwójnie niebezpieczni. Srebrna Góra ciągle uchodziła za miejsce, z którego nie można się wydostać. Polscy oficerowie postanowili obalić ten mit..

Oflag VIII B w połowie 1940 roku liczył 170 oficerów i 120 ordynanów. Więziono tu m.in. dowódcę Obrony Wybrzeża z 1939 roku – kontradmirała Józefa Unrunga. Warunki były bardzo ciężkie. Dodatkowo sadyistyczną złośliwością odznaczał się komendant obozu major von Zerboni, nazywany Kuternogą. Pomimo zastrzonych rygorów w nocy z 5 na 6 maja 1940 roku z Fortu Rogowego zbiegło 10 oficerów. Siedmiu złapano. Trzem udało się przedostać do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Jeden z nich, Jan Gerstel, opublikował w 1960 roku w Australii swoje wspomnienia². Przenieśmy się na chwilę do ponurej twierdzy, zamienionej na więzienie. Poniższy fragment przetłumaczył Przemysław Wiśniewski:

„Pociąg, do którego zapakowano mnie i Feliksa, przypominał starą ciuchę, co od razu wprawiło nas w inny nastrój. Teraz krajobraz za oknem zaczął zmieniać się szybko. Zamiast płaskich równin pojawiły się malownicze wzgórza, z zielonymi łąkami w dolinach i pięknie położonymi osadami. Jedno z takich miejsc – Srebrna Góra – okazało się celem naszej podróży. Otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia pociągu, a nasi nowi strażnicy poinformowali nas, że zostajemy przeniesieni do Starflager – obozu karnego znanego jako Oflag VIII B, położonego na obrzeżach Srebrnej Góry. Wiadomość ta przywróciła nas bardzo szybko do rzeczywistości i czar pięknej okolicy prysł, pozostawiając tylko stromą drogę, po której wspinaliśmy się z mozołem z ciężkimi walizkami w rękach. Dotarliśmy w końcu do zamku [Twierdza, nie znającemu jej pierwotnego przeznaczenia Gerstelowi mogła kojarzyć się z zamkiem – przyp. J.L.]. Stojąc pod wielką, masywną, żelazną bramą zdałem sobie sprawę, że nasze szanse ucieczki będą minimalne. W odpowiedzi na głośnie pukanie w bramę, usłyszeliśmy najpierw szcęk klucza w zamku, w końcu wrota zaczęły się powoli otwierać. Zobaczyliśmy znany widok mundurów niemieckich strażników po jednej stronie drutu kolczastego i mundury khaki jeńców wojennych wewnątrz niespodziewanie małego podwórca. Nie miałem wątpliwości. Zostaliśmy przeniesieni do obozu, z którego nie da się uciec. [...]

² Historię tę przedstawiłam już dokładnie w książce *Tajemnice ukrytych skarbów*, tam też opisałam hipotezy dotyczące ukrycia w Srebrnej Górze tajemniczego transportu.



W czasie II wojny światowej w Donżonie funkcjonowało więzienie. Niemcy uważali, że nie da się stąd uciec



W forcie Donżon urządzona została ekspozycja broni ciężkiej

Spośród około 60 jeńców, tylko ledwo dwa tuziny stanowili młodszy oficerowie. Reszta składała się ze starszyny, szefów grup taktycznych itp. Był nawet jeden generał, kilku wyższych oficerów marynarki, łącznie z admirałem Unrugiem, który dowodził liczącym 400 żołnierzy garnizonem helskim i po wspaniałej obronie poddał się dopiero 2 października. Wysokim i szczupłym mężczyzną w mundurze generalskim okazał się generał Piskor, a odpowiedzialny w pierwszej fazie wojny za operację przeprawy przez Wisłę wycofujących się jednostek. [...] W naszej sypialni panowała straszna wilgoć, z uwagi na to, że jedyną wentylację stanowiło małe okienko i drzwi, które na noc były i tak zamknięte. Aby można było się poruszać, potrzebne było światło nawet w dzień, co w praktyce oznaczało, że nie gaszono oświetlenia ani w dzień, ani w nocy. Z powodu wilgoci zacząłem odczuwać ból w ramieniu, co Feliks zdiagnozował jako początek reumatyzmu. Próbując temu przeciwdziałać, starałem się wygrzewać w słońcu na małym tarasie, kiedy tylko pogoda i niemieckie przepisy na to pozwalały. Ten taras był jedynym wartym wspomnienia miejscem w obozie, ponieważ roztaczała się z niego panorama na wiele kilometrów wokół obozu. [...] Oglądając krajobraz ze wspomnianego tarasu, wielokrotnie podziwiałem wyglądający na okrągły zamek, położony na jednym z odległych wzgórz. Blanki na jego szczycie porównywałem w myślach do belgijskiej koronki. Wyglądało to na ruiny, dopóki pewnego wieczoru nie rozblysnął cały światłami. Oświetlenie bardzo przypominało istniejące w naszym obozie. Mocne reflektory, skierowane do wnętrza owalnego podwórca. Małe, wąskie okienka rozblysły światłami, co przywodziło nam na myśl tradycje średniowiecznych turniejów rycerskich. W ciągu kilku następnych dni tajemniczość wydarzeń w tamtym zamku tylko się pogłębiła, kiedy jeden z dyżurnych w kuchni oznajmił, że opuszczony poprzednio zamek otrzymał niemiecką załogę i polskich dyżurnych. Bomba wybuchła wnet, kiedy pewnego poranka wszystkim młodszym oficerom rozkazano spakować się, by wyruszyć do tamtego fortu.

Pod dobrą strażą zeszliliśmy w dół w kierunku Srebrnej Góry, a potem zaczęliśmy wspinaczkę w kierunku naszego nowego miejsca pobytu. W miarę zbliżania się do niego, mury robiły coraz bardziej ponure wrażenie, a belgijska koronka zmieniła się w zęby rekina. Wąskie okienka, teraz zagrodzone drutem kolczastym, wystarczały za ledwie, aby wylewać wrzątek na nacierających przeciwników lub wystawić łuk albo muszkiet. Obraz uzupełniał opuszczony teraz zwodzony most nad szeroką, głębo-

ką i wyschniętą fosą. Wyobraźnia podpowiadała mi obraz okropnych sal tortur i tajemnych przejść, zbudowanych w oparciu o stare i obecne niemieckie doświadczenia. Moja wyobraźnia została ostudzona, kiedy wprowadzono nas przez żelazną bramę do długiego, ciemnego pokoju, oświetlonego tylko jednym oknem wydrążonym w murze. [...]

Jedno oddzielne pomieszczenie służyło nam zarówno za jadalnię jak i czytelnię. Umeblowanie stanowiły tylko stoły i ławy, w pokoju było tylko jedno wąskie okno. Ponadto znajdowały się tam ciężkie drzwi, które sprawdzane były codziennie rano przez niemieckiego oficera, zawsze w towarzystwie strażnika. Otwierali oni wtedy te drzwi, zaglądali do znajdującego się dalej ciemnego pomieszczenia przyświecając sobie latarką, po czym starannie ją zamykali. Było w nich tyle respektu, jakby składali ofiarę jakiemuś domowemu duchowi, zadowoleni, że pozbyli się go przez kolejny dzień. Wszyscy nazywaliśmy ten pokój «miejscem tajemnym». [...] Kiedy studiowałem jakąś książkę w czytelnicy, usłyszałem szept: Gerstel, chcę stąd uciec i będziesz mi w tym potrzebny. Szept pochodził od porucznika Giertycha, oficera rezerwy w marynarce i znanego sprzed wojny autora książek antyniemieckich.

Giertych, wraz ze swoim kolegą, młodszym oficerem marynarki, zdołali w jakiś sposób dorobić klucz do «tajemnego pokoju» i odkryli ślady zaprawy murarskiej, wskazujące, że niektóre cegły zostały ułożone dopiero niedawno, najprawdopodobniej wypełniając dawne okno. Warstwa cegieł była tu z pewnością cieńsza niż w reszcie muru. Mieli już uszykowane noże, widelce i inne przedmioty, a moim zadaniem miało być zorganizowanie bezpieczeństwa i odwrócenie uwagi od ich działań.

«Tajemny pokój» był po prostu magazynem, wypełnionym stolami, łózkami i ławkami. Pozwoliło to Giertychowi na zbudowanie swoistej piramidy, z której można było dosięgnąć do świeżo wmurowanych cegieł.

Wszystkie przygotowania do ucieczki miały być zakończone przed wyznaczonym czasem na pójście do łóżka. Trzeba było zrobić linę z powiązanych prześcieradeł oraz uformować koce, które miały stwarzać pozory, że leżymy w łózkach. Miałem iść jako trzeci, po zakończeniu przygotowań moich kolegów z marynarki. Moja radość nie miała granic.

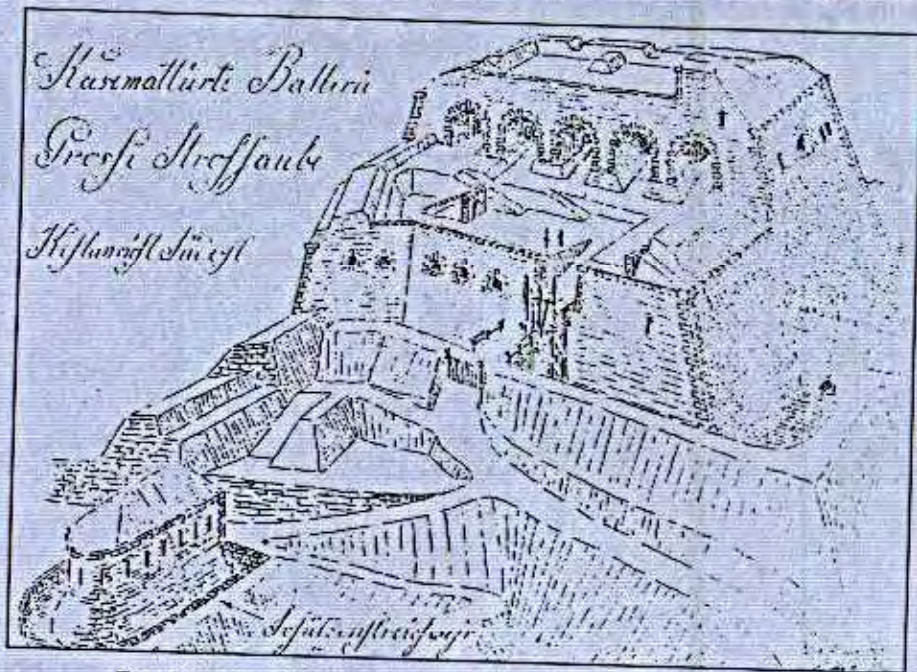
Po porannym apelu poprosiłem kolegów z pokoju, aby wyszli na dziedziniec i robili jak najwięcej hałasu. Musiała być wtedy sobota albo niedziela, gdyż wszyscy funkcyjni, zamiast pracować jak zwykle w niemieckich gospodarstwach, byli w swoich kwaterach po drugiej stronie drutu kolczastego. Ich reakcja na moją prośbę, aby zachowywali się trochę gło-

śniej, przeszła moje najsmielsze oczekiwania. Rozbrzmiały śpiewy, tańce, gra na harmonii, uderzenia stólkami o podłogę, podczas gdy Giertych z kolegą rozpoczęli swą pracę w «tajemnym pokoju». [...]

Nadszedł w końcu oczekiwany moment. Pierwszy poszedł Giertych. Osunął się na zewnątrz po specjalnie przygotowanym sznurze. Kiedy przyszła kolej na mnie, pojąłem jak wielką pomocą były krzaczki stojące pod obozem. Miętko na nie skoczyłem. Nareszcie byliśmy wolni. W trójkę gnaliśmy przed siebie w noc, oczekując w każdej chwili alarmu.”

Była to ostatnia wielka ucieczka z twierdzy Srebrna Góra. Wiosną 1944 roku do więzienia trafili jeszcze fińscy jeńcy, którzy podczas kampanii rosyjskiej zbuntowali się przeciwko niemieckim rozkazom. Finowie byli traktowani w okrutny sposób. Postanowili zorganizować bunt i – jak twierdzi Tomasz Przerwa, autor *Opowieści srebrnogórskich* – mogli zorganizować coś w rodzaju podziemnej organizacji działającej na terenie obozu.

Pod koniec września, podczas wieczornego apelu fiński oficer podszedł do komendanta obozu, wyciągnął z rękawa broń i strzelił mu prosto w twarz. Był to sygnał do działania. Buntownikom udało się nawet



Fort Słomiane Czepce – to tu zdaniem świadków ukryty został w czasie II wojny światowej ładunek z 300 ciężarówek

przejąć część twierdzy. Niemcy wezwali posilki, otoczyli ich i obiecali, że jeżeli się poddadzą, zostaną potraktowani jak jeńcy. Finowie skapitulowali. Wbrew wcześniejszym obietnicom zostali rozstrzelani. Do dziś nie udało się ustalić, gdzie są pochowani. Została po nich opowieść o karteczkach z ich imionami i adresami, które rozrzucali, gdy prowadzono ich ze stacji kolejowej do twierdzy. Karteczki to niewielka pamiątka po ludziach...

Po zakończeniu wojny do fortów pierwsi ruszyli poszukiwacze skarbów. Przyciągała historia trzystu ciężarówek, których ładunek miał być złożony gdzieś w twierdzy. Eksploratorzy są przekonani, że Niemcy ukryli skarby w forcie o nazwie „Słomiane Czepce”, który podobno połączony był podziemnym korytarzem z Donżonem. Właśnie ten korytarz ma być wypełniony skrzyniami. Pod koniec maja 2000 roku do Srebrnej Góry przyjechali radiesteci z łódzkiego Studium Psychotronicznego Doradztwa Życiowego. Twierdzą, że za pomocą różdżek i wahadełek na dwóch poziomach podziemi wykryli wypełnione „czymś” komory. Zdaniem radiestetów jest tam ukryta Bursztynowa Komnata. To zupełnie nieprawdopodobne, psychotroniczy zaapelowali jednak o pomoc w eksploracji podziemi. Być może kiedyś znajdzie się ktoś, kto będzie dysponował taką sumą, aby wreszcie wydrzeć twierdzy jej największą tajemnicę.

Złodziej warkoczy

*Zaczarowany prezent dla króla * Złotowłosa diablica * Komendant włamuje się do kościółka * Bęben z ludzkiej skóry * Jak się zakraść pod armatę? * Piękna trucicielka morduje kochanka * Baron w kloace * Skarby II wojny światowej*

Henryk August de La Motte-Foqué był okrutny i bezwzględny. Czuł się jak starożytny władca, kiedy wieczorami stawał w oknie twierdzy i z góry patrzył na światła Kłodzka. Grube mury dawały mu pewność siebie i siłę. Wierzył, że jest nie do pokonania. Ale tego dnia żołnierze zobaczyli na czole komendanta głęboką bruzdę. La Motte miał jakiś kłopot. I rzeczywiście. Zbliżały się urodziny króla, a komendant chciał wysłać prezent pruskiemu władcy. Jaki dar może ucieszyć człowieka, do którego należy pół Europy? La Motte rozmyślał o tym wędrując ścieżkami fortecy. Odruchowo lustrował starannie wybrukowane przejścia, fakturę ścian. I nagle jego wzrok padł na niewielki kościółek pod wezwaniem św. Marcina. Żołnierze opowiadali, że świątynia pamiętała czasy pogańskie i że w jej wnętrzu znajduje się wielki skarb. Skarb godny najpotężniejszych władców.

O to właśnie chodziło La Motte'owi. Natychmiast wezwał jednego z zaufanych oficerów.

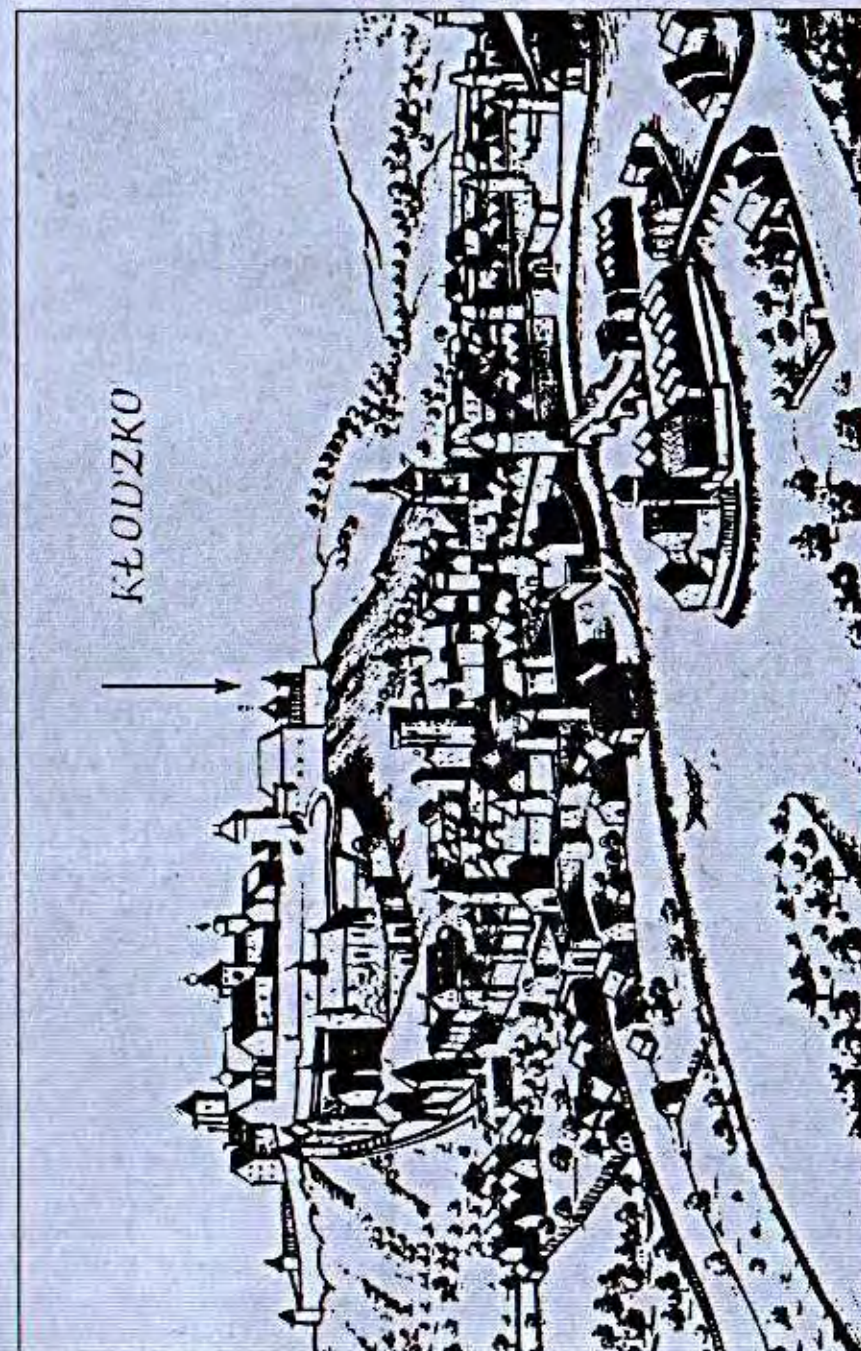
– Co znajduje się w środku? – spytał wskazując na wiekowy budynek.

– Włosy, panie komendancie – odpowiedział służbiście żołnierz.

– Włosy? – Henryk de La Motte-Foqué sądził, że się przestyszał.

– Nno, zaczarowane włosy... – twarz oficera pokryła się rumieńcem

– Tak mówią. Że są cudowne, dają moc i...



Widok Kłodzka na rycinie z 1650 roku. Strzałka wskazuje „pogański kościółek”

– Dość tych bzdur – nadzieje komendanta na wspaniały prezent dla króla rozwiały się w jednej chwili. Ale stojący na baczność żołnierz nie dawał za wygraną.

– Panie komendancie, nikt w to nie chciał wierzyć, ale te włosy zabiły jednego żołnierza, który chciał je ukraść. To było dawno, ponad sto lat temu. Warkocze wisiały na specjalnym haku, na bocznej ścianie. Złodziej zakradł się w nocy do świątyni i je zdjął. W tej samej chwili poczuł, że jakaś lodowata ręka uderzyła go w twarz. Przysięgał, że to sam diabeł. Żołnierz zaczął krzyczeć, wpadli wartownicy i wywlekli go na zewnątrz. A włosy panie komendancie, włosy same wróciły na miejsce! Na drugi dzień złodziej poczuł, że zbliża się do niego śmierć. Kazał wezwać księdza Aeluriusa i wszystko mu wyznał. Mówił, że niewidzialna siła wykręciła mu ręce, a diabelskie szpony drapały go po całym ciele. To wszystko zdarzyło się w 1621 roku. Jak pan komendant nie wierzy, to niech pan komendant przeczyta zapiski tego księdza¹. Wszystko tam zanotował.

– Cudowne włosy – parsknął śmiechem de La Motte – Możesz odejść. Biegiem. Dwa razy nie będę powtarzał.

Twarcz oficera oblała się rumieńcem. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko odwrócił się na pięcie i szybko odmaszerował w kierunku wartowników. Komendant został sam na zamkniętym murami dziedzińcu. Na dworze już się ściemniło i bryła kościółka wyglądała bardzo tajemniczo. La Motte nie należał jednak do romantyków. Mimo to historia włosów go poruszyła. Zupełnie nie wiedział dlaczego. Zaczął się zastanawiać. Do kogo mogły należeć te włosy? Dlaczego ludzie uważali, że mają cudowną moc? Czy były związane z jakimś świętym, że powieszono je w świątyni? Komendant niedawno przybył do Klodzka i jeszcze nie zaglądał do i tak zamkniętego kościółka. Miał na głowie ważniejsze sprawy. Od roku trwała rozbudowa fortów na wzgórzu. Dookoła panował chaos. Rusztowania, setki kręcących się robotników. I chociaż te sprawy zaprzętały go bez reszty, teraz nie mógł pozbyć się natrętnych myśli o włosach.

– Przecież nie będę o nie wypytywał żołnierzy – powiedział na głos do siebie. I zaraz się uśmiechnął. Dlaczego przy beczce wina nie pogwarzyć o tym z pracującymi w twierdzy architektami? W ciągu godzi-

¹ Książd Aelurius Georgius istniał naprawdę. Historii zaczarowanych włosów poświęcił cały rozdział swojego dzieła z 1625 roku *Glaciographia*.

ny czterech pracujących przy wznoszeniu fortów mistrzów dostało zaproszenie na kolację. Darmowe wino i dziczyzna? Wszyscy stawili się w komplecie.

Wieczór upływał w oparach mocnych trunków i przy męskich rozmowach. Po omówieniu spraw polityki, obronności i myślistwa, panowie zaczęli opowieści o zaletach znanych im kobiet. Byli już zdrowo podpici. Na ten moment czekał komendant. Liczył, że goście zapomną potem o co ich pytał.

– Włosy Valeski. Diabeł, nie kobieta – rozmarzył się jeden z kłódzkich architektów, gdy La Motte wspomniał o świątyni. Inni zgodnie przytaknęli. Wydawało się, że świetnie znają historię kościółka. Pytanie komendanta w ogóle ich nie zdziwiło. Wychylił kolejny kielich i w migotliwym blasku świec rozpoczęła się zadziwiająca historia.

Jeszcze w czasach pogańskich na ziemi kłódzkiej żyła młoda i niezwykle piękna władczyń. Miała być jedną z córek samego Kraka i nazywać się Valeska, czyli złotowłosa, ale nie wiadomo kto stworzył taką legendę. Bez względu na to, jak się jednak nazywała, była osobą niezwykle. Olsniewająca uroda szła w parze z męstwem i nadludzką siłą. Złotowłosa świetnie strzelała z łuku. Ludzie opowiadali, że wypuszczona przez nią strzala potrafiła dolecieć aż do Żelazna. Łuk Valeski miał cudowną moc. Można było z niego ustrzelić każde zwierzę. Oprócz tego Valeska bez wysiłku łamała podkowy, piła jak mężczyzna i bez hamulców używała życia.

Choć wiele legend przedstawiało ją jako dziewicę, władczyń wozem starożytnych królowych poślubiła własnego brata. Znała się również na czarach i obcowała z diabłem. Jej niezwykła moc pochodziła nie tylko z piekielnych znajomości. Cała jej siła tkwiła we włosach. Gęstych, długich i połyskujących złotem. Mimo że Valeska założyła gród na Zamkowej Górze, gdzie później zbudowano twierdzę, ludzie bali się pięknej władczyń. Dziewczyzna potrafiła być okrutna. Ponieważ sama nie miała żadnych słabości, nad nikim też się nie litowała. Kiedy bez namysłu dopuściła się kolejnego okrucieństwa, poddani zbuntowali się i napadli ją podczas snu. Szybko obcięli jej włosy, źródło nieludzkiej siły. Mieszczanom pomagali czescy szpiedzy, którzy liczyli na przejęcie części ziem. Valeskę uwięziono w lochu głodowym. Jej ciało po kilkunastu dniach zmieniło się w kamień, a okolicę obiegła plotka, że włosy władczyń mogą obronić gród. Złote warkocze zawisły więc w pogańskiej świątyni i zostały tam nawet wtedy, gdy miejsce to zamieniono

na kościółek św. Marcina. W ciągu wieków koło kościółka stanął zamek, a w XVIII wieku twierdza.

„Czy widział pan, panie komendancie tę kamienną rzeźbę nad dziedzińcem Wysokiego Bastionu? – kończył swą opowieść architekt – To skamieniała Valeska. Niech się pan nie uśmiecha. Wszyscy wierzymy, że włosy Valeski chronią Kłodzko. Kto ośmieli się zabrać warkocze, stanie twarzą w twarz ze śmiercią. Niech pan sobie wyobrazi, że w 1621 roku do kościółka zakradł się pewien żołnierz...”

Ale tę historię de La Motte już znał. Magiczne włosy, czy wierzyć w ich moc czy nie, byłyby wspaniałym darem dla króla. Fryderyk II uwielbiał takie historie. A komendant kłodzkiej twierdzy nie wierzył w czary. Wierzył natomiast w moc dawania prezentów. Postanowił natchnąć działać. Pożegnał gości, którzy chybotliwym krokiem udali się do swoich kwater, i ruszył w ciemność. Przed kościółkiem nikogo nie było. Drzwi zastał zaryglowane. Historia milczy nad sposobem, w jaki komendant zakradł się do środka. Wiadomo natomiast, że jego łupem padło kilka niezwykłych rzeczy. Wiadomo też, że tym razem diabeł nie interweniował. De La Motte zdjął z haka warkocze i starannie schował je do jedwabnego worka. Potem sięgnął po przechowywany w świątyni tuk Valeski. Na samym końcu jego wzrok spoczął na... bębnie wojennym. Bębnie niezwykłym, bo – jak wierzyli żołnierze – zrobionym z ludzkiej skóry.

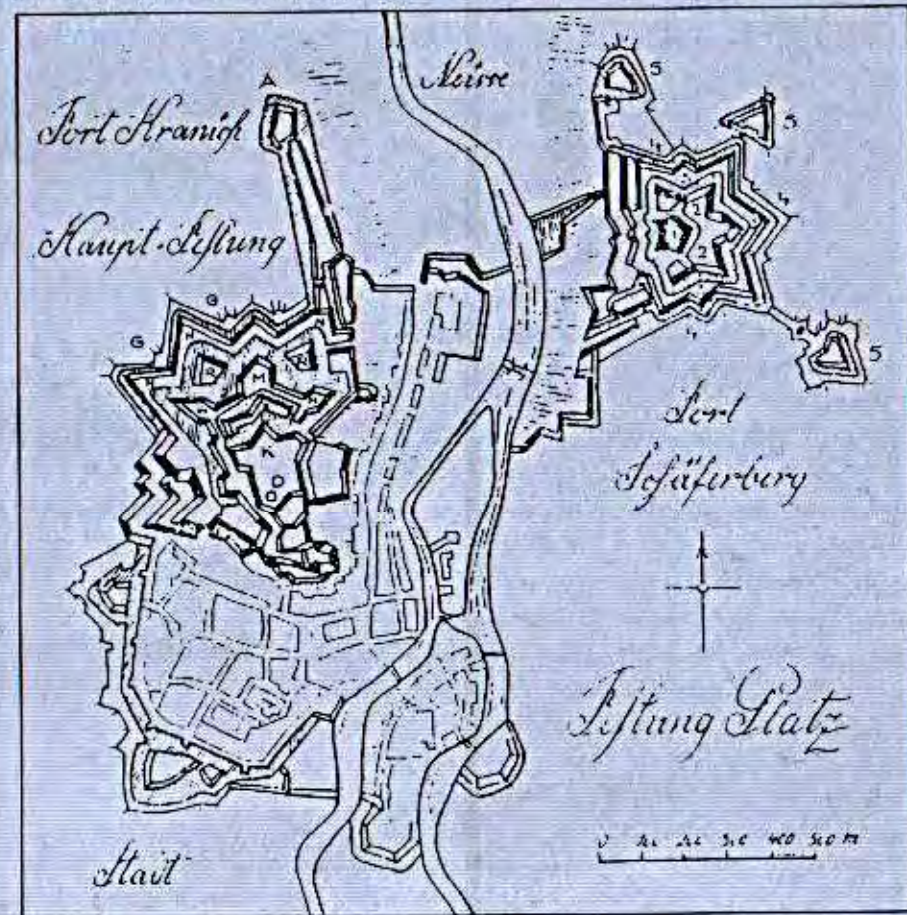
W 1424 zmarł 64-letni Jan Žižka z Trocnowa. Jeden z najdzielniejszych przywódców wojen husyckich, brał także udział w bitwie pod Grunwaldem po polskiej stronie. Legenda mówiła, że Žižka spisał przed śmiercią testament, w którym zażyczył sobie, aby jego ciało rzucić zwierzętom na pożarcie, a ze skóry zrobić bęben. Dźwięki takiego instrumentu miały odstraszać przeciwnika. W rzeczywistości bęben wykonano z niewyprawionej zwierzęcej skóry, którą Žižka nosił na piersiach. Gdy w 1429 roku oddziały radykalnego skrzydła husytów oblegały Kłodzko, w skutek zdrady bęben-talizman dostał się w ręce wroga. W ten sposób trafił do twierdzy. Komendant miał więc wspaniałe prezenty.

W 1743 roku opuścili Kłodzko i wyjechały do Berlina². Tam król Fryderyk II kazał je wyeksponować w swojej zbrojowni. Włosy po jakimś czasie zaginęły, a sławny bęben po prostu zjadły mole. Również ko-

² Mniej sensacyjna wersja tej opowieści mówi, że nie było żadnej kradzieży, a król po prostu kazał przynieść skarby z kościoła.

ściółek został zmieciony z powierzchni ziemi. Robotnicy zburzyli go podczas modernizacji twierdzy w 1773 roku. Do dziś jedynym wspomnieniem tamtej historii jest kamienna rzeźba w twierdzy. W 1945 roku ktoś ją uszkodził. Mimo to ciągle pilnuje ze szczytu góry spokoju Kłodzka.

Magia to czy nie, twierdza zawsze dzielnie stawiała opór wrogowi. Wielu ludzi twierdziło, że to właśnie za sprawą włosów Valeski, inni widzieli w tym sprawkę diabła, racjonalnie myślący żołnierze natomiast twierdzili po prostu, że twierdza jest arcydziełem sztuki fortyfikacyjnej. Do dziś jej potężna bryła góruje nad całym miastem. Jest najlepiej zachowanym dziełem obronnym na terenie Polski. Zajmuje obszar 30 ha,

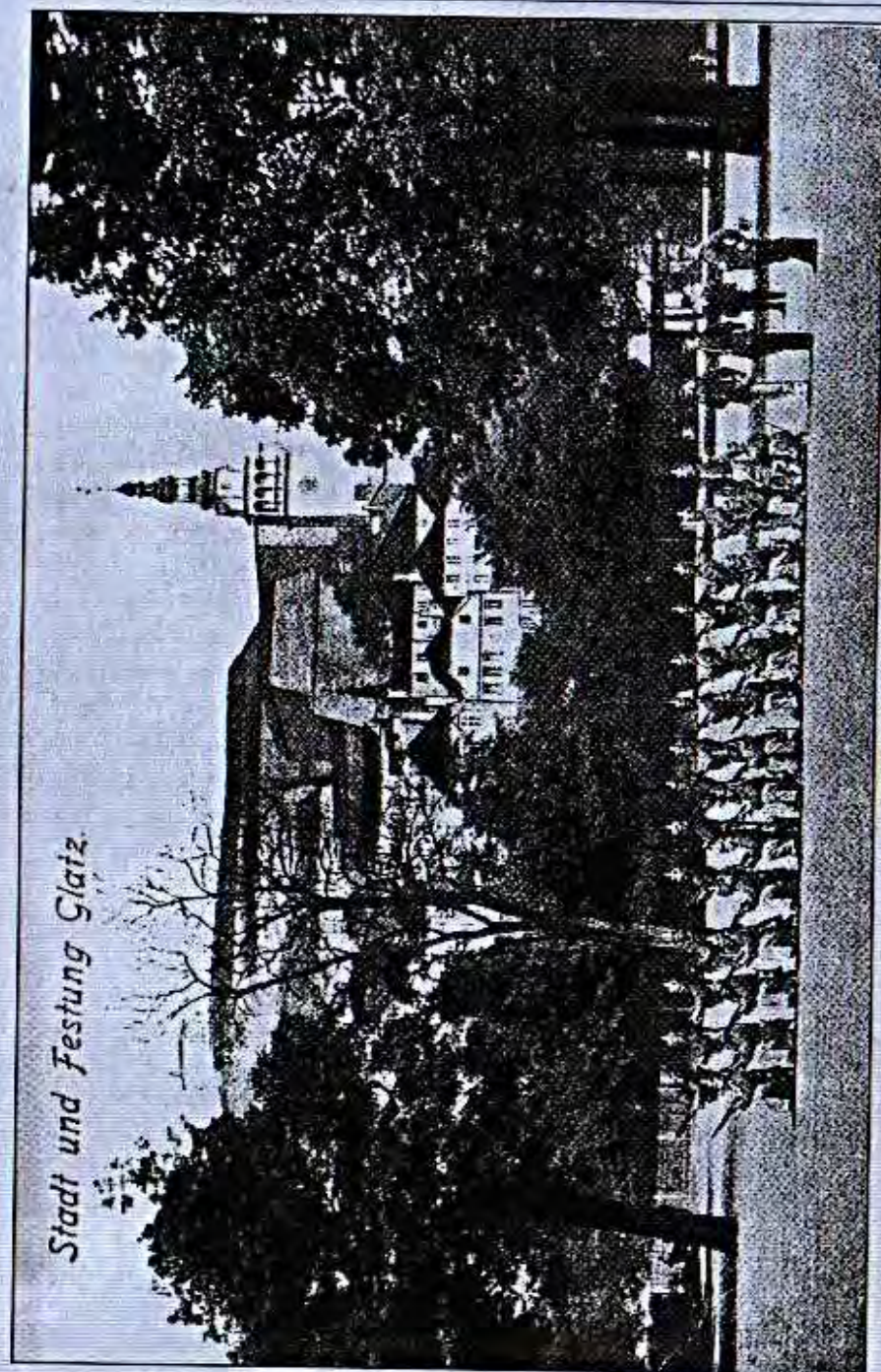


Plan twierdzy kłodzkiej i sąsiadującej z nią po drugiej stronie Nysy tzw. Małej Twierdzy na Owczej Górze

ogranicza ją kilka ulic. W XIV wieku w tym miejscu stał murowany zamek. Cztery wieki później, po wybuchu wojen prusko-austriackich, zamek zaczął zmieniać się w fortecę. W ten sposób na wzniesieniu zwanym już Forteczną Górą, w miejscu zamku stanęła główna część twierdzy. Jej rozbudowy podjął się w 1770 roku twórca twierdzy srebrnogórskiej. Z jego inicjatywy rozebrano zamek, aby zrobić miejsce na Donjon, centralne dzieło obronne twierdzy.

W tym okresie zbudowano również Bastion Widokowy. Wkrótce na sąsiedniej Owczej Górze powstała tzw. Mała Twierdza. Oba wzgórza, rozdzielone przez Nysę Kłodzką były czymś w rodzaju bramy do Śląska od strony Kotliny Czeskiej. Kłodzko stanowiło ogniwo łańcucha twierdz ciągnących się od Srebrnej Góry do Nysy. Według niepotwierdzonych informacji Małą i Dużą Twierdzą łączył podziemny tunel biegnący pod rzeką. Tunel ten widział jeden ze świadków na poniemieckiej mapie, ale informacji tej nie udało się nikomu sprawdzić. Bardzo szybko zresztą zaczęły powstawać legendy o przepastnych podziemiach fortecy. Ich część – chodniki minerskie – można zwiedzać. To zresztą największa atrakcja i osobliwość twierdzy. Podziemny labirynt niskich i bardzo ciasnych chodników służył do wysadzania dział przeciwnika. Zasada była prosta. W XVIII wieku artyleria musiała ustawiać się blisko celu. Chodniki umożliwiały podejście pod takie niebezpiecznie bliskie działo. W bocznych ścianach korytarzy znajdowały się wnęki, w których stawiano worki z piaskiem i kamieniami. Z chwilą podciągnięcia działa na przedpolu można było umieścić ładunek wybuchowy, zatarasować korytarz z dwóch stron i wysadzić działo umieszczone nad nim. Podziemia wydrążono w ten sposób, aby po eksplozji ładunku wybuchowego zawałał się tylko fragment chodników. Żołnierze poruszali się po korytarzach w zupełnej ciemności, żeby nie spowodować eksplozji prochu. Łączna długość zachowanych korytarzy wynosi ponad 44 kilometry. To prawdziwe dzieło sztuki. Podobnie jak sama twierdza. Prowadziło do niej kilka bram i silnie bronionych furt. Od południa i zachodu zbudowana została 10-metrowa, sucha fosa.

W 1800 roku twierdzę zwiedził odbywający podróż po Śląsku John Quincy Adams, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, który wkrótce też miał zawitać do fortów w Srebrnej Górze. Tak opisywał swoje wrażenia: „Wydano kilka milionów dolarów, żeby ją uczynić jeszcze bardziej nie do zdobycia. W ostatnich trzech latach zbudowano blisko szczytu pomieszczenie na osiemset ludzi mniej więcej, z tak moc-



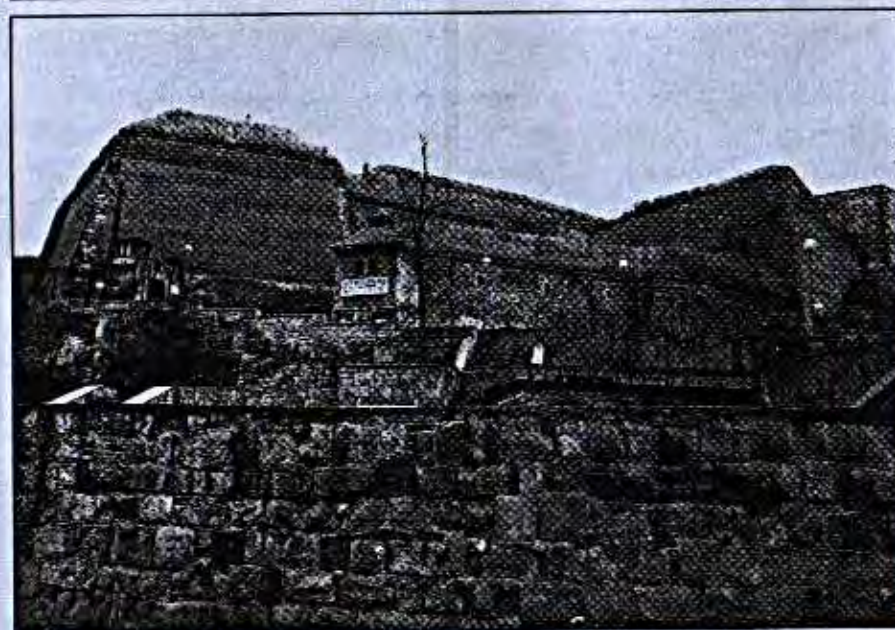
Stadt und Festung Glatz.

nymi i grubymi murami, że wojsko w nim zamknięte byłoby bezpieczne nawet w czasie bombardowania. Na samym szczycie znajduje się wieża strażnicza, z której mieliśmy cudowny widok na wszystkie strony. Widać było całą okolicę Kłodzka otoczoną wieńcem gór dzielących ją od Czech i Górnego, i Dolnego Śląska. Przypomina ogromny kocioł i tak ją nazywają mieszkańcy [Kotlina]. Na wieży umieszczono, na rozkaz Fryderyka II, figurę św. Jana Nepomucena, patrona Czech [...]. Na wieży trzymają też okrągły stół z nazwami wszystkich wiosek, umieszczonymi dokładnie w kierunku ich położenia, aby w razie pożaru wiedzieć od razu, dokąd spieszyć z pomocą”.

John Quincy Adams gościł w fortecy niemal w przededniu wielkich wydarzeń. Już za 7 lat fortecę miały oblegać przez kilka miesięcy, bezskutecznie zresztą, wojska napoleońskie. Obleżenie zaś znalazło swoje miejsce nie tylko na kartach wielkiej historii. Plotkowały o nich potem przez lata wszystkie okoliczne przekupki. Zdarzyło się bowiem coś niezwykłego. Do obleganej twierdzy zakradła się piękna i młoda kobieta. Nazywała się Charlotta Ursinus, bardziej znana była jednak jako hrabianka Orsini. Panna była zwolenniczką Napoleona i postanowiła wspomóc stojące przed fortami wojska. Niepostrzeżenie wyspała do studni trutkę, która co prawda nikogo nie zabiła, osłabiła jednak ducha bojowego w żołnierzach. Wkrótce piękna hrabianka wysłała na tamten świat swojego kochanka. Wyrokiem sądu Charlotte skazano na 20 lat ciężkiego więzienia. Dwadzieścia lat miała przesiedzieć w mrocznej twierdzy kłodzkiej, bez jakiegokolwiek szansy na ujrzanie światła, drzew, nieba. Jednak uroda więźniarki sprawiła, że strażnicy patrzyli na nią przez palce. Hrabianka niemal zadomowiła się w kamiennym mieście. W tamtych czasach nie było jednak zwolnień warunkowych i panna opuściła grube mury dokładnie po 20 latach. Opowiadano potem, że ciężkie warunki nie zniszczyły ołśniewającego wyglądu hrabianki.

W tym czasie twierdza pełniła już funkcję więzienia. Na Fortecznej Górze od dawna zresztą przetrzymywano skazanych, bo podobnie jak w Srebrnej Górze wierzono, że stąd nie można uciec. I podobnie jak w Srebrnej Górze fakty przeczyły takim przekonaniom. Pierwszy więzień uciekł z Kłodzka już na początku XVII wieku, kiedy stał tu jeszcze zamek.

Wacław Kinsky, bogacz ze znakomitego czeskiego rodu, znany był z licznych intryg. Do Kłodzka trafił pod nadzorem 50 muszkieterów. Ani myślał jednak resztę życia spędzić za kratami. Poprosił spowiedni-



Twierdza kłodzka robi ponure wrażenie. Solidne mury, wąskie przejścia. Tutaj mieściło się jedno z najsurowszych więzień Prus, a potem Niemiec

ka, aby przemyślił stosowne narzędzia. Kwasem saletrowym zmięczał ściany, wydobyte kamienie chował do skrzyni na ubrania, a otwór przesłonił przenośnym ołtarzem. Reszta potoczyła się jak w najlepszym filmie przygodowym. Kinsky spił strażników, wydostał się przez dziurę, pobiegł na szczyt zamku i zszedł w dół po sznurowej drabinie. Za murami miasta czekał na niego wierny mnich, słudzy i konie. Dwa lata później, w 1618 roku, Wacław Kinsky powrócił do łask, a Ferdynand II oddał mu skonfiskowany majątek.

Wyczyn Kinskiego miał powtórzyć dopiero wiek później Fryderyk von Trenck, pruski baron, niezbyt rozważny, ale za to bardzo romantyczny. Fryderyk już jako 16-letni chłopiec został królewskim adiutantem. Na jednym z balów poznał królewską siostrę, w której zakochał się z wzajemnością. Ale władcy nie podobał się ten romans. Przy najbliższej okazji, a była nią druga wojna śląska, oskarżył młodego Trencka o kolaborację. A gdzie najlepiej osadzić niebezpiecznego kolaboranta? Oczywiście w Kłodzku. W miejscu, z którego nie było ucieczki. Baron jednak nie przyjął do wiadomości, że ma zostać w więzieniu do końca życia. Nie chciała też o tym słyszeć ukochana Amelia. Korzystając ze swoich wpływów, a także królewskich pieniędzy postanowiła pomóc załotnikowi. Baron Fryderyk von Trenck cztery razy próbował ucieczki. Za pierwszym razem wartownik zranił go bagnetem. Podczas drugiej eskapady noga ugrzęzła mu pomiędzy deskami. Za trzecim razem przekupiony strażnik okazał się zdrajcą, a za czwartym arystokrata wpadł do kłoa. Dopiero w Wigilię 1745 roku baron von Trenck zdołał wydostać się z twierdzy.

I znów musiało upłynąć prawie 100 lat, żeby w więzieniu pojawił się kolejny desperat. Był to taki James Bond początków XX wieku. Francuz, Karol Eugeniusz Lux, oficer wywiadu został w 1911 roku przechwycony przez kontrwywiad niemiecki. Lux, wzorem swoich sławnych poprzedników, ani myślał siedzieć w twierdzy. Od samego początku miał zresztą chytry, godny najlepszego szpiega plan ucieczki. Udawał, że jest łagodny jak baranek. Do strażników zwracał się grzecznie, nie było z nim nigdy żadnych kłopotów. Z czasem zaczął korzystać z przywilejów wzorowego więźnia, wolno mu było nawet korespondować z bratem. W listach więc przekazywał informacje o narzędziach niezbędnych do ucieczki. Spis tych rzeczy robił atramentem sympatycznym spreparowanym z soku z cytryny – swoją drogą rzeczywiście musiał mieć fory, skoro dostawał cytrynę.

Wkrótce brat zaczął przysyłać zamówione przedmioty. Tego nie wymyśliłby chyba najlepszy scenarzysta. To jeszcze nic, że w twardych oprawkach książek Lux otrzymał wytrych, brzeszczot do cięcia krat, dokładną mapę okolicy i paszport neutralnego kraju. Lux wykorzystał sznurek, którym były przewiązane książki i zrobił z niego drabinę! Podobnie jak Trenck, Francuz wybrał na dzień ucieczki Wigilię. Wytrychem otworzył celę, dostał się na niższą kondygnację, przepiłował kraty i pobiegł do miasta. W hotelu „Miasto Rzym” zmienił ubranie i odjechał pociągiem do Paryża przez Kudowę Zdrój. Za granicą wydał książkę, w której dokładnie opisał swoje kłódzkie przygody i ośmieszył wartowników z twierdzy.

Jednak najślawniejszym więźniem Kłodzka był ksiądz Andreas Faulhaber, którego zwłoki wisiały na szubienicy obok fortów przez 2 lata i 7 miesięcy. Był to widok niezwykle, ku zdumieniu bowiem wszystkich skazany wyglądał tak, jakby spał. Jego ciało nie uległo rozkładowi. Ludzie twierdzili, że to oznaka męczeństwa i dlatego z całych Prus ciągnęły tu pielgrzymki. Sprawą zainteresowała się nawet cesarzowa Maria Teresa. Ksiądz Faulhabera przywieziono do twierdzy w 1757 roku, a oskarżenie było sprokurowane. Ksiądz miał rzekomo namawiać pruskich żołnierzy do dewercji. W celi duchowny przebywał bez żadnych praw. Powieszono go również niemal w tajemnicy, bez ostatnich namaszczeń. Jedyną pamiątką po tamtych wydarzeniach był cynkowy kubek, na którym niewinny ksiądz wyrył sprzączką sceny ze swojego życia. Do końca II wojny światowej kubek przechowywany był w kłodzkim muzeum. Potem zaginął.

W ten sposób doszliśmy do najbardziej tajemniczego epizodu w dziejach potężnej twierdzy – do czasów wojennych³. Wtedy forteca została głównym więzieniem politycznym Niemiec. Tu pod koniec 1943 roku Niemcy zamordowali 200 fińskich żołnierzy, lotników i marynarzy. Nie wiadomo, w którym miejscu twierdzy zostali pochowani. Niemcy zabijali ich strzałem w potylicę. Zwłoki topili w basenie z wapnem. Towarzyszące Finom kobiety wywieziono w stronę Szydłowca i od tej pory ślad po nich zaginął.

Wkrótce po wymordowaniu Finów do twierdzy zostały przeniesione z Łodzi zakłady zbrojeniowe wraz z robotnikami przymusowymi. Było

³ Historie związane z ukrytymi w twierdzy skarbami opisałam dokładnie w książce *Tajemnice. zamki, podziemia. Przewodnik, jakiego nie było*. Teraz przypominam tylko niektóre fakty.

ich około 1500. Produkowali m.in. torpedy do samolotów dalekiego zasięgu „Kondor”, części elektryczne do pocisków rakietowych V-1 oraz aparaturę radiową dla „U-bootów”. Wśród robotników przeważali młodzi chłopcy, którzy opowiadali sobie fantastyczne historie o ukrytych w twierdzy skarbach.

Podobno do fortów zwieziono zbiory muzeów z Wrocławia i Wałbrzycha. Niektórzy opowiadali o złocie pochodzącym z grabieży na Ukrainie i we Francji. Jednym z takich chłopców był Jerzy Rosiak, który w twierdzy pracował w służbach przeciwpożarowych. Pod koniec listopada 1944 roku Rosiak i jeszcze jeden Polak zostali zawołani do pomocy⁴. Wyszli przez bramę winiami na zewnątrz fortu. Tam kazano przenosić im jakieś skrzynki zdejmowane z ciężarówki chronionej przez żołnierzy Wehrmachtu. Przez otwór w ceglany murze wchodzili w jakiś korytarz lekko opadający w dół. Po około 30 metrach dochodzili do trzech pomieszczeń. Skrzynki składowane były w jednym z nich. Któraś ze skrzyń w pewnym momencie wypadła im z rąk i rozbiła się. Rosiak sięgnął do jej wnętrza i spośród słomy wyciągnął złotą monstrancję bogato wysadzaną kamieniami. Rozbitą skrzynkę pozostawili obok stosu pozostałych. Dwa dni później Rosiak wrócił do podziemi. Tam zobaczył, że pomieszczenie, w którym złożony został skarb, jest zamurowywane przez dwóch robotników. Trzeci osmalał pochodnią świeże tynki, starając się nadać im stary wygląd.

14 października 1944 roku, w podziemia twierdzy zapuścił się Adam Bieńkowski, który potem opublikował swoje wspomnienia w „Rocznikach Ziemi Kłodzkiej”. Wspominał:

„Loch wyraźnie biegnie w dół, jest w nim więcej wody i błota. Po chwili natrafiamy na szerokie schody, które kończą się świeżo wzniesionym murem. Rozbijamy cienką ściankę i oto jesteśmy w dość rozległej sklepionej komorze. Wchodzimy głębiej i dębujemy... Pod ścianami stoją regały wypełnione cudownymi przedmiotami. Zastawy z saskiej porcelany stoją obok pięknie rzeźbionych pucharów. Nie opodal przetykane złotem szaty, suknie o fantastycznych wzorach, setki bezwładnie rozrzuconych obrazów olejnych, różnego rodzaju manuskrypty i książki, a na środku sali spoczywa kilkadziesiąt rozmaitych starych pistoletów i strzelb skałkowych z pięknie inkrustowanymi rękojeściami. Długo oglądamy te skarby. Jesteśmy widocznie w miejscu, gdzie hitlerowcy zwieźli przed bombardowaniem eksponaty z muzeów Kłodzka i Wrocławia”.

⁴ Opowieść tę spisał Arek Pawełek, który rozmawiał z Jerzym Rosiakiem.

Dzisiaj już wiemy, że część znalezisk wystali w paczkach do swoich rodzin przymusowi robotnicy. Reszta gdzieś została. Prawdopodobnie na terenie twierdzy. Po raz pierwszy na miejsca domniemanych ukryć zwrócił uwagę Janusz Grabowski, znakomity przewodnik po twierdzy. Zauważył, że w niektórych miejscach twierdzy widać wyraźne ślady przebudowy, nie mające uzasadnienia strategicznego. Jednak oprócz braku stosownych decyzji i wykonawców, dodatkową przeszkodą w eksploracji fortów jest niedostateczna dokumentacja. Dokumentacja... Tak naprawdę nie ma po niej ani śladu. Polacy dysponują planami twierdzy tylko do 1930 roku. Jej dalsze przebudowy są dla nas zagadką. Nie wiemy nawet, ile kondygnacji ma kłodzki olbrzym. Według legend aż sześć, znane są jednak tylko trzy. Sieć gazowniczą Kłodzka odtwarzano na podstawie planu z 1916 roku. Musiały jednak istnieć późniejsze mapy. Aż trudno uwierzyć, że odwiedzany przez tysiące turystów obiekt kryje jeszcze tyle tajemnic. Już po wojnie kilkakrotnie podejmowano próby badania twierdzy, ale ich wyniki ani na trochę nie pozwoliły przybliżyć się do rozwiązania zagadki.

Milczące ślady... Czy jednak całkowicie milczące – pyta Leszek Adamczewski w książce *Milczące ślady* – Uważni tropiciele tych śladów zwracają bowiem uwagę na często niedostrzegane przez laików, lecz wielce wymowne fakty. Dlaczego na przykład zalana jest dzisiaj cześć korytarzy podziemnych twierdzy kłodzkiej? Siedemnasto- i osiemnastowieczni projektanci i inżynierowie obiektów fortecznych byli perfekcjonistami w swoim fachu. Znaczną wagę przykładali oni do samostnego odwadniania podziemi. Jeśli dziś są one częściowo zalane, to nastąpiło to wskutek gwałtownego zakłócenia gospodarki wodnej. Niektóre korytarze musiały zatem zostać zamurowane. Dlaczego?...

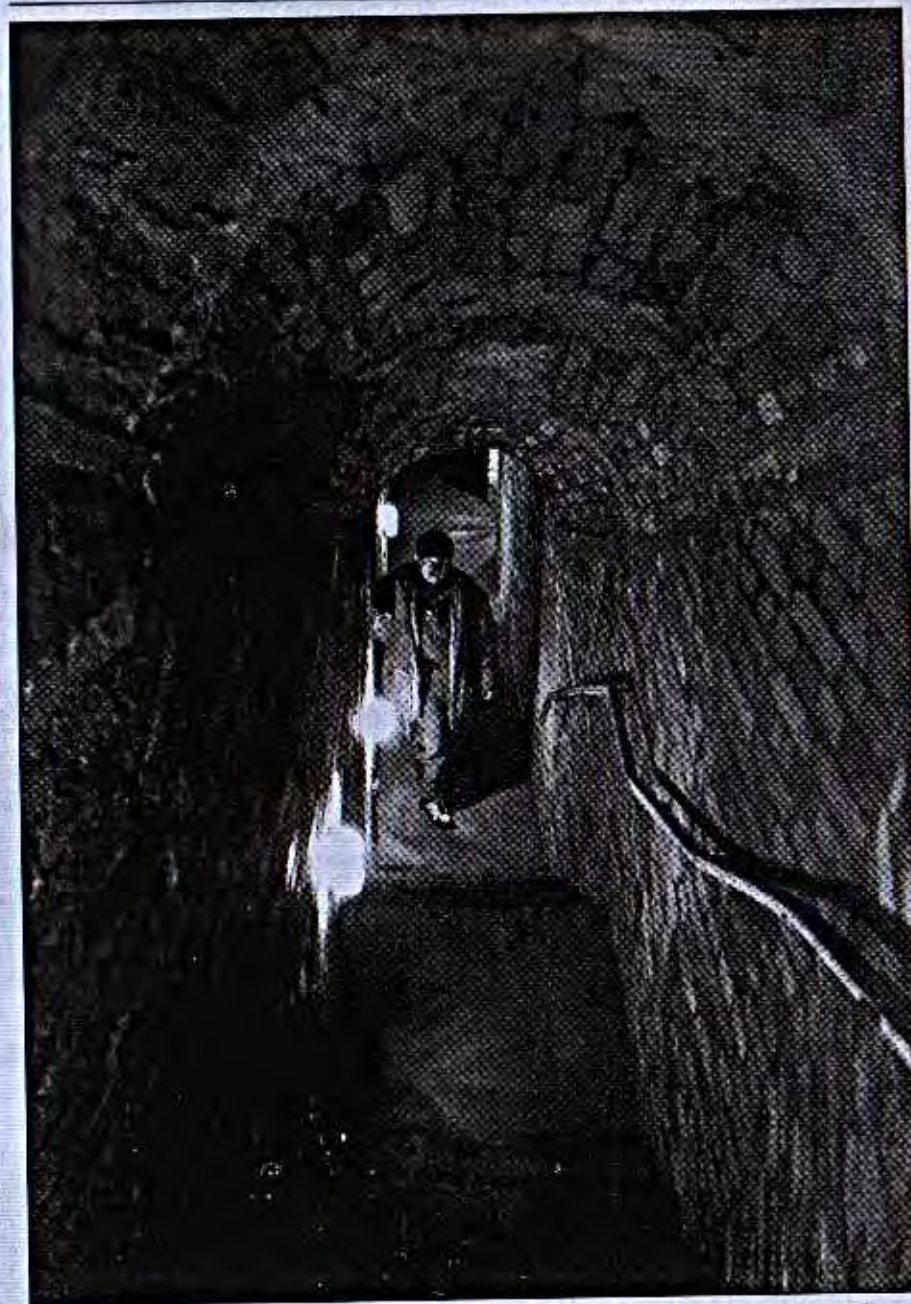
Może Wy znajdziecie odpowiedź na to pytanie.

Życie codzienne w podziemnym mieście

*Jak upiec w piwnicy chleb * Miasto zapada się pod ziemię
* Kłodzko po trzęsieniu ziemi * Nietknięty spadek historii * Na
ratunek Starówce * Speleolodzy w czarnym labiryncie * Pro-
sta różnica między gilotynami*

Te podziemia naprawdę kiedyś żyły. Ludzie mieszkali w nich, bawili się, piekli chleb, kochali się i umierali. Tam na górze, w twierdzy, bronili się żołnierze. Tu na dole, pod ulicami Kłodzka, można było przeżyć nawet kilka tygodni. Kominki dawały ciepło, w piecach rumieniły się bochenki i bułki, wodę czerpano z wydrążonych tu studni. Nikomu nie groziło zaczadzenie, bo podziemne miasto połączone zostało z naturalnymi ciągami kominowymi kamienie. Głęboko pod kłodzkimi kamienicami było po prostu bezpiecznie. Podziemne miasto pod Kłodzkiem to labirynt połączonych z sobą piwnic. Można nimi przejść chociażby spod twierdzy do wspaniałego kościoła Najświętszej Marii Panny na starówce. Nie od razu podziemia tworzyły długie ciągi. Chodniki powstawały etapami. Najstarsza część lochów pochodzi z XIII wieku. Kłodzko leżało na szlaku handlowym pomiędzy Wrocławiem i Pragą. Ponieważ – nazwijmy to – kontrole celne odbywały się w miastach nadgranicznych, ten obowiązek spoczywał również na Kłodzku.

Z przyczyn strategicznych ograniczone Młynówką, Nysą i Forteczną Górą miasto, nie mogło się rozrastać, nie było też miejsca na składowanie towarów. Mieszczanie wymyślili więc, że należy rozwijać się w głąb. W ten sposób zaczęły powstawać obszerne piwnice i wielokon-



Mieszkańcy tych podziemi mogli tu przetrwać nawet kilka tygodni.
Mieli swoje studnie, kominki i piece chlebowe

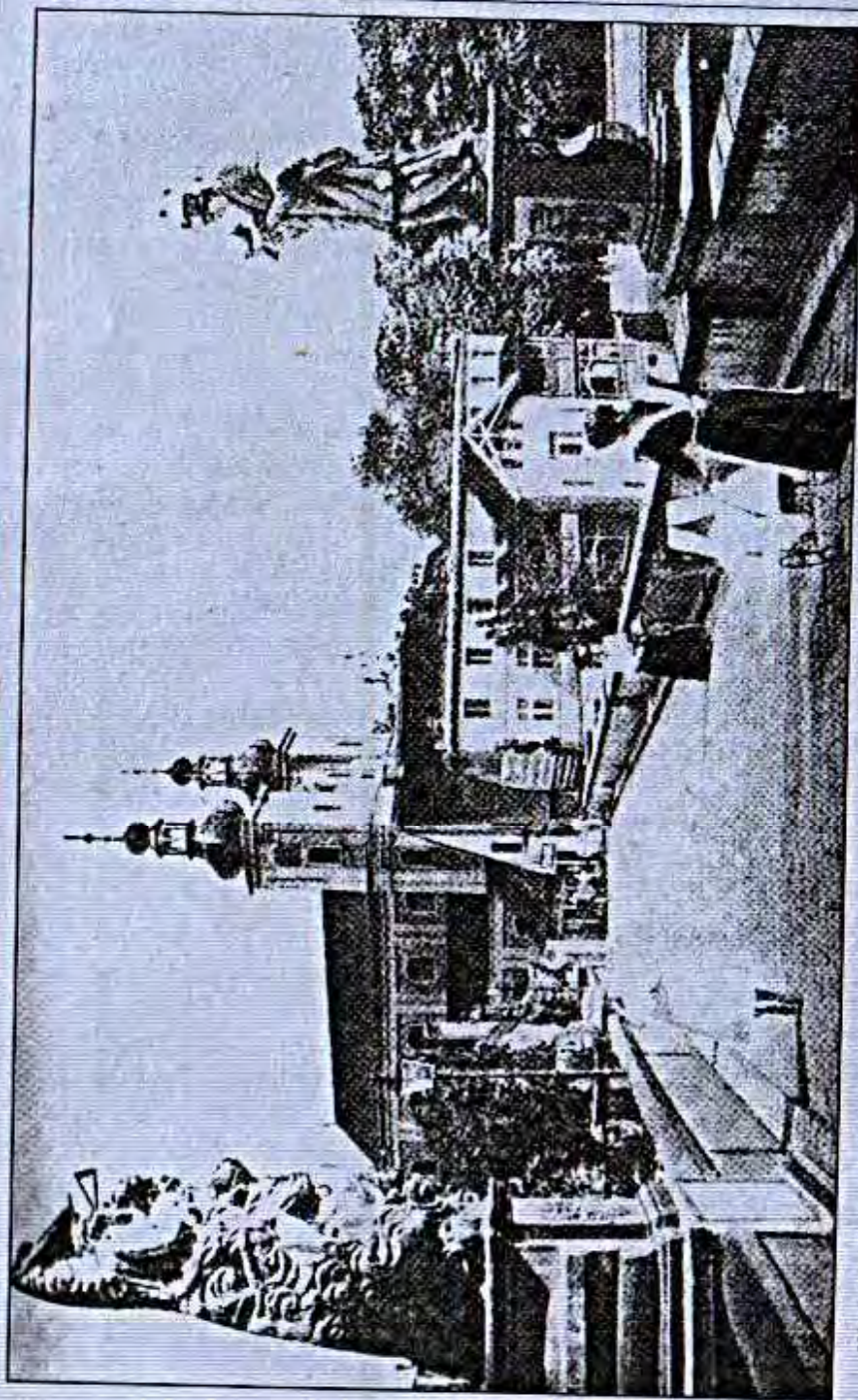
dygnacyjne korytarze. Z przekazów historycznych wiadomo, że w domach bogatych kupców i rzemieślników przez całą długość budynku biegła szeroka sieć. Za schodami znajdował się na ogół warsztat lub magazyn. Na górze część mieszkalna. Pod ziemią więc, tam gdzie było chłodno, można było przechować łatwo psujące się towary. Tu były bezpieczne przed złodziejami, pożarami i innymi kataklizmami. Wąskie, 2- i 3-piętrowe kamienice sięgały w głąb niekiedy nawet do 30 m. Z czasem piwnice zaczęły się rozrastać.

W najbardziej burzliwym dla Kłodzka okresie, w XVII i XVIII wieki, kiedy miasto przechodziło z rąk Austriaków w ręce Prusaków i na odwrót, podziemia okazały się świetnym schronieniem. Tu też instalowano magazyny broni i amunicji. Piwnice zaczęły się łączyć. Ułatwiał to komunikację i życie w okresach zagrożenia. Znacznie wygodniej było podzielić się rolami. Ktoś piekł chleb dla całego sektora, ktoś inny gotował. Podczas wojennej zawieruchy tętniło tu normalne życie. Tył, że bez słońca.

Przez wieki kłodzkie piwnice pełniły więc różnorakie funkcje. Nadszedł jednak czas, kiedy stały się zagrożeniem...

– Kiedy w czerwcu 1945 roku – wspominał w książce Zbigniewa Świącha *Skarby tysiąca lat* prof. dr Zbigniew Strzelecki z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej – pierwszy polski burmistrz przejmował władzę w Kłodzku, nie przypuszczał nawet, jakie problemy będą mieli jego następcy, i to już w najbliższych latach. Wtedy, zaraz po wojnie, nic nie zapowiadało kataklizmu. Urok kamieniczek i zaułków zachwycał malowniczością nowych mieszkańców i pierwszych turystów. Miasto przetrwało wszelkie burze dziejowe czasów dawnych, całe wyszło z obu wojen światowych, ale oto już w 1948 roku zaczęło się... Zapadały się całe ulice, pękały ściany domów. Bo to właśnie pod Starym Miastem tkwił nietknięty spadek historii: labirynt pustych lochów, piwnic i wyrobisk podziemnych, zupełnie nierozeznaczonych. Niegdyś służyły celom obronnym i gospodarczym, a nieremontowane, nigdy niekonserwowane zaczęły się walić, pociągając za sobą obsuwanie się budynków i jezdni. W 1956 roku część starówki wyglądała jak po trzęsieniu ziemi: z ewidencji wykreślono 84 – w większości zabytkowe – budynki, a 471 wpisano na listę wymagających natychmiastowego remontu”.

To była prawdziwa tragedia. Przepiękna kłodzka starówka należała do najciekawszych w Europie, porównywano ją nawet z krakowską i rzymską. Tymczasem powoli została skazana niemal na zagładę.



Kłodzkie Stare Miasto porównywano z najpiękniejszymi starówkami Europy. Po II wojnie światowej skazane zostało w większości na zagładę

Do podziemnego miasta zaczęła wlewać się woda. Spusty były w bardzo złym stanie. To jeszcze przyspieszyło zniszczenie. Lessopodobne podłoże, na którym stoi Kłodzko, pod wpływem wody szybko zaczęło ulegać rozkładowi. To oprócz starości był kolejny z powodów zawałania się wyrobisk – opowiada Ryszard Schneider, przewodnik po podziemiach – Oprócz kamieniczek zagrożony był też zabytkowy kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Do tego po wojnie źle zabezpieczono wyjścia awaryjne i ludzie zaczęli je traktować jak bezpłatne szalety. W połowie lat pięćdziesiątych sytuacja była fatalna. Nie dość, że waliły się kamienice, to jeszcze w ich miejsce stawiano potem bloki, które w żaden sposób nie pasowały do bryły zabytkowej części miasta.

Podziemia obrastały legendami. Niebezpieczne, grożące w każdej chwili zawaleniem stanowiły nieodgadnioną tajemnicę. Ludzie szeptali, że Niemcy ukryli w nich skarby, że znajdują się tam bezcenne depozyty. Ktoś wspominał, że Stare Miasto połączone było z bastionem, ale nikt nigdy nie wiedział tego przejścia. Samo miasto przedstawiało obraz nędzy i rozpacz. Jak twierdził profesor Zbigniew Strzelecki, zakres i stopień zagrożenia Kłodzka nie miał odpowiednika w całej Europie. Ale w 1958 roku w Kłodzku pojawiła się ekipa speleologów z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Po pierwsze zamierzali zbadać podziemia, po drugie ratować miasto. Niemcy nie zostawili żadnej dokumentacji, żadnych planów, nikt więc nie wiedział, jak rozległe i jak głębokie są podziemia. Pod wrażeniem miejscowych opowieści, speleolodzy zaprosili do współpracy saperów. Godzinami przedzierali się przez groźny, czarny labirynt. Udało im się jednak stworzyć plan dużych fragmentów znajdującego się pod Kłodzkiem miasta. Teraz przyszedł czas na drugi etap. Należało opracować metodę, która pozwoliłaby utrzymać kłodzką starówkę. Tego niezwyklego zadania podjął się prof. Strzelecki, inżynier górniczy z fantazją artysty. Wraz ze swoimi współpracownikami stworzył kompleksową metodę ocalenia miasta.

Po latach, podczas otwarcia podziemnej trasy turystycznej, prof. towarzyszył Zbigniew Świąch, autor licznych książek historycznych. Tak opisywał pracę Zbigniewa Strzeleckiego: „Strzelecki dowiódł, że całe podłoże, mówiąc zaś językiem górniczym, «górotwór» żyje i «chodzi», zatem leczenie pojedynczych przypadków jest psu na buty, bo nie wytrzyma próby czasu, bo zabytkowe kamienice starych miast ratuje się nie na kilka lat, lecz na całe pokolenia. Zatem ważna jest góra, ale w procesie ratowniczym jeszcze ważniejszy dół i właśnie od niego na-

leży wszystko zaczynać, traktując podłoże całościowo, całkowicie więc trzeba je sprzągnąć, spiąć”.

Lata ciężkiej pracy, obfitującej nierzadko w dramatyczne momenty – w mieście ciągle waliły się domy – doprowadziły do uratowania Kłodzka. Górnicy zlikwidowali dziesiątki zapadlisk, wypełnili podsadzką podziemne korytarze. Gdyby nie ich praca, być może dzisiaj zamiast wśród urokliwych kamieniczek, spacerowalibyśmy pośród socrealistycznych bloków? Ale prof. Strzeleckiemu było jeszcze mało. Wpadł na pomysł, żeby część podziemi wyeksponować i stworzyć trasę turystyczną. W tym celu podziemiom należało nadać odpowiedni wygląd. Troszeczkę je podretuszować. I tak wyrobiska obudowane zostały cegłą i łamanym kamieniem, niektóre z przejść dostały portale z piaskowca, pojawiały się schodki, ładnie wyeksponowana została studnia i piec chlebowe.

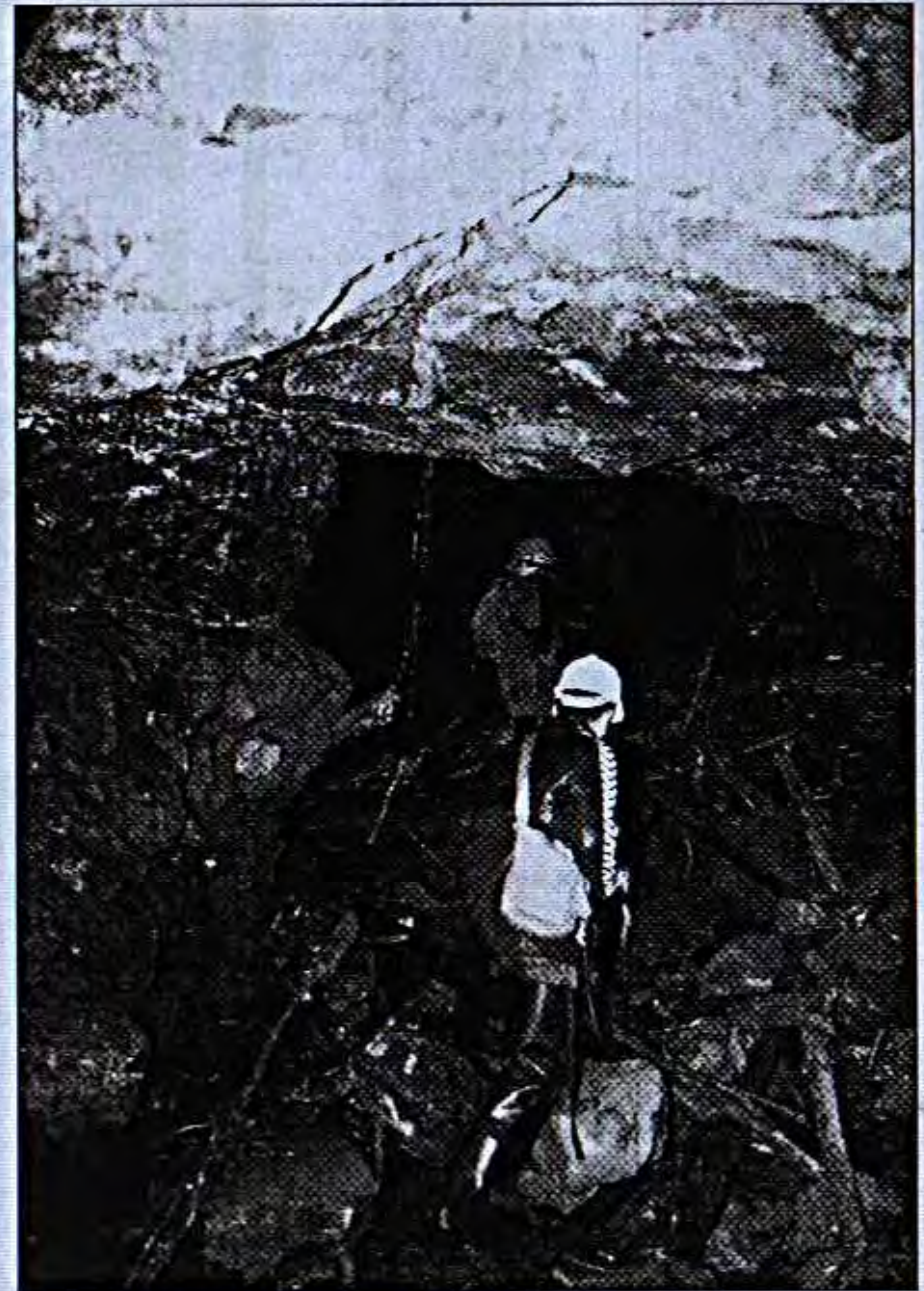
Uroczyste otwarcie pierwszej tego typu trasy w Polsce, nazwanej Trasą Tysiąclecia Państwa Polskiego, nastąpiło 4 grudnia 1976 roku, w Barbórkę. W podziemiach znalazły się liczne, przedziwne eksponaty. Halabardy, kule to jeszcze nic. W jednym z zakamarków stoją modele dwóch gilotyn, pruskiej i francuskiej. I mimo że podobno każdy jest równy w obliczu śmierci, tu się może dowiedzieć, pod którym nożem ginęło się łatwiej.

Troszkę to makabryczne, ale tak naprawdę kłodzkie podziemia mają w sobie coś... domowego. Może z powodu chlebowych pieców? Może dlatego, że w czasach bogatych kupców ich wielkość była oznaką dobrobytu, a może dlatego, że niekiedy mieszkali w nich ludzie.

Olbrzym śpiący pod skałami

*Hale jak wielkie grobowce * Schron czy laboratorium atomowe? * Radzieccy saperzy na Wielkiej Sowie * Najpiękniejsza kwatera Hitlera * Eksperymenty w starym zamku * UFO wylatuje ze sztolni * Zawalone ciężarówki * Kto grozi poszukiwaczom?*

W wejścia są wszędzie. Zupełnie nieoczekiwanie można się na nie natknąć podczas wyprawy do lasu, widać je też z drogi łączącej Walim z Rzeczką. Ciemne dziury nie zapowiadają nic dobrego. Jeszcze kilka lat temu sztolnie penetrowali tylko najbardziej zatwardziali poszukiwacze skarbów. Każdy, kto raz wdarł się do podziemi Gór Sowich, musiał przeżyć wstrząs. Wąskie, straszące stęchlizną i chłodem otwory prowadziły do labiryntu korytarzy i gigantycznych, wykutych w skale hal. Wyobraźcie sobie, że brodzicie po pas w wodzie. Ciemność rozświetla tylko latarka albo świeca. Nad głowami kilkadziesiąt ton ziemi i skały. Dookoła cisza. Kroki trzeba stawiać uważnie, bo przez zmaconą wodę nie widać pełnego desek i kamieni dna. Co chwilę po bokach pojawia się kolejny korytarz. I nagle wąska sztolnia przechodzi w ogromne, podziemne jezioro, nad którym zamiast nieba widać skałę. Tak wygląda wnętrze Włodarza, największego znanego kompleksu podziemi w Górach Sowich. Kiedy po pas w wodzie stałam pośrodku tej wielkiej hali, po raz setny zadałam sobie to samo pytanie, które od ponad 50 lat stawiają sobie bez przerwy eksploratorzy. W jakim celu drążono to podziemne miasto? Kilometry korytarzy, tysiące więźniów dzień w dzień wgryzających się w skalne zbocza, tysiące ofiar, budowa otoczona najściślejszą tajemnicą i gigantyczne nakłady. Jak wiel-



Włodarz – wejście do największego, niemal całkowicie zalanego podziemnego kompleksu w Górach Sowich

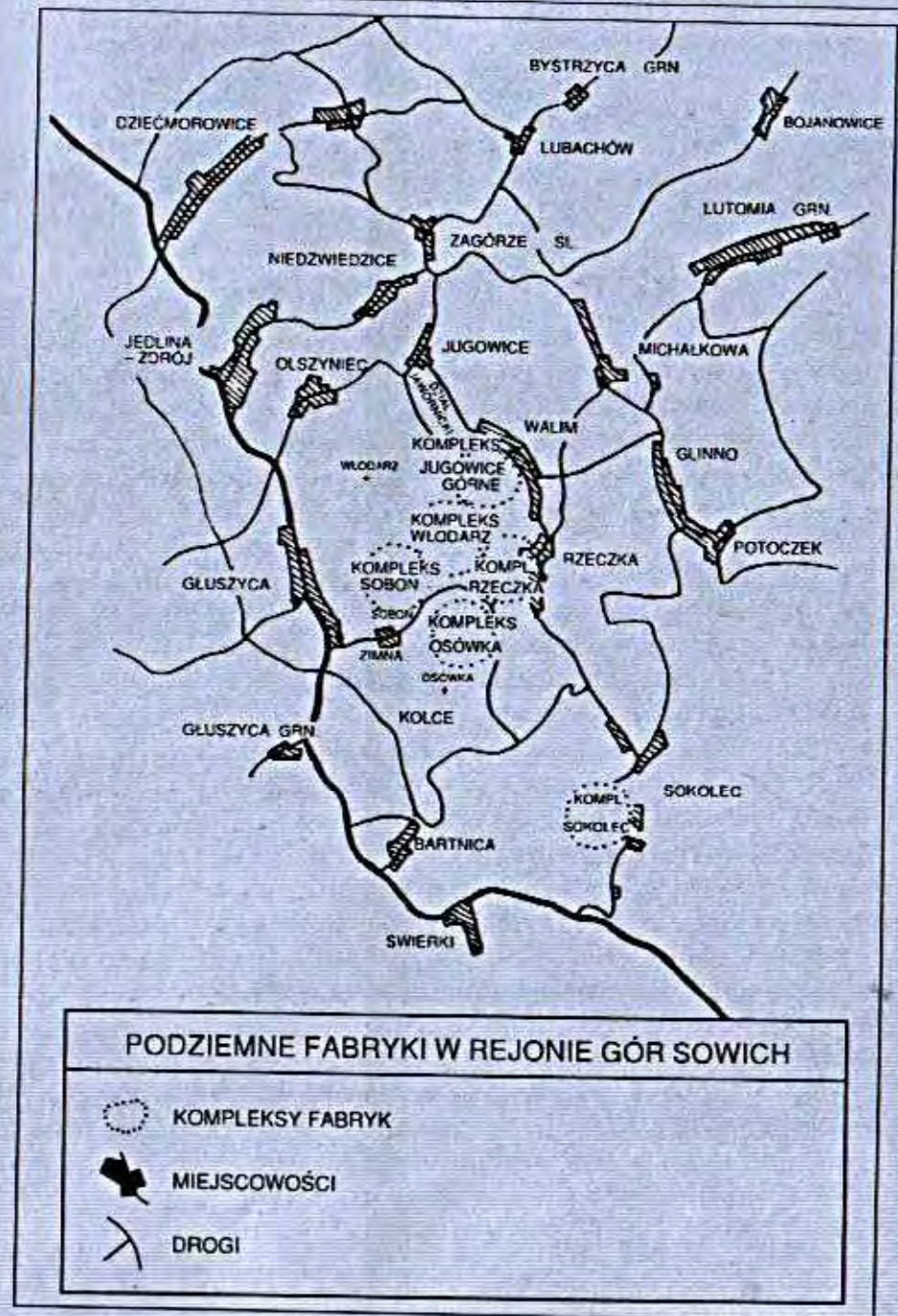
kie są w rzeczywistości podziemia, których budowa nosiła kryptonim „Riese”, czyli „Olbrzym”? Dlaczego po tym ogromnym przedsięwzięciu nie pozostał ani jeden dokument? Zagadka goni zagadkę. Tyle lat po wojnie właściwie nic nie wiemy o „Olbrzymie”.

Hale wielkie jak świątynie

„Riese” to zespół podziemnych kompleksów, z których dziś znamy 7. Największy z nich, częściowo zalany wydrążono we Włodarzu. Ma około 9000 m² powierzchni. Druga pod względem wielkości i najbardziej tajemnicza jest udostępniona do zwiedzania Osówka w Głuszycy. Kompleks Rzeczka w Walimiu również został adaptowany na trasę turystyczną. Pozostałe, nieco mniejsze podziemia znajdują w Soboniu, koło Jugowic i Sokolca. Również pod zamkiem Książ wydrążono dwa poziome chodniki. Zestawiona długość znanych sztolni wynosi prawie 9 km, powierzchnia 26 000 m², a objętość około 100 000 m³.

Obszar ten stanowi prawdopodobnie zaledwie jedną trzecią wydrążonych przez Niemców podziemi. Pozostałych hal należy szukać za licznymi, trudnymi do sforsowania zawałami. Niektóre kompleksy porzucono we wstępnej fazie budowy, w innych stan prac był już zaawansowany. Świadczą o tym obetonowane fragmenty hal i korytarze. Ich budowę rozpoczęto prawdopodobnie kilka lat przed rozpoczęciem II wojny światowej, jednak połowicznie znana nam historia zaczyna się dopiero w 1943 roku. Właśnie ten rok najczęściej podaje się jako datę rozpoczęcia budowy pod kryptonimem „Olbrzym”. Dlaczego?

18 sierpnia 1943 roku 600 bombowców Royal Air Force zbombardowało niemiecki ośrodek doświadczalny broni raketowej w Peenemünde na wyspie Uznam. Znajdował się tam także poligon samolotów bezpilotowych – bombowców latających V-1 oraz pocisków raketowych V-2. Kilka dni po nalocie Hitler zwołał u siebie naradę, wcześniej jednak zlecając przeniesienie produkcji broni specjalnych do podziemi. Rozpoczęto bezprecedensowy w historii program budowy kilkudziesięciu gigantycznych obiektów, drążonych we wnętrzu gór. Nad wszystkim czuwał Albert Speer, minister do spraw uzbrojenia i przemysłu wojennego III Rzeszy i pierwszy architekt kraju. O rozmachu prac mówią liczby. Jedna z podziemnych fabryk samolotów Junkersa miała korytarze i hale o łącznej powierzchni 700 000 m² i kubaturze 5 000 000 m³. Podziemna fabryka Messerschmitta w Bawarii umieszczona została w jednej podziemnej hali o długości 1 km, szerokości 100 m i wysokości 35 m.



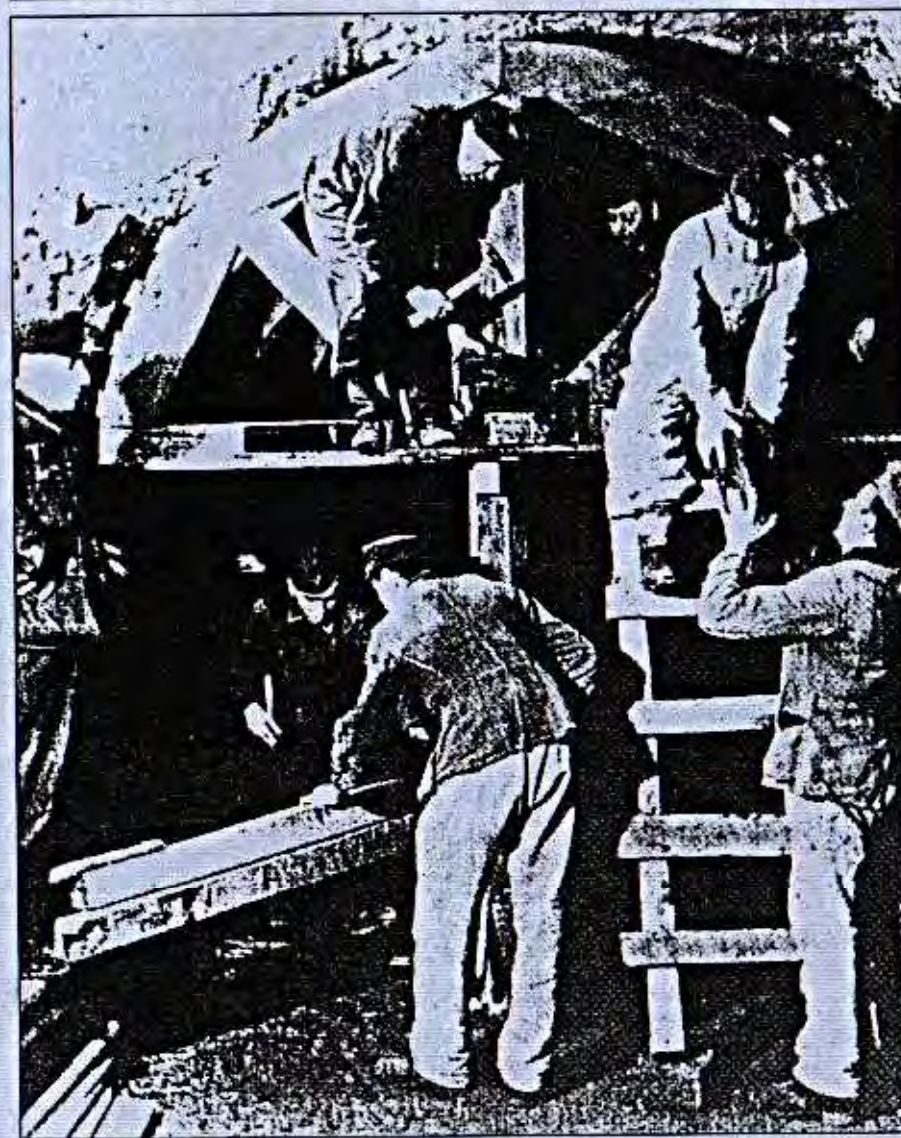
35 m to ponad 10 pięter! Przypuszcza się, że kiedy Hitler wydał rozkaz zejścia pod ziemię, po raz pierwszy pomyślano też o Górach Sowich.

Wkrótce rozpoczęto prace. Teren, który wybrano pod budowę, znajdował się poza zasięgiem lotnictwa aliantów. Komunikację ułatwiała gęsta sieć dróg. Sztolnie drążono na obszarze liczącym około 200 km². Początkowo prac podjęła się Śląska Wspólnota Przemysłowa S.A., z czasem jednak budowę przejęła Organizacja Todta. W sztolniach pracowali głównie więźniowie z obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Wnętrze gór drążono przez 24 godziny na dobę. W ciągu dnia posuwano się o około 2 m. Materiały budowlane robotnicy transportowali za pomocą podziemnej kolejki wąskotorowej. Ta sama kolejka wywoziła gruz i urobek. Zасыpywano nim prawdopodobnie okoliczne dolinki. To była mordercza praca. Wystarczy stanąć przed którąkolwiek ze sztolni i przywołać wspomnienia byłego więźnia Gross-Rosen, Czesława S. z Bytomia¹:

„W cieniu drzew stały potężne kompresory tłoczące powietrze do sztolni. Od nich, wzdłuż podziemnych korytarzy ciągnęły się długie rury. Hałas był okropny. Mimo że były to urządzenia ssące i tłoczące, kamienny pył wdierał się w gardło i do płuc wywołując paroksyzmy kaszlu. Niektóre podziemne korytarze zostały obudowane betonem, inne były z litego kamienia.

Były ogromne hale, z głównych korytarzy wychodziły boczne. Często u sufitu korytarza wiercono otwory, skąd prowadziły nowe korytarze, do których jedynym dostępem była drabina. Znam z autopsji dwa wypadki, kiedy wielka niczym świątynia hala zawałała się grzebiąc setki ludzi, nie tylko więźniów, ale i niemiecki nadzór. Wierciliśmy skałę ogromnymi świdrami, młotami pneumatycznymi, pod nadzorem włoskich strzelniczych. Trzeba było wyborować kilka otworów. Ładunki umieszczali Włosi. Po wybuchu przychodzili ładowacze, aby urobek załadować na lory. Nie było nigdzie taśmociągów. Najpierw stukali tykami w sklepienie, by strącić tam tkwiące póluzem kamieniska. Często ogromne głazy i cały wyrębany wybuchem przodek zawałał ładowaczy. Po pracy człowiek wychodził jak pijany. Jeszcze kilka godzin potem czuć było wibracje. Codziennie nieśliśmy jednego lub kilku nieżywych więźniów do obozu, bo zasłabli przy pracy i już nie mogli się podnieść, i tak umarli...”

¹ Relację Czesława S. podaję za Dariuszem Królem, autorem filmu o Górach Sowich.



Wnętrze gór drążono przez 24 godziny na dobę. W ciągu dnia posuwano się o około 2 m

Więźniowie ginęli jeden za drugim. Wyczerpanie, mordercza praca, w końcu epidemia tyfusu plamistego dziesiątkowały szeregi robotników. Głodowe racje jedzenia nie były w stanie regenerować sił. Początkowo rozdzielano na jedną osobę litr zupy, pół kilograma chleba, 5 dkg kieł-

basy i 3 dkg margaryny. Z czasem i te porcje uległy zmniejszeniu. Tygodniowo umierało do 60 więźniów. Na terenie Gór Sowich funkcjonowało ponad 20 obozów. Przebywało w nich prawie 40 000 ludzi. Ale o tym, co dzieje się w Górach Sowich nie wiedział praktycznie nikt. Całe przedsięwzięcie utrzymywano w największej tajemnicy. Od pierwszych dni budowy w okolicy wprowadzono ostry reżim. Strażnicy na oddalonych od siebie o 50 m posterunkach pilnowali, aby nikt niepowołany nie przedostał się na teren prac. Nawet najbliższym krewnym nie wolno było odwiedzać rodzin mieszkających w zakazanej strefie. Strażnicy mieli rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do zbyt ciekawskich. Grupy, w których pracowali więźniowie, nosiły podwójne nazwy. Poszczególne komanda nie mogły się z sobą kontaktować, ani w trakcie pracy, ani podczas późniejszego „odpoczynku”. Niewielu było również Niemców wtajemniczonych w cały projekt.

Prace kontynuowano do pierwszych dni maja 1945 roku, kiedy wojna była już dla Rzeszy przegrana. Co mogło być tak ważnego, aby bez względu na bieg historii nie przerywać tej makabrycznej budowy? Na co liczyli Niemcy? Musieli sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji, już w styczniu bowiem rozpoczęli ewakuację. Dzień i noc wywożono maszyny i części do samolotów. Maskowano wejścia do sztolni.

Henryk Hala wspomina: „Przed ewakuacją grupa ludzi, więźniów, między którymi znajdowałem się i ja, wierciła naokoło wejść do pieczar otwory w skałach. Otwory te wiercone były przy 3 wejściach do pieczar znajdujących się z przeciwnej strony góry licząc w kierunku Głuszycy. Koło każdego z tych wejść wywiercono około 12 głębokich otworów. Inna grupa rozmontowywała w tym czasie maszyny i urządzenia do pracy i ścigała je do jednego z wykutych we wnętrzu góry lochów. Ładowano tam też resztę nieużytych materiałów budowlanych. Orientowałem się, że prace te prowadzi się po to, by wejście i te lochy wysadzić w powietrze...”

Podziemne miasto hitlerowców

Jako pierwsi po wojnie do podziemi weszli Rosjanie. Ich wojska zajęły te tereny około 8-10 maja 1945. Żołnierze zastali porzucane wszędzie maszyny i elementy budowlane. Jak twierdzi Jerzy Cera, najwybitniejszy chyba znawca tajemnic Gór Sowich, „wtedy też okazało się, że rejon tych prac utrzymywanych w ścisłej tajemnicy był w centrum zainteresowania wywiadu radzieckiego. Do dnia dzisiejszego mi-



Sztolnie podziemnych fabryk Niemcy porzucili w różnych stadiach budowy

mo licznych śladów pobytu i zainteresowania Rosjan (w 1964 roku na Wielkiej Sowie stacjonował batalion saperów radzieckich!) kompleksem «Riese», oficjalnie nikt się na ten temat nie wypowiedział [...]. Ślady wskazują na przejęcie dokumentacji przez Armię Radziecką. Wszelkie jednak oficjalne zapytania były zbywane twierdzeniem, że nic nam na ten temat nie wiadomo. Plany kompleksu «Riese» muszą się znajdować ukryte gdzieś jeszcze. Mam wrażenie, że do dnia dzisiejszego to, co mieliśmy według założeń odnaleźć, zostało odnalezione. Niemcy liczyli się z tym, że tajemnicy nie uda utrzymać się do końca. Więc celowo pozostawili nie zamaskowane obiekty lub tylko częściowo wysadzone, abyśmy sądzili, że tyle tylko udało im się zrobić... Istnieje duże prawdopodobieństwo, że obecnie dostępne podziemia zostały wykonane w ostatniej fazie wojny, a właściwe – wykonane wcześniej – zostały starannie zamaskowane.²

Tajemnicze sztolnie fascynowały wszystkich, którzy przybywali w rejon Gór Sowich. Fascynacja miała też wymiar praktyczny, zabierano stąd bowiem materiały budowlane. „Stosy cegieł, góry piasku, setki najrozmaitszych maszyn, dźwigów i wagonów kolejki wąskotorowej świadczą najlepiej o ogromie zamierzonej budowli – tak opisywał okolicę dwa lata po wojnie dziennikarz «Słowa Polskiego»³. – Widać olbrzymie bunkry, stosy żelaznych konstrukcji, betoniarki, pogłębiarki, potężne kolejowe trawersy. Spoza gęstwiny dziwnie żółtej trawy wybiegają ze szczytu wzgórza równoległe do świerków leśnych stalowe pręty. Jest ich całe mnóstwo. Wyrastają one jak drzewa z betonowej podstawy bunkrów, które rozsiadły się na wierzchołku wzgórza. Setki ram okiennych wala się po kątach. Parę metrów niżej szyny wąskotorowej kolejki. Rzędem stojące baraki próchnieją niekonserwowane. Na miejscu zostało jeszcze 10 milionów papierowych worków cementu po 50 kg. Nie jest to jeszcze koniec. Dowiadujemy się, że zabrano stąd już 100 wagonów po 15 ton cementu każdy. Wydaje się na pozór, że terenów tych nie dotknęła ludzka ręka. Za sobą zostawiliśmy las stalowych prętów. Pomi-

² Opinię tę cytuję za książką Jerzego Cery *Tajemnice Gór Sowich* wydaną w 1999 roku.

³ Cykl pod wspólnym tytułem „Podziemne miasto hitlerowców?” Zbigniewa Mośsingiewicza ukazał się w „Słowie Polskim” w październiku 1947 roku. Były to prawdopodobnie pierwsze w polskiej prasie publikacje na temat „Riese”. Cały cykl przedrukowałam w wydanej w 1995 roku książce *Tajemnice ukrytych skarbów*, w rozdziale „Kryptonim Olbrzym”.

mo jesieni trawa jest wysoka i nie wiadomo, co się w niej kryje. Chodzenie po tych terenach połączone jest z pewnym ryzykiem. Dlatego czujemy się nieszczególnie. [...] Cienkie druty z nawieszonymi na nie sztucznymi liśćmi doskonale maskują złożony na ziemi żelbeton. Na terenach, które zwiedzamy, a które ciągną się na przestrzeni prawie trzydziestu kilometrów – jest tego dwieście ton. Żelazo, które widzimy, jest tylko częścią materiałów potrzebnych do budowy podziemnego miasta, budowy zwanej „Akcją Adolfa”. Trzysta ton żelaza trafiło już na właściwe miejsce. Odjechało do Warszawy. Mamy nadzieję, że i pozostałe 200 ton będzie należycie użyte. Każdy krok przynosi nam nowe odkrycia. Olbrzymie trawersy kolejowe o wadze 3,5 tony, przydałyby się na mosty w wielu miejscowościach”.

Dziennikarz wspomina również o „szóstu wspaniałych motorach Diesla”, które znaleziono w podziemiach Osówki. Nigdy się nie dowiemy, co i w jakiej ilości wywieźli z Gór Sowich Rosjanie i ile materiałów budowlanych zginęło później pod pretekstem „wyjazdu do Warszawy”. Ale nawet penetracje połączone z szabrem rozbudzały wyobraźnię. Pytanie o cel gigantycznej budowy zostało po raz pierwszy postawione właśnie w czasie, kiedy z podziemi wrywano wszystko, co mogło się przydać w powojennych czasach. Przygoda z tajemnicą, która wtedy, w okresie nieufności miała zupełnie inny wymiar zaczęła się od pewnej propozycji. Złożył ją inżynier Anthon Dolmuss, postać niezwykle barwna, ale i zagadkowa. Zaraz po wojnie Dolmuss zaproponował bowiem polskim władzom sprzedaż planów budowy wszystkich kompleksów „Olbrzyma”.

Kwatera główna czy laboratorium atomowe?

Propozycja inżyniera wyglądała na poważną. Anthon Dolmuss był głównym energetykiem budowy, musiał więc wiedzieć wiele. Swoją ofertę wycenił na półtora miliona złotych, ale była to suma, na którą nikt nie chciał się zgodzić. Informacji więc nie kupiono, mimo że mogłyby wiele wyjaśnić. Już wtedy zaczęły pojawiać się trzy teorie dotyczące przeznaczenia podziemnego miasta. Pierwsza, oparta na wspomnieniach Alberta Speera, ministra do spraw uzbrojenia i przemysłu wojennego III Rzeszy, mówiła, że w Górach Sowich miała powstać kwatera Hitlera. Według innej teorii podziemia przeznaczano na zakłady zbrojeniowe, przeniesione tu częściowo ze zbombardowanego ośrodka doświadczalnego w Peenemünde. Po cichu też wspomniano o trzeciej

możliwości. O tym, że pod górami tworzono laboratorium atomowe. Możliwość tę w pewien sposób podsunął sam Anthon Dolmuss. Inżynier bowiem, jak gdyby nigdy nic, został po wojnie na Dolnym Śląsku i nawet całkiem chętnie udzielał wywiadów. W 1947 roku oprowadzał po podziemiach „Riese” Zbigniewa Mosingiewicza, dziennikarza „Słowa Polskiego”.

W czasie opisanego w kilku artykułach „spaceru” Dolmuss utrzymywał, że w Górach miała się mieścić kwatera Hitlera. Opowiadał nawet, że „od strony Modrzewka planowano wejście do kwatery głównej Hitlera, od Chałup – dla Goebbelsa i jego sztabu, z Walimia zaś do sztabu Wermachtu”. Dziennikarz natomiast, być może szukając sensacji, dopypywał się o zupełnie inną rzecz: czy plotki mieszkańców na temat mającego tu powstać atomowego, podziemnego miasteczka odpowiadały prawdzie?

Z relacji prasowej wynika, że Dolmuss zareagował dość gwałtownie na to pytanie, zaczął nawet wykonywać nieco teatralne gesty:

„Czerwona twarz Dolmussa robi się miejscami blada, a szare stalowe oczy przykrywają się powiekami – pisze Mosingiewicz – Łapie się za twarz nerwowym ruchem, jakby chciał odepchnąć nasze pytanie i dopiero po dobrej chwili zaczyna mówić.

– Nie to nie jest prawda – waży starannie każde słowo. Plany podziemnego miasta widziałem w głównym biurze Organisation Todt w Berlinie i mogę na to przysięgać.

[...] Zapytujemy inż. Dolmussa, do jakich jeszcze celów przygotowywano 100 inżynierów i 50 000 robotników. Tłumaczy nam: W czasie wojny atomowej ta ilość inżynierów i robotników byłaby jedynie drobnostką.

Na nasze pytanie, co wie o energii atomowej, odpowiada, że atomy interesują go nie od dzisiaj i wiele wie, o ich zastosowaniu... Nagle jednak milknie, a my nie ponawiamy pytań”.

Jak już wspominałam, Anthon Dolmuss to postać niezwykła. O jej znaczenie w powojennej historii „Olbrzyma” do dzisiaj klóć się wszyscy badacze tej tematyki. Dolmuss urodził się w 1895 roku w Wiedniu. W czasie wojny major Wermachtu, pracował przy wznoszeniu sławnego Wilczego Szańca, kwatery Hitlera w Kętrzynie. Wcześniej wyspecjalizował się w budowaniu fortyfikacji na linii Zygryda i wyrzutni rakietowych na wybrzeżu Francji. Po wojnie pomagał polskim władzom przy wywożeniu pozostałego po budowie sprzętu. Nieoczekiwanie zniknął

w 1953 roku. Wcześniej wyprzedził cały majątek, stąd wniosek, że musiał wyjechać, i to być może z własnej woli...

„Nie wiadomo, jakim cudem został tak długo w tych okolicach – zastanawia się Jerzy Cera, badacz tajemnic Gór Sowich – Dolmuss swobodnie poruszał się po okolicy. W jego wędrówkach po górach towarzyszył mu szesnastoletni chłopiec, z którym później rozmawiałem. Chłopiec, już jako dorosły mężczyzna, wspominał, że Dolmuss go zawsze ostrzegał, żeby nie wchodził do Kasyna, naziemnej części kompleksu wydrążonego w Osówce. Mówił, że tam w środku można wlecieć, albo wylecieć. Chłopiec nie pamięta dokładnie jakiego określenia użył inżynier.”

Te wspomnienia mogą oznaczać tylko jedno, że Dolmuss bardzo dobrze znał okolicę. Potwierdzają to też wspomnienia inżyniera Ireneusza Gisgesa⁴:

„Mój informator był bardzo powściągliwy. Dowiedziałem się tylko, że obiekt miał służyć jako schron dla sztabu niemieckiego i żołnierzy w ilości około 40 000 ludzi. Sądząc z niektórych, niewykończonych jeszcze pomieszczeń, wydawało się, że inżynier istotnie mówi prawdę. Np. były urządzenia do nawiewu powietrza i usuwania zużytego, kanały na kable energetyczne itp. Zużyto tam około 400 km najrozmaitszych przewodów elektrycznych oraz kilometry różnych kabli, co zgłosiłem w Przedsiębiorstwie Poszukiwań Terenowych we Wrocławiu. W dalszym ciągu mój przewodnik poinformował mnie, że miał tu być wykonany przekop na stronę czechosłowacką i że to, co zdążyli Niemcy zrobić zajęło, 6 miesięcy. Na szczycie góry, pod gołym niebem składowano podobno około miliona worków cementu. W innym miejscu było około 700 000 worków, była nawet nietknięta komora gazowa, opodal drogi wyłożone kostką i gdzieś tam kraty kanalizacyjne”.

Dolmuss wiedział dużo. Szczególnie intrygująca wydaje się tu informacja o tunelu na czeską stronę. Do tego wątku jeszcze wrócimy, wiążę się bowiem z opowieściami o ukrytych w Górach Sowich skarbach, na razie pozostanmy przy teoriach dotyczących przeznaczenia podziemnych obiektów. Najślawniejsza z nich, kolportowana także przez Dolmussa, mówi o kwaterze Hitlera.

„W 1944 roku Hitler kazał nakładem setek niezastąpionych specjalistów górników i tysięcy robotników przymusowych wydrążyć w górach

⁴ Wypowiedź inż. I. Gisgesa cytuję za artykułem *Tajemnice Gór Sowich* J. Trette-
ra, który ukazał się w „Ekspressie Reporterów”, wydanym przez KAW w 1979 roku.

dwie podziemne kwatery główne na Śląsku i w Turyngii. Według punktu osiemnastego protokołu Führera ds. Wermachtu z dnia 20 czerwca 1944 roku przedstawiłem Führerowi, że obecnie przy rozbudowie kwater głównych zatrudnionych jest 28 000 robotników [...]. Na budowę bunkrów w Kętrzynie wydano 36 milionów, na kompleks bunkrów «Riese» [«Olbrzym»] koło Jedliny Zdroju 150 milionów marek [!]. Na to przedsięwzięcie budowlane potrzebne było 237 000 m³ żelbetonu, 213 000 m³ sztolni, 58 km dróg z sześcioma mostami i 100 km rurociągów. Sam «Riese» pochłonął więcej betonu niż w całym 1944 roku można go było podzielić dla całej ludności na budowę schronów przeciwlotniczych” – to fragment *Wspomnień* Alberta Speera, ministra do spraw uzbrojenia i przemysłu wojennego III Rzeszy.

Mieszkający w Niemczech polscy badacze, Dariusz Garba i Piotr Kruszyński, bazując na materiałach znajdujących się w Archiwum Federalnym w Koblencji podtrzymują teorię o kwaterze dla dowództwa III Rzeszy. W amerykańskich materiałach Pentagonu „Riese” jest wymieniane jako kwatera Hitlera z dużym znakiem zapytania. Ale czy Hitler potrzebował tak wielkiej, podziemnej kwatery, której budowa – na dodatek – tyle kosztowała?

– W Niemczech oraz w Polsce funkcjonuje wersja kolportowana przez różnych ludzi, jakoby owe podziemne obiekty w rejonie Walimia, Jugowic, Sierpnicy, Osówki, Kolec, tunele i hale różnych wymiarów przeznaczone były na siedzibę Adolfa Hitlera bądź na pomieszczenia niemieckiej armii – twierdzi dr Jacek Wilczur, były członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich i prezes Towarzystwa Poszukiwaczy Zabytków – Ale większość liczonych w kilometrach chodników podziemnych, hal typowo produkcyjnych, a nie konferencyjnych, konstrukcja i technika ich budowy, położenie w terenie, blisko źródeł wody i minerałów, bliskość kopalń węgla i hut, oraz węzłów kolejowych, komunikacji podziemnej, pozwalają przyjąć, że podziemne obiekty w Górach Sowich stanowiły miały w zamysłach i planach III Rzeszy, decydentów w zakresie polityki zbrojeniowej – gigantyczny koncern obejmujący cały Dolny Śląsk. Miała to być największa ze znanych we współczesnym świecie zbrojownia i arsenał III Rzeszy.

Jak to brzmi: największa na świecie zbrojownia. I tu pojawia się kolejne pytanie. Jeżeli rzeczywiście – a jest to najpopularniejsza w tej chwili teoria – pod Górami Swoimi miały powstać ogromne zakłady zbrojeniowe, to co w nich zamierzano produkować bądź już produkowa-

wano? Czy tylko osławione V-1 i V-2, czy coś więcej? Jak daleko Niemcy posunęli się w eksperymentach z bronią jądrową? Aby spróbować odpowiedzieć na te pytania musimy przenieść się na chwilę do oddalonego o kilkanaście kilometrów od podziemi Gór Sowich zamku Książ⁵. To jeden z najpiękniejszych polskich zabytków. Do II wojny światowej należał do Hochbergów, potężnego pruskiego rodu. Jego losy w dość swobodny sposób przedstawił Filip Bajon w filmie *Magnat* – Bogusław Linda zagrał tam Bolka, jednego z trzech synów ostatniej właścicielki rezydencji Daisy of Pless. Wypełniony po brzegi dziełami sztuki zamek przejął w 1941 roku władze Rzeszy. Rezydencję otoczono zaskiekami z drutu, ustawiono warty i rozpoczęto przebudowę. Usuwano obrazy, przemalowywano ściany, odkuwano freski. Trzydziestu pięciu architektów wprowadzało zmiany według zasad „nowej sztuki” obowiązującej w Niemczech. Z nielicznych zachowanych dokumentów wiemy, że w Książu powstawała kwatera dla Adolfa Hitlera. Według głównego raportu o stanie kwater głównych Hitlera z połowy 1944 roku wiemy, że Książ miał być gotowy do zakwaterowania w grudniu 1944 roku. Z raportu wynika także, że zamierzano zainstalować tu centralę telekomunikacyjną. Miała ona posiadać lampowe łącznice z 300 liniami i 100 numerami kierunkowymi oraz dalekopis z 30 liniami. Dla specjalnych pociągów Hitlera przygotowano odporny na bomby schron w tunelu koło Jedliny Zdroju. Niektórzy badacze tematu twierdzą nawet, że zamek miał być połączony podziemnym tunelem z wyrobiskami w Górach Sowich. Może to oznaczać, że Niemcy zamierzali wykorzystać cały kompleks w podwójnym celu. W zamku rezydowałoby dowództwo III Rzeszy, natomiast sztolnie „Riese” służyłyby więc do produkcji zbrojeniowej. Nikolaus von Below, adiutant Hitlera wspomina:

„W planie, który w tych miesiącach wciąż krytykowaliśmy, była budowa wielkiej nowej Kwatery Głównej Führera na Śląsku w rejonie Waldenburga [Walbrzycha], w skład której miały wchodzić także zamek Fürstenstein [Książ] w posiadłości książąt Pless. Hitler bronił swego po-

⁵ Dzieje zamku Książ pod Walbrzychem dokładnie opisałam w książce *Tajemnice, zamki, podziemia. Przewodnik, jakiego nie było* w rozdziale „Burzliwy żywot Białej Damy”, natomiast wojenną historię tego zabytku przedstawiłam w wydanych trzy lata wcześniej *Tajemnicach ukrytych skarbów* w rozdziale „Najpiękniejsza kwatera Hitlera?”. Jeżeli dotarliście już w Góry Sowie, koniecznie zajrzyjcie do Książa, nie tylko ze względu na jego podziemia, Zamek udostępniony jest do zwiedzania, a widoki z tarasów i z wieży zapierają dech w piersiach.

lecenia i kazał ją budować dalej przez więźniów z kacetów pod zarządem Speera. W ciągu roku dwa razy odwiedziłem ten obiekt i za każdym razem miałem nieprzeparte wrażenie, że ukończenia tej budowy nie doczekam”⁶.

Wspominany już Czesław B. z Bytomia, pracujący przy rozbudowie „Olbrzyma”, dodaje:

– SS-mani pokazywali zbocza gór w kierunku północno-zachodnim i mówili, że za tymi górami jest Waldenburg, a za nimi potężny zamek, w którym mieści się ich komenda. Mówili, że od zamku tego do naszych sztolni prowadzi betonowy tunel, którym jeździ kolejka z wagonikami. Tą kolejką ich szefowie przyjeżdżali na inspekcję. Wydawało nam się to mało prawdopodobne, bo wskazane zbocza górskie były dość daleko. Ale SS-mani mówili, że do Wałbrzycha tylko drogami i koleją jest daleko, a tunelem zaledwie kilkanaście kilometrów.

Dzwon – cudowna broń faszystów

Czy ten tunel rzeczywiście istniał? Jerzy Cera twierdzi, że jest to teoretycznie możliwe. Tadeusz Słowikowski, badacz tajemnic zamku i jego wieloletni pracownik, jest przekonany, że Niemcy mieli zamiar połączyć drążone w okolicach Walimia bunkry z Książem, ale nie zdążyli tego zrobić. Wszystko wskazuje więc na to, że zamek i podziemia „Olbrzyma” to jeden organizm. Jeżeli przyjmujemy taką możliwość, pozostaje jeszcze kwestia podziemnej produkcji.

Igor Witkowski, autor drobiazgowej pracy *Supertajne bronie Hitlera* uważa, że oprócz samego zamku i kompleksu „Riese” nabagatelną rolę w całej sprawie odgrywa tzw. Stary Książ, ruiny, które od zamku oddziela dolina Pelcznicy. Zimą ruiny świetnie widać z okien rezydencji. Zdaniem Igora Witkowskiego podziemia służyć mogły służyć produkcji bardzo zaawansowanych broni odwetowych, tutaj nawet Niemcy mieli realizować supertajny projekt o nazwie „Chronos”. W ramach tego projektu skonstruowano niemal kosmiczne urządzenie – Die Glocke, czyli „dzwon”. Był to ponad 2-metrowy, zwieńczony kopułą cylinder. Podczas doświadczeń emitował silne promieniowanie, które skażało teren, zabijało żywe organizmy, powodowało koagulację próbek krwi i odbarwienia różnych materiałów. Zdaniem Igora Witkowskiego urządzenie to

⁶ Te wspomnienia pochodzą z książki Nikolausa von Belowa *Byłem adiutantem Hitlera 1937-1945* wydanej przez MON, Warszawa 1990.

mogło być generatorem elektrowitacyjnym i mogło stanowić napęd jakiegoś eksperymentalnego obiektu. Oddajmy głos autorowi *Supertajnych broni Hitlera*:

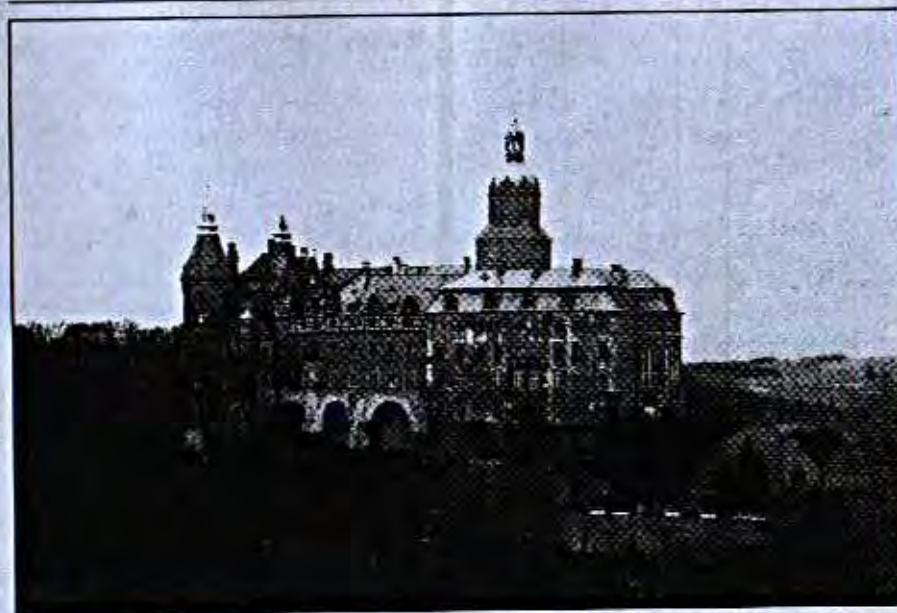
„Die Glocke – dzwon, bo taki nadano mu kryptonim, generował jakąś tajemniczą energię, po jego uruchomieniu strzelały żarówki znajdujące się w promieniu 70 m. Pomimo nieprzeźroczystej, ceramicznej obudowy emitował wyraźną niebieskawą poświatę. Sceny opisywane przez przesłuchiwaną jako żywo przypominają końcówkę sekwencji ze znanego filmu Spielberga *Poszukiwacze zaginionej arki*. Określenie «Wunderwaffe» (cudowna broń) aż się narzucało [...]. Prace prowadzono na terenie kompleksu «Riese», a konkretnie w podziemiach «starego zamku» – Fürsten w Książu koło Wałbrzycha. Realizowała je wąska grupa naukowców i techników przy «pomocy» więźniów obozu Gross-Rosen. Były to tereny przez długi czas bezpieczne (praktycznie aż do radzieckiej ofensywy styczniowej w 1945 roku), rdzennie niemieckie. Samo miejsce prac było ukryte przed rozpoznaniem lotniczym, otoczone trzema całkowicie szczelnymi pierścieniami najwewnętrznych żołnierzy SS oraz książęcym jeszcze ogrodzeniem o długości 28 km. Za jakiegokolwiek kontakty z osobami trzecimi groziła kara śmierci. Stosowano personalia operacyjne – fałszywe nazwiska, zgodnie z przyjętą w «Riese» praktyką utajnione były nawet stopnie wojskowe. SS-mani pierwszego pierścienia selekcyjonowani byli z krajów nadbałtyckich – nie znali niemieckiego, co jeszcze bardziej minimalizowało ryzyko przecieków.

Oczywiście nie było to jedyne miejsce prowadzenia prac w tej dziedzinie, jednak dla nas jest o tyle istotne, że częściowo przynajmniej wyjaśnia tajemnicę przeznaczenia tego gigantycznego podziemnego kompleksu. Jeszcze bardziej istotne jest, że chodzi o jedyny przypadek bezpośredniego związku pomiędzy niemieckimi dyskoidalnymi obiektami latającymi a jakąś konkretną, dużą instalacją podziemną [...]. Jeden z oryginalnych planów ujawnionych przez badaczy niemieckich jasno pokazuje, że wielka baza tych obiektów miała zostać zbudowana... głęboko pod ziemią, w górach. Wielką zaletą był brak konieczności budowania pasów startowych. Przewidywano, że start będzie następował bezpośrednio spod ziemi – przez wyloty sztolni lub specjalne pionowe szyby o dużym przekroju. I do tej roli «Riese» jest doskonałym i praktycznie jedynym kandydatem. Są tu przecież wykute w twardej skale hale o rozmiarach czterokondygnacyjnych budynków [...].

Dokumenty nie pozostawiają wątpliwości, co do tego, że chodziło o zbudowanie ziemskich wersji obserwowanych od najdawniejszych czasów dyskoidalnych UFO [...]. Kolejna interesująca zbieżność to powiązanie w «Riese» prac nad napędem elektrograwitacyjnym z pracami nad reaktorem jądrowym. Nie można wykluczyć, że napęd jądrowy przewidziany był właśnie dla tych latających dysków [...]. Na wagę rejonu Sudetów dla produkcji broni odwetowych wskazuje fakt ulokowania tutaj dwóch bardzo ważnych centrów dowódczych: ośrodka planowania działań strategicznych w rejonie Liberca i Jablonca oraz dużego centrum sztabowego w zamku Książ i pod nim (prawdopodobnie wraz z kwaterą Hitlera) mającego stanowić integralną część kompleksu «Riese», którą miano połączyć z jego częścią zasadniczą 15-kilometrowej długości koleją podziemną budowaną przez zmobilizowanych do tego zadania specjalistów z berlińskiego metra."

Brzmi to fantastycznie, jednakże zarówno w książce Igora Witkowskiego, jak i w zachodnich publikacjach pojawiają się dokumentalne zdjęcia startujących pionowo obiektów, które wyglądają dokładnie tak, jak UFO. Niektórzy autorzy nawet sugerują, że Niemcy korzystali z technologii pochodzących z ...innych wymiarów. Pojawiają się też opinie, że części do latających spodków, jak i całą dokumentację, Niemcy wywieźli po przegranej wojnie do Argentyny... Z drugiej zaś strony istnieją dokumenty, z których wynika, że niemieckie UFO nigdy nie istniało. My wróćmy jednak na Dolny Śląsk i na ziemię, a właściwie pod nią. Pora oddać głos jeszcze jednemu fachowcowi, wspomnianemu już przeze mnie Jerzemu Cerze. Jurek jako jeden z pierwszych zajął się na poważnie Górami Sowimi. Na początku lat siedemdziesiątych zorganizował ekspedycję w podziemia „Olbrzyma”. Mierzył, badał, rozmawiał z dziesiątkami świadków. Do dziś nie zrezygnował ze śledzenia tajemnic porzuconych podziemi. Nieustannie zaskakuje wszystkich nowymi odkryciami.

– Dziwną rzeczą jest, że do dzisiaj nie wypłynęły żadne dokumenty dotyczące budowy. Ponieważ założenie jest ogromne, to i dokumentacji musiało być bardzo dużo – uważa Jerzy Cera – Każdy majster musiał mieć swój kawałek mapy. Tymczasem wszystko, absolutnie wszystko wyparowało. Wydaje mi się, że sporo racji ma Mieczysław Mołdawa, były więzień Gross-Rosen. Pan Mołdawa, który z racji inżynierskiego wykształcenia – architekt i chemik – miał w obozie dostęp do części dokumentacji projektowej kompleksu „Riese” twierdzi, że Niemcy pra-



Zamek Książ, który jak twierdzą niektórzy badacze połączony jest podziemnym tunelem z Górami Sowimi



Podziemne Miasto Osówka. To tutaj eksploratorzy trafili na początku 2000 roku na nieznane jeszcze hale

cowali nad specjalnymi broniąmi elektronicznymi wysokiej częstotliwości, oscylatorami oraz podzespołami do raket, a zwłaszcza elektronicznego systemu naprowadzania. Mieczysław Moldawa pracował przy części dokumentów dotyczących „Riese”, widział je. Myślę więc, że zostały skrzętnie schowane. Jestem przekonany, że w Górach Sowich zamierzano robić głowice do V-2, być może znajdują się tutaj laboratoria? Umieszczenie tego kompleksu w Górach Sowich nie było przypadkowe. To góry położone na uboczu, stare, pozbawione ruchów tektonicznych, a więc bezpieczne. Poza tym kilka metrów stąd była kopalnia uranu. W dokumentach przeczytałem, że w czasie wojny w jednej z kopalń walbrzyskich zbudowano stos atomowy. Mało kto o tym wie. Postawiłem sobie pytanie: kim był niemiecki żołnierz? Czy to człowiek szalony, czy też metodyczny? Program „V” był dla mnie od początku zagadką. V-1 – latająca bomba nie była celna, V-2 – zbyt duże koszty produkcji. Program broni raketowych był więc nielogiczny. Z drugiej jednak strony, jeśli Niemcy zakładali, że będzie to inny środek rażenia, to zmienia to postać rzeczy. Wyobraźmy sobie, że Niemcy wysyłają w 1944 czy 1945 roku dwie V-2 z bronią atomową na Anglię czy Stany Zjednoczone. A na to właśnie mógł liczyć Hitler.

Anonimy i brakujące hale

Kwatera Hitlera, zakłady zbrojeniowe, produkcja broni elektronicznej bądź jądrowej, poligon doświadczalny dla niemieckich UFO? Czy kiedykolwiek uda się rozwiązać tę zagadkę? Być może odpowiedź kryje się za zwałami, na które co chwila natrafiamy w sztolniach. Do tej pory poznaliśmy podziemia, których łączna kubatura waha się w okolicach 100 000 m³. Tymczasem ze wspomnień Speera wynika, że do września 1944 roku wykonano 213 000 m³ podziemnych chodników. Nawet, gdyby Niemcy zakończyli prace pod koniec 1944 roku, to brakuje połowy podziemi. A prace były przecież kontynuowane do ostatnich dni wojny, czyli jeszcze 7 miesięcy. Jaką części podziemi w takim razie znamy? Prawdopodobnie zaledwie jedną trzecią. Ale i co do tego nie ma pewności. Jeżeli prawdą są relacje o przejściu na czeską stronę, o tunelu pomiędzy Walimiami a Książem, to przecież ktoś na nie w końcu trafi. Co jakiś czas eksploratorzy docierają do nowych podziemi – okazało się na przykład, że również pod szczytem Wielkiej Sowy znajduje się sztolnia. Największym zainteresowaniem cieszy się jednak kompleks w Osówce. Wszyscy badacze poświęcają mu najwięcej czasu. Do współpracy za-

praszają nawet różdkarzy, licząc, że niekonwencjonalne metody pozwolą na wyrwanie gór, chociaż skrawka tajemnicy.

– Badaliśmy naziemną część Osówki, różni różdkarze zgodnie stwierdzili, że wyczuwają tu śmierć – mówi Jacek Duszczyk z Głuszyckiego Towarzystwa Poszukiwaczy i Eksploracji – Natomiast jeden z mieszkańców Głuszycy opowiadał mi, że w podziemiach widział ogromny wodospad. Relację o wodospadzie potwierdził później jeden z turystów, który, jak gdyby nigdy nic, zapytał dlaczego się go nie zwiedza. Przypuszczamy, że ten wodospad mógł być częścią podziemnej elektrowni. Badamy też tzw. uskok, duży zawał w sztolni nr 2. Powstał prawdopodobnie na skutek wysadzenia górnego piętra wyrobisk. Mogą znajdować się za nim nieznane hale. Czy coś w nich znajdziemy? Trudno powiedzieć.

Na początku 2000 roku rozpoczęły się również prace w hali za tzw. Wartownią.

– Od dawna podejrzewałem, że w podziemnym kompleksie Osówki musi znajdować się nieznany ciąg komunikacyjny, wiodący do kolejnej hali – opowiada Jacek Duszczyk – Kiedyś chodziłem tutaj z walbrzyskim różdkarzem, który powiedział, że w jednej z hal czuje za ścianą pustkę, ale ta pustka jest jakaś dziwna, tak jakby pomieszczenie za ścianą było częściowo zasypane. Nikomu nie powiedziałem o sugestiach różdkarza, ponieważ nie do końca wierzę w takie metody, ale ta rozmowa zasiała we mnie ziarno niepewności. Szalę przeważała opinia „budowlańca” z Głuszycy, który po wstępnych odwiertach, stwierdził, że za ścianą jednak coś musi być.

Hala, o której opowiada Jacek Duszczyk to obetonowane pomieszczenie znajdujące się po lewej stronie od wejścia do Osówki, za tzw. wartownią. Kilka tygodni trwały otoczone tajemnicą prace. Jacek Duszczyk, Marek Kołodziej, Bogdan Chmielarz, Andrzej Gaik badali, mierzyli, wiercili. Wspomagał ich Wojciech Duniec. Z dziur w przewiercanej ścianie wypływała woda w czarnym i czerwonym kolorze. Jej próbki pobrali chemicy. Badania wykazały obecność betonu, drewna i metalowych drzazg, co świadczy o tym, że tajemnicze pomieszczenie może być obudowane. Sama ściana ma 1,20 m grubości. Była to więc niezwykle ciężka praca. Eksploratorzy wywiercili w ścianach kilka otworów i...

– W niektórych miejscach za ścianą trafiamy na 2-metrową pustkę, nieco dalej na 11-metrową. Może to być więc całkiem spore pomieszczenie – tłumaczy Jacek Duszczyk – Czego się tam spodziewamy?

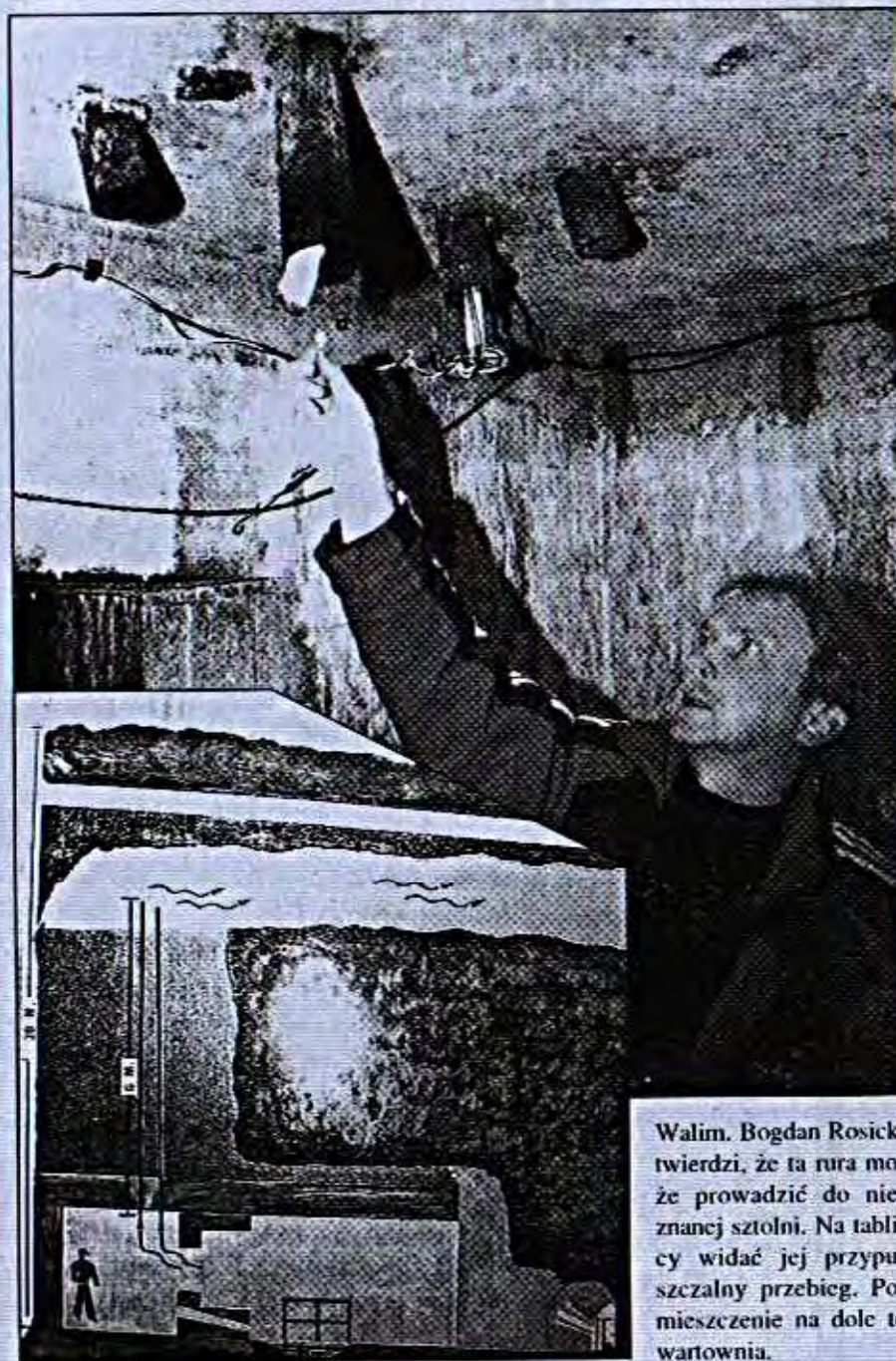
Być może tamtędy wchodzili do podziemi duńscy i norwescy chemicy, którzy pracowali w czasie wojny w Górach Sowich. Możliwe też, że jest tam ukończona hala, w której przeprowadzano jakieś badania.

Swoje tajemnice mają też Podziemne Farbryki Walimia. W 1999 roku trafiono tu na zupełnie nowe pomieszczenie, do którego nie sposób się dostać. Można je tylko oglądać za pomocą specjalnie zamontowanej kamery z reflektorem. Niezbadana dotąd komora znajduje się nad całkowicie obetonowaną Wartownią – traficie na nią po prawej stronie kilka metrów za wejściem do Sztolni I. Tak w ogóle wszystko zaczęło się właśnie od Wartowni, z której stropu wystawały 4 rury zatopione w żelbetonie. Po wstępnych badaniach okazało się, że rury o średnicy 7 cm mają po 6 m długości i wychodzą w nieznanym dotąd wyrobisku.

– Mamy wiele hipotez co do przeznaczenia tych rur – mówi Bogdan Rosicki, dyrektor walimskiego Zakładu Usług Turystycznych, który zarządza Podziemnymi Fabrykami Walimia – Mogły pełnić rolę wentylacyjną, ale wielu badaczy twierdzi, że niemieckie przewody wentylacyjne były znacznie grubsze, miały przynajmniej 11 cm średnicy. Możliwe jednak, że przez te rury zamierzano przeprowadzić kable telefoniczne centrali telefonicznej.

Badacze z Walimia postanowili rozwiązać zagadkę. Za pomocą specjalnych tyczek, poprzez rury wprowadzono mini kamerę do komory nad wartownią. Okazało się, że są tam ślady bytności człowieka, a po drugie mieszkają tam nietoperze. Tylko jakim cudem dostały się do tego pomieszczenia? Na pewno nie wąskimi rurami. Komora zaś nie ma żadnego wejścia. Jest po prostu niedostępna. Obecność nietoperzy świadczy jednak o tym, że gdzieś musi być przejście, którym się dostają. Bogdan Rosicki postanowił zrobić eksperyment. Ponad godzinę przez rury pompował spaliny do komory powyżej. Kiedy wyjął rurę doprowadzającą spaliny nawet nie poczuł ich zapachu. Spaliny zostały gdzieś wciągnięte, ale gdzie? Dziś podobny eksperyment przeprowadza się na oczach turystów. Przewodnik wkłada do rury papier i go zapala. Na ekranie pokazującym komorę powyżej widać, że gwałtowny ciąg powietrza porywa dogasające, spopielone fragmenty papieru.

– Być może odkryliśmy sztolnię nr IV, o której opowiadał nam kiedyś jeden z mieszkańców Walimia? – zastanawia się Bogdan Rosicki – Inny ze świadków twierdzi, że widział w górze 3 kominy biegnące w głąb ziemi. My tymczasem nigdy nie trafiliśmy na takie wejścia.



Walim. Bogdan Rosicki twierdzi, że ta rura może prowadzić do nieznannej sztolni. Na tablicy widać jej przypuszczalny przebieg. Pomieszczenie na dole to wartownia.

W Górach Sowich nikt nie liczy na skarby. „Skarbem” jest odnalezienie nowych sztolni, dokumentów, kolejnych wiarygodnych świadków. Nie sposób jednak pominąć informacji o transportach, które pod koniec wojny nicoczekiwanie zaczęły pojawiać się w górach. Jeden z więźniów wspomina: „Niemcy wysadzili niektóre wejścia do sztolni, dokąd wciągnięto jakieś wagony, lory pełne skrzyń, których zawartości nie знаłem... – opowiadał dziennikarzowi „Wybrzeża” Jan A. – Żołnierze SS obstawili całą wieś. Otoczyli poszczególne zabudowania kierując w stronę okien lufy pistoletów maszynowych. Gdy ktoś próbował wyrzucić, chcąc sprawdzić, co to za hałasy, strzelali bez ostrzeżenia. Później usłyszeliśmy ciężkie samochody ciężarowe. Ryk ich motorów słychać prawie dwie godziny. Skończyło się tuż przed świtem, a potem nastąpiła seria wybuchów. Wydawało mi się, że grzmia całe góry, że Niemcy za pomocą dynamitu chcą je w ogóle poprzestawiać. Nad ramię SS się wycofało. Jakiś czas potem byłem w pobliżu byłego obozu dla jeńców, gdzie znajdowały się wejścia do podziemi i wszystko było absolutnie zasypane. Nie słyszałem, aby ciężarówki wyjeżdżały z powrotem. Czyżby więc zostały w środku? A jeżeli tak, to co kryły?”

Również wśród listów, które Jerzy Cera otrzymał w czasie zbierania materiałów o Górach Sowich, znajduje się wzmianka o zaginionym transportie: „Od Niemców, byłych więźniów obozu w Kolcach oraz Polaków przebywających tam na robotach dowiadywaliśmy się różnych wersji dotyczących tajemniczego transportu, jaki tuż przed kapitulacją przybył ponoć z Francji samochodami załadowanymi skrzyniami obitymi blachą. Transport ten został wprowadzony w tunel, a jego wylot zaminowany.”

Wokół podziemi w Górach Sowich narosło wiele legend. Większość z nich trudno zweryfikować. Dodatkową trudnością są historie o strażnikach, Niemcach bądź ludziach pozostawionych przez Niemców na Dolnym Śląsku w celu ocalenia tajemnicy. „Niech Pan zostawi badania Osówki. Ostrzegam. Jest Pan młodym człowiekiem i ma Pan też rodzinę, szkoda będzie. Niech Pan się dobrze zastanowi”. To jestem z anonimów, które otrzymał Jerzy Cera, w trakcie badań „Olbrzyma”. Innym również zdarzały się pogroźki. Najgorsze w nich jest to, że nie wiadomo, czy są kiepskim żartem jakiegoś dowcipnisia, czy też przysłał je ktoś najzupełniej poważny. Jak na przykład potraktować list, który otrzymał burmistrz Głuszycy:

„Panie burmistrzu. Niech Pan zostawi Osówkę. Ostrzegam. Odpowiedzialność spadnie na was, bo was o tym informowałem. W”.

– Te pogroźki utwierdziły mnie w przekonaniu, że musimy deptać koło czegoś interesującego – uważa Jerzy Cera – Zleciałem badania grafologiczne anonimów. Okazało się, że ich autor jest z całą pewnością Niemcem. To, co do tej pory odnaleźliśmy w Górach Sowich, to niewielka część całości. Ta całość musi być na tyle ważna, że poświęcono wiele trudu, aby ją ukryć. Gdyby nie było tu żadnej zagadki, nie byłoby anonimów. Wiele osób pyta mnie, na co trafimy w brakujących podziemiach? Na coś ważniejszego niż złoto czy na przykład Bursztynowa Komnata? W 1944 roku pewna grupa Niemców wiedziała już, że wojna jest przegrana. Zaczęto więc przygotowywać się do fazy po przegranej wojnie. Oznacza to, że to, co jest najważniejsze dla III Rzeszy, należy przechować. Być może to coś drzemie we wnętrzu „Olbrzyma”?

Z końca lat czterdziestych pochodzi relacja świadka, który widział desant niemieckich żołnierzy w Górach Sowich. Pan W. wybrał się w okolice Osówki na polowanie. Nagle usłyszał lecący nisko samolot. W lesie wylądowało trzech uzbrojonych w broń maszynową mężczyzn. Taką opowieść brzmi zupełnie niewiarygodnie i początkowo nikt nie chciał wierzyć osobie, która przekazała te informacje. Uwierzono dopiero wtedy, gdy świadek pokazał schowane spadochrony. Niemieccy komandosi wylądowali w przy jednej sztolni prowadzących do wnętrza Osówki, weszli do środka i wkrótce okolicą wstrząsnęła eksplozja. Była tak potężna, że w oknach domów po drugiej stronie góry wyleciały szyby. Co tak ważnego mieli zabrać albo zamaskować Niemcy, że ryzykowano taką akcją, i to kilka lat po zakończeniu wojny? Czy mieli ze sobą ładunki wybuchowe, czy też po prostu wiedzieli, gdzie „naciśnąć guzik”? Czy ta historia w końcu ma związek z opowieścią o podziemnym wodospadzie, który widziano w tych podziemiach jeszcze po wojnie?

To niesamowite, że niewielkie wejścia Walimia, Włodarza czy Osówki prowadzą do ogromnych, pełnych tajemnic podziemi. Niesamowita jest też świadomość, że atrakcyjne dla poszukiwaczy skarbów i przygód sztolnie jeszcze kilkadziesiąt lat temu były sceną wielkich, ludzkich tragedii. Jeżeli dołączymy zagadkę nieodnalezionych hal, to wszystko razem tworzy jeden z największych znaków zapytania II wojny światowej.

– Te podziemia są jak ludzki organizm – mówi Jacek Duszczyk z Głuszyckiego Towarzystwa Poszukiwaczy i Eksploracji – Im głębiej usiłujemy się do nich wdrzeć, tym bardziej się bronią.

Pamiętajcie o tym, gdy wejdziecie do środka.

Ślady Rakietowego Barona?

*Tunele przy drodze * Zdrada pociąga zdradę * Siły ciemności wznoszą szubienicę * Komnata ze szklanym dnem * Cudowna broń Hitlera * Wernher von Braun przyjeżdża na Śląsk * Od V-2 do lotu na Księżyc * Obrazki zamknięte w kryształach*

Nad Jeziorem Leśniańskim niedaleko Lubania wznosi się malowniczy zamek Czocho. Również w pobliskim Świeciu, wśród drzew kryją się ruiny średniowiecznej twierdzy. Dziś to zaledwie kilka ścian, turyści zaglądają tu bardzo rzadko. Natomiast tylko zapaleńcy penetrują korytarze, które widać po lewej stronie drogi łączącej Leśną ze Świeciem. Tunele mają zaledwie kilkadziesiąt lat, z okolicą wiążą się jednak opowieści sprzed wielu, wielu wieków. Podobno na szczycie wzgórza, w którym wryto te wielkie dziury, stał jeszcze jeden zamek. W 1431 roku, kiedy na Śląsk wtargnęli husyci, wszyscy wiedzieli, że warownia na górze nie ma zbyt wielu szans. Szczególnie bały się kobiety. A że w czasie wojny gwałt był na porządku dziennym, dlatego córka pana zamku postanowiła zadbać o swoje bezpieczeństwo na własną rękę. Niestety, nie przyszło jej do głowy nic mądrego. Wymyśliła, że wskaże najeźdźcom tajne wejście do zamku, i w ten sposób ocali życie (swoją drogą, ciekawe czemu co druga legenda przypisuje zdobycie jakiegoś miejsca podziemnemu tunelowi i kobiecej niewierności?). Dziewczyna miała na imię Zonka i była bardzo młoda. Nie wiedziała jeszcze, że jedna zdrada pociąga za sobą kolejną. Z przerażeniem patrzyła, jak ginie jej brat, jeszcze większe przerażenie ogarnęło ją, gdy zobaczyła miecz nad swoją głową. Zdrada się nie opłaciła. Zginęła jak wszyscy.

Dziedziniec zamku wyglądał, jak pobożowisko. Wśród setek zabitych krążyli najeźdźcy szukając łatwych łupów. Jeden z rycerzy wspominał potem, że kiedy stanął nad ciałem młodej dziewczyny, wydawało mu się, że jeszcze żyje. Rozrzuczone włosy były pozlepiane krwią. Kobieta jednak, jak gdyby nigdy nic, wstała, przeszła kilka metrów i zniknęła. Świadek zdarzenia zaklinał się, że widział to naprawdę. Nikt jednak nie chciał mu wierzyć, ciało dziewczyny bowiem znaleziono potem wśród innych zmarłych. Sprawa wyjaśniła się dopiero sto lat później, gdy na zgliszczach zamku ujrzano postać Zonki. Wtedy ktoś przypomniał sobie o starej historii i było już wiadomo, że to duch zdrajczyni szuka odkupienia. W przeciwieństwie do wielu innych pokutujących dusz, Zonka i po śmierci dbała o swój wygląd, pojawiać zaczęła się bowiem w różnych, bardzo zresztą pięknych sukniach. Widywano ją dokładnie co sto lat. Po okolicy zaś zaczęła krążyć opowieść, że kto pomoże dziewczynie odejść spokojnie do świata zmarłych, dostanie w nagrodę bliżej nieokreślony skarb.

Z niecierpliwością czekano więc na 1731 rok. W rocznicę krwawych wydarzeń trzech śmiałków poszło do lasu szukać zdrajczyni. Weszli na oświetloną księżycem łąkę i zobaczyli tam zakapturzone postaci wznoszące wielką szubienicę. Łowcy skarbów nie zastanawiali się ani chwili. Wzięli nogi za pas, a „wyczyn” powtórzyć mieli dopiero ich wnukowie, którzy w 1831 roku ponownie wybrali się na tajemniczą górę. Tym razem przegonił ich wielki, czarny kot, którego oczy świeciły w ciemności, jak dwie pochodnie. Nie wiadomo, czy w 1931 roku, ktoś jeszcze odważył się ratować Zonkę. Zresztą, to podobno niemożliwe. Uparły się na nią siły ciemności, a z nimi bardzo trudno wygrać. Poza tym racjonalny XX wiek miał zupełnie inne problemy. Stare bajki zastąpiła twarდა rzeczywistość. W zboczach osnutej legendami góry zaczęły powstawać głębokie korytarze. Wyglądały identycznie, jak te w Górach Sowich. Podobne miało być też ich przeznaczenie. Zamierzano tu uruchomić podziemną fabrykę.

Opinie co do jej przeznaczenia są podzielone. Eksploratorzy wahają się między produkcją bomby latającej V-1 a rakiety balistycznej V-2. Jeżeli dodać jeszcze do tego barwną postać Wernhera von Brauna, ojca broni rakietowej, późniejszego dyrektora agencji NASA, za sprawą którego odbyło się pierwsze lądowanie na Księżycu, to korytarze koło Leśnej wyglądają naprawdę bardzo tajemniczo.

Zacznijmy od początku. Zamek Czocho w Leśnej wszyscy opisują na ogół tymi samymi słowami: jeden z najpiękniejszych w Polsce.

I trudno temu zaprzeczyć. Masywna wieża, malownicze zaułki, dobrze zachowane wnętrza, tajne przejścia przez szafy, ukryte schodki i w końcu bliskość zalewu sprawiają, że każdy, kto choć raz tu przyjedzie, zawsze wraca. W czasie gwiaździstych nocy zamek wygląda zupełnie nie-realnie.

Początki Czochoy to XIII wiek. Na przestrzeni dziejów twierdza często zmieniała właścicieli i wygląd. Kamienny most, po którym wchodzi się do zamku, zbudowano na początku XVIII wieku. Jest pamiątką po tragedii. Kiedy w 1719 roku zmarł właściciel zamku, kondukt pogrzebowy ruszył przez drewniany most przerzucony nad suchą fosą. W pewnym momencie most się załamał i wszyscy spadli w dół. Zginęło przy tym kilkoro dzieci. Aby zapobiec następnej katastrofie szybko zbudowano most kamienny. Nie minęło wiele lat, a w zamek znów stał się sceną mrozących w żyłach historii. Z 17 na 18 sierpnia 1793 roku w jednej z zamkowych komnat zaczęła płonąć drewniana komoda. Zajęła się od szczapy drewna. W ciągu 8 godzin zamek zmienił się w pogorzeli-sko. Palił się i kamienny most, i wieża, zbrojownia, dachy. Odbudowa miała potrwać 5 kolejnych lat.

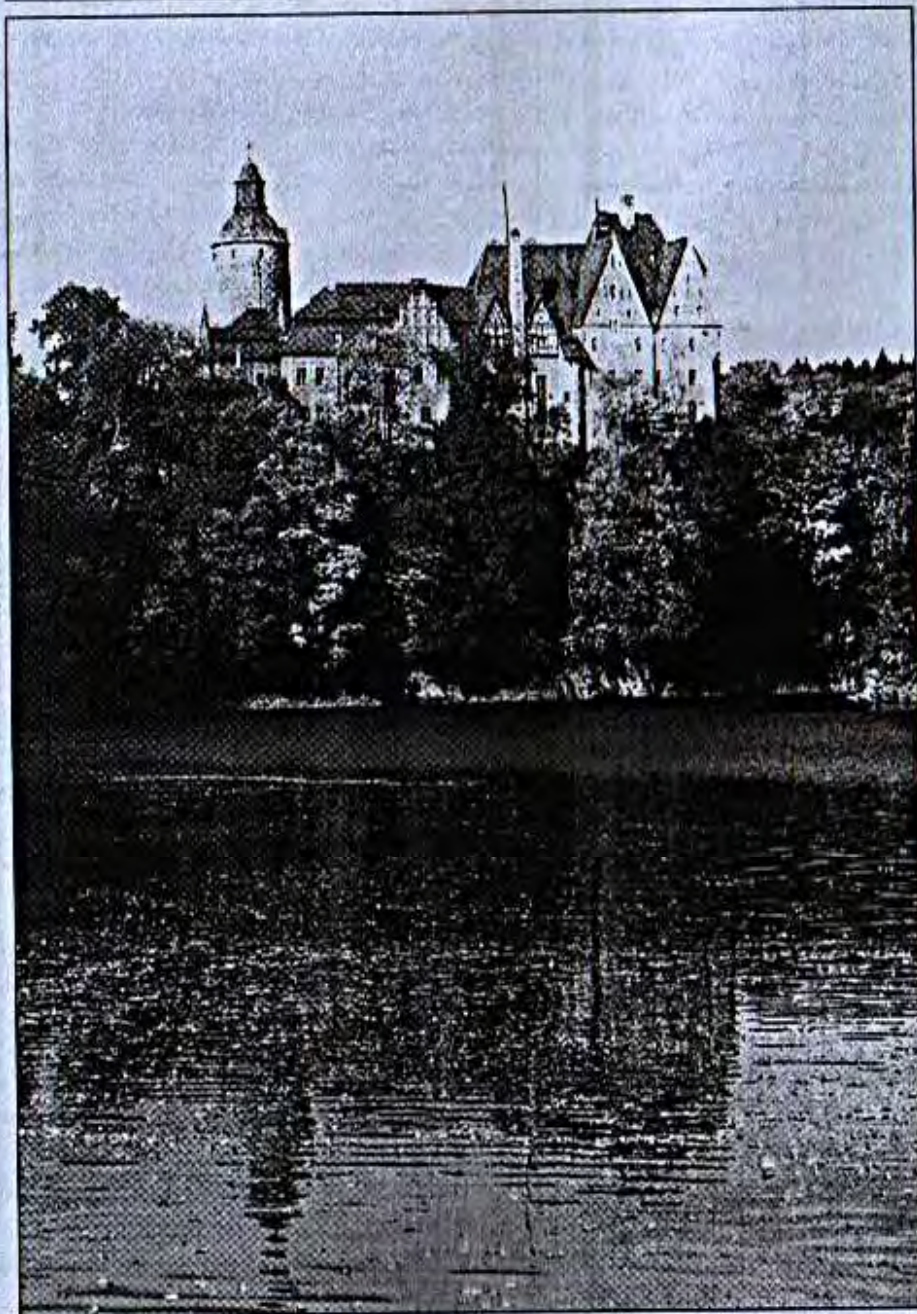
Przed II wojną światową Czocha należała do jednego z najbogatszych ludzi Europy. Ernest F. von Glütschow, drezdeński przemysłowiec dorobił się w Ameryce na tytoniu i w 1909 roku nabył zamek. Za budowlę zapłacił półtora miliona marek, a za następne cztery miliony zaczął tu tworzyć komfortową rezydencję. Zamek zmienił wygląd, a w komnatach pojawiły się kolekcje książek, broni, obrazów i mebli. Glütschowa na wszystko było stać. Krążyła plotka, że jest spokrewniony z Rockefellerami, rodziną sławnych bogaczy. W czasie wojny skarbiec Czochoy zaczęły zasilać zamorskie złoto i insygnia rosyjskich carów. Znalazło się tu też kilkaset ikon i popiersia władców Rosji. Czocha była sezamem pełnym niezmiernych skarbów. Także wystrój wewnątrz mógł przyprawić o zawrót głowy. Każdy drobiazg znajdował się w z góry zaplanowanym miejscu¹. Jeden ze świadków opowiadał potem, że przechodził przez salę, której dno zrobione było z grubego szkła. Pod spodem, w podświetlonej wodzie pływały ryby. Niestety, po wojnie nie odnaleziono tego pomieszczenia. Wywieziono także w nieznanym kierunku większość zamkowych skarbów.

¹ Dokładną historię zamku Czochoy i losów ukrytych w niej skarbów opisałam w książce *Tajemnice, zamki, podziemia. Przewodnik jakiego nie było*.

W czasie II wojny światowej wokół Czochoy zlokalizowano bardzo silną obronę przeciwlotniczą. W rezydencji pojawiali się wysocy oficerowie, a w okolicy pełną parą pracowały tajne zakłady. Do Czochoy zjeżdżali różni ludzie. Dziś coraz częściej mówi się o tym, że honorowym gościem bywał ojciec broni raketowej Wernher von Braun. Czy to możliwe?

Teraz już wiemy, że w czasie wojny w samym tylko Lubaniu działało pięć fabryk produkujących na rzecz niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. W największej z nich, w podziemnej „Gemma Werke”, wytwarzano urządzenia radiolokacyjne Dete-Geraet II „Freya”. Były to niemieckie radary o wysokości ponad 15 m, których produkcja była jedną na najlepiej strzeżonych tajemnic III Rzeszy. W Lubaniu prowadzono też eksperymenty, prawdopodobnie z wytwarzaniem silnego pola elektromagnetycznego. Zdarzało się, i nikt nie potrafił wytłumaczyć tego zjawiska, że na drodze Zgorzelec-Lubań samochody same stawały. Świadkowie zarzekali się, że pole elektromagnetyczne unieruchamiało nie tylko samochody z zapłonem iskrowym, ale i diesle. Lubańska autochtonka, pani B., twierdziła, że w „Gemma Werke” produkowano też aparaturę podsłuchową do łodzi podwodnych. W samej Leśnej natomiast, w fabrykach włókienniczych Niemcy wytwarzali korpusy do rakiet V-2. W wykazie opuszczonych i źle zagospodarowanych obiektów z 1953 roku widnieje „obiekt podziemny wykuty wzdłuż całej góry znajdującej się częściowo na terenie fabryki PZGJ w Baworowie (to dzisiaj część Leśnej). Podobnie jak w Miłoszowie, fabryka była w czasie wojny wykorzystywana do celów wojskowych przez niemieckie zakłady zbrojeniowe VDM [...]. Wzdłuż chodników podziemnych przebiegają tory kolejki wąskotorowej”. W wykazie pod numerem 11 jest jeszcze jedna informacja: „Pow. Lubań, miasto Leśna. Niedokończona fabryka lotnicza, w skale wykute tunele”. Ta notatka dotyczy tego, co widać przy drodze łączącej Leśną ze Świeciem. A stąd już blisko do Wernhera von Brauna.

Zajrzyjmy do leksykonu *Kto był kim w III Rzeszy* Roberta S. Wistricha: „Braun, Wernher von (1912-1977) niemiecki inżynier raketowy, który zaprojektował pociski V-2 (Vergeltungswaffe – broń odwetowa) wystrzelone na Anglię pod koniec II wojny światowej, urodził się 23 marca 1912 roku w Wyrzysku (Prusy). Jego ojciec, Magnus von Braun, był ministrem rolnictwa za kadencji prezydenta von Hindenburga i założycielem Niemieckiego Banku Oszczędnościowego, zaś matka uzdolnionym muzykiem”.



Czocha – jeden z najpiękniejszych polskich zamków.
Czy bywał tu ojciec broni rakietowej?

Przewodnik *Kopernik, astronomia, astronautyka* dodaje: „W 1933-1945 pracował w niemieckim ośrodku rakietowym Peenemünde, najpierw jako konstruktor, potem jednocześnie dyrektor techniczny. Tam pod jego kierunkiem powstawały m.in. pierwsza większa rakietą A-4 (V-2) i projekt dwustopniowego międzykontynentalnego pocisku rakietowego A-9/A-10 (Amerika-Rakete). W 1960-1970 był dyrektorem G.C. Marshall Space Flight Center, 1970-1972 jednym z dyrektorów NASA, odpowiedzialnym za planowanie rozwoju astronautyki. Von Braun przyczynił się decydująco do realizacji pierwszego amerykańskiego sztucznego satelity Ziemi Explorera 1 (31 I 1957) i pierwszego amerykańskiego próbnika międzyplanetarnego Pioniera 4 (3 III 1959). Pod jego kierownictwem powstało wiele bardzo udanych rakiet, w szczególności serii Saturna, z których największa, Saturn 5, umożliwiła lądowanie ludzi na Księżycu”.



Wernher von Braun w otoczeniu oficerów Wehrmachtu

Daty, suche fakty, techniczne szczegóły. Pod encyklopedycznymi notatkami kryją się jednak emocje i wielka przygoda niemieckiego naukowca, o którego pod koniec wojny zaciekle walczyły rosyjski i amerykański wywiad.

Wernher von Braun był cudownym dzieckiem. Już w gimnazjum interesował się techniką lotniczą. W wieku 18 lat porzucił Wyższą Szkołę Techniczną w Zurychu i przeniósł się do Berlina, gdzie rozpoczęła

się jego błyskawiczna kariera. Co prawda plotkowano, że wiele pomógł mu utytułowany ojciec, naprawdę jednak von Braun był po prostu piekielnie zdolny. Poza tym był pasjonatem. I chociaż czasy takim ludziom sprzyjały, to zarówno von Braun, jak i jego koledzy, również miłośnicy raketnictwa, swoje badania musieli opłacać z własnej kieszeni. A była to kosztowna pasja. Światło w tunelu pojawiło się, gdy UFA (Universum Film A.G) rozpoczęła realizację filmu „Kobiety na księżycu”. Zdjęcia plenerowe kręcono na wyspie Uznam, przyszelej bazie raketowej III Rzeszy. W 1929 roku sfilmowano tam, stosując dostępne wówczas triki, start rakiety. Fundusz promocyjny produkcji pokrywał prace nad pierwszym silnikiem raketowym na ciekły napęd pędny, a sam silnik zamierzano pokazać w czasie premiery filmu. W 1930 roku 4-osobowa grupa zaprojektowała pierwszą raketę badawczą Mirak czyli Minimum-Rakete.

Wśród projektantów, oprócz samego von Brauna był również Rudolf Nebel. To właśnie Nebel już po wojnie oświadczył, że wynalezienie V-2 właściwie jest jego zasługą. W 1967 roku wniósł nawet do sądu RFN apelację domagając się przyznania renty i odszkodowania. W czasach hitlerowskich Nebela odsunęto od prac, wcześniej bowiem współpracował z Albertem Einsteinem. Uznany został za „żydowskiego gońca”, aresztowało go gestapo i nigdy już nie powrócił do swoich badań. Jego narzeczona – Żydówka – zginęła w Oświęcimiu. Kiedy drogi von Brauna i Nebela się rozeszły, von Braun pośredniczył przy nabyciu przez wojsko patentu Nebela na silnik raketowy napędzany ciekłym paliwem. Cicho potwarzana plotka mówiła, że ten zakup był po prostu próbą uciszenia rywa. Nebel podobnie jak von Braun, był bardzo zdolny. W czasach, kiedy razem pracowali nad raketą Mirak, udało im się zainteresować projektem Urząd Uzbrojenia Wojsk Lądowych. W tym samym czasie Departament Uzbrojenia Ministerstwa Reichswehry pracował nad konstrukcją rakiety na ciekły materiał pędny, która mogłaby przenosić gazy bojowe. Nad tym projektem pracował m.in. Walter Dornberger. Postanowiono więc zespolić wysiłki pasjonatów i wojskowych. W ten sposób w wieku 20 lat von Braun został zatrudniony w urzędzie zbrojeniowym armii niemieckiej. Prowadził tam badania nad raketami na płynne paliwo.

Najpierw jednak młody naukowiec musiał podpisać specjalne oświadczenie i zgodzić się na pracę w odosobnieniu. Jako jedyny z grupy cywili-pasjonatów zgodził się na takie warunki. Rozwój badań sprawił, że naukowiec potrzebował dużego ośrodka i poligonu doświadczalnego. Na

pomysł jego lokalizacji wpadł na Śląsku, podczas wizyty w Bystrzycy koło Wlenia.

Bystrzyca to niewielka wioska z wielkimi domami. Tutejsze gospodarstwa musiały być bardzo bogate. Na niewielkim wzniesieniu przy drodze znajdował się też folwark rodziny von Braunów, których przodkowie osiedli tu w połowie XVII wieku. Na kartuszu herbowym nad wejściem widnieje data 1646. Tutaj młody Wernher odwiedzał swoich rodziców. Tak opisał w swoim pamiętniku jedną z wizyt:

„Święta Bożego Narodzenia 1935 roku spędziłem w majątku mojego ojca na Śląsku. Gdy przypadkowo wspomniałem, że rozglądam się za odpowiednim miejscem na urządzenie na wybrzeżu poligonu doświadczalnego, matka przypomniała mi Peenemünde. Mój dziadek polował tam na dzikie kaczki! Pojechałem oglądać teren. To była miłość od pierwszego wejrzenia!”

Wernher von Braun szybko przystąpił do organizacji ośrodka i dwa lata później, 25-letni naukowiec został dyrektorem technicznym największego wówczas na świecie poligonu doświadczalnego w Peenemünde na wyspie Uznam. Do 1938 roku opracował prototyp V-2 – pocisku z silnikiem raketowym i sterowaniem radiowym. Pierwsza niemiecka rakietka V-2 została wystrzelona 3 października 1942 roku, półtora miesiąca po sławnym nalocie aliantów na Peenemünde. V-2 osiągnęła wysokość 90 km i ponad 5 razy przekroczyła prędkość dźwięku. Dzięki niej von Braun otrzymał przydomek „raketowego barona”. Swój sukces uznał za krok do podbicia kosmosu. Na ogonie rakiety znajdował się zresztą obrazek z człowiekiem lecącym ku gwiazdom.

– Jedyny błąd tego uwiecznionego sukcesem lotu polegał na tym, że rakietka wylądowała na złej planecie – twierdził potem nieco górnolotnie von Braun. V-2 miała być wspaniałym, kosmicznym wynalazkiem, Hitler widział w niej jedynie straszliwą broń.

„Rakietka, którą wówczas skonstruowaliśmy, nie była nastawiona na to, aby zabierać ładunek wybuchowy. Była ona urządzeniem czysto doświadczalnym. Ponieważ wciąż na nowo prosiliśmy szefa kierownictwa wojskowego o pieniądze na dalszy rozwój prac, otrzymaliśmy odpowiedź, że potrzebne środki finansowe moglibyśmy otrzymać do dyspozycji tylko na konstruowanie raket, które są w stanie przetrwać duże ładunki wybuchowe na wielkie odległości z dobrą celnością. W młodzięcym zapale przyrzekliśmy wszystko i nie przeczuwaliśmy, jakie trudności będą się przed nami piętrzyć. Wyobrazałem sobie jako cel na-



Dom rodziców von Brauna w Bystrzycy koło Wlenia



Początek lat 30. Von Braun (drugi z prawej) wśród miłośników raketnictwa

szych prac wielką rakieta: pocisk, która mogłaby przerzucić tonę ładunku wybuchowego na odległość 250 km – wspominał później kierownik konstrukcji, gen. Dornberger – Wtargnęliśmy naszą rakieta w przestrzeń kosmiczną i po raz pierwszy, co także zostanie odnotowane w historii, wykorzystaliśmy kosmos jako narzędzie, pomost między dwoma punktami na ziemi, dowiedliśmy, że napęd raketowy jest użyteczny w podróżach międzyplanetarnych.”

W 1943 roku Hitler obejrzał kolorowy film ukazujący start i udany lot jednego z kolejnych prototypów V-2. Przywódca III Rzeszy nie chciał wierzyć, że zaledwie 31-letni naukowiec dokonał cudu techniki, który mógł zmienić bieg świata. Namówiony przez Speera, Hitler nadał von Braunowi tytuł profesorski, a Dornbergera mianował generałem-majorem. Lot, który oglądał Hitler odbył się 26 maja, a rakieta pokonała wtedy rekordową odległość 265 km, spadając w odległości tylko około 5 km od wyznaczonego celu. Jednak ostateczne badania rakiety ukończono dopiero jesienią 1943. Meldunek złożył Hitlerowi sam raketowy baron. Tak naprawdę jednak V-2 była gotowa do użycia dopiero wiosną 1944 roku. Masa startowa rakiety wynosiła 12 700 kg, długość 14 m, zasięg około 300 km.

W marcu SS podjęło próbę przejęcia kontroli nad programem V-2. Mimo, że von Braun należał do SS od 1940 roku, nie przyjął od Himmlera propozycji współpracy i wraz z dwoma asystentami został aresztowany. W więzieniu przebywał pod zarzutem, że koncentrował się na podróżach kosmicznych, a nie na uzbrojeniu wojennym. Jak się później okazało, zarówno Rakietowy Baron, jak i jego współpracownicy wielokrotnie dość krytycznie mówili o wojskowym zastosowaniu rakiet. Twierdzili, że wszystko co robią, robią pod przymusem. Doszło do tego, że „zadania militarne” zlecieli naukowcom niższego szczebla, a sami zajęli się projektowaniem rakiet, które miały polecieć w kosmos. W sprawie aresztowanego von Brauna interweniowali jednak Dornberger i Albert Speer. Naukowca zwolniono, a 8 września 1944 roku w kierunku Anglii wyleciała pierwsza rakietka.

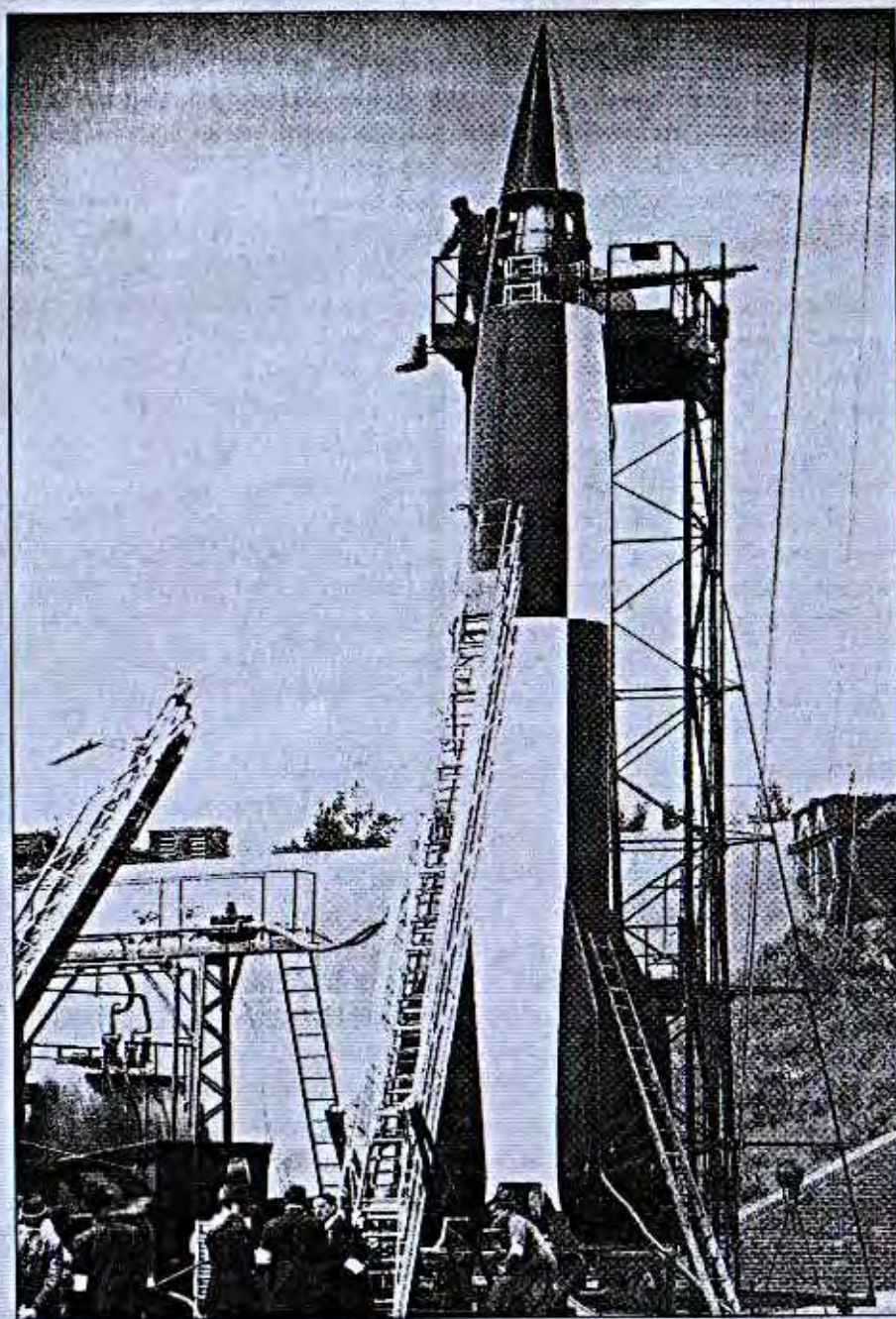
„V-2 detonowała po wbiciu się w ziemię – pisze Igor Witkowski, autor *Supertajnych broni Hitlera* – W przypadku odkrytego terenu nie wiązało się to z reguły ze szkodami, ale trafienie w konkretny obiekt (np. budynek) powodowało prawie zawsze całkowite jego zniszczenie, tak na przykład było z trafieniem w stację londyńskiego metra (używaną jako schron), w wyniku czego zginęło na miejscu ponad 1000 osób.

Wybuch wewnątrz budynku dosłownie go rozrywał, powodując również straty w jego otoczeniu. Pierwsze dwie rakiety odpalono w kierunku Londynu 9 września 1944 roku, stopniowo zwiększając ilość ataków. Stopniowo zwiększano również liczbę celów, od końca września atakując też miasta Belgii, Francji i Holandii. Do zakończenia działań bojowych przez jednostki raketowe – pod koniec marca 1945 roku odpalono, jak się ocenia, nie mniej niż 3170 sztuk V-2, z czego większość przeciwko Antwerpii. Drugi na liście celów był Londyn.”

Pod koniec wojny o 33-letnim naukowcu było głośno. W 1943 roku wzdłuż wybrzeża nad kanałem La Manche rozpoczęto budowę opancerzonych bunkrów, z których zamierzano ostrzeliwać Londyn. Bunkry zostały jednak zbombardowane przed końcem wojny. Zastąpiono je platformami startowymi, dzięki czemu były trudne do wykrycia, a rakiety można odpalać praktycznie z każdego miejsca. Już po wojnie von Braun mówił, że swego czasu na potrzeby niemieckiego programu raketowego pracowało 200 000 ludzi. Cudowna broń Hitlera miała mu pomóc podbić świat.

Wiedza Raketowego Barona była bezcenna. W latach czterdziestych uznano go za najwybitniejszego na świecie eksperta w dziedzinie rakiet. Trudno się dziwić, że o naukowca rywalizowały radziecki i amerykański wywiad. 2 maja 1945 roku Werner von Braun, po negocjacjach prowadzonych przez brata, oddał się wraz z grupą 150 współpracowników Amerykanom. Pozostawała jeszcze kwestia rodziców. Emilia i Magnus von Braun uciekli z Prus Wschodnich i zatrzymali się w Bystrzycy. Mieli z sobą sporo pakunków, które potem zostały we wsi. Ponieważ Raketowy Baron poszedł na pełną współpracę z Amerykanami, mógł stawić warunki. Zażądał, aby uratowano jego rodziców. I tak w październiku 1945 roku w Bystrzycy, zajętej już przez wojska radzieckie, pojawili się amerykańscy oficerowie. Bez przeszkód – niezwykle intrygujące, jak załatwili to z Rosjanami – wywieźli rodziców naukowca. Werner von Braun po przesłuchaniu w Londynie został zwolniony i uzyskał zgodę na kontynuowanie badań w Stanach Zjednoczonych. Wraz z nim w Ameryce osiedliło się prawie 500 naukowców i 600 specjalistów zajmujących się raketami. Pracowali na poligonie White Sands w stanie Nowy Meksyk. Tam też przetransportowano zdobyte przez Amerykanów egzemplarze V-2.

Peenemünde natomiast zostało przejęte przez Rosjan. W ośrodku pozostał z własnej woli tylko jeden naukowiec – Helmut Grottrup. W NRD został dyrektorem Naukowego Instytutu Raketowego, a w 1946 roku



V-2 tuż przed startem

Rosjanie, bez żadnego ostrzeżenia, wywieźli go i 200 innych niemieckich ekspertów do gułagów, w których zlokalizowano wyrzutnie raketowe. Radzieckie prace doprowadziły do powstania pierwszej na świecie międzykontynentalnej rakiety balistycznej – SS-6. Ona właśnie umieściła w październiku 1957 roku na orbicie Sputnik 1 – pierwszego sztucznego satelitę Ziemi. Cztery miesiące później zespół von Brauna wysłał w kosmos pierwszego amerykańskiego satelitę Explorer 1. Od ponad dwóch lat Wernher von Braun miał już amerykańskie obywatelstwo. W 1960 roku został dyrektorem Ośrodka Badania Lotów Kosmicznych im. George C. Marshalla w Alabamie. Wraz ze swoim zespołem zapoczątkował prace nad rakieta Redstone, która w 1961 roku wyniosła na orbitę pierwszego amerykańskiego kosmonauta.

„Inspirator, współtwórca i geniusz organizacyjny amerykańskiego programu kosmicznego, von Braun, zaprojektował raketę Saturn 5, która w 1969 roku otworzyła nową erę w badaniach przestrzeni kosmicznej, zawożąc na Księżyc astronautów z programu Apollo – pisał o nim autor leksykonu *Kto był kim w III Rzeszy* – Od 1970 roku pełnił funkcję zastępcy wicedyrektora do spraw planowania w NASA (National Aeronautics and Space Administration). 16 czerwca 1977 roku zmarł na raka w Alexandrii. Jeden z dyrektorów NASA nazwał go: XX-wiecznym Kolumbem, który wyznaczył nowe granice przestrzeni, a swojej przybranej ojczyźnie zapewnił prymat w badaniach przestrzeni kosmicznej”.

Cóż, ten życiorys kończy się wysokim C. Wróćmy jednak do czasów II wojny światowej i zamku Czocha. Czy bywał w nim Raketowy Baron? To samo pytanie od lat zadaje sobie Janusz Skowroński, były burmistrz Lubania i niestrudzony badacz zamkowych tajemnic.

– Na rzecz niemieckiego programu raketowego pracowało wiele fabryk i zakładów. W wielu z nich zakładano tzw. kommando, filie obozów koncentracyjnych, w których więziono i zmuszano do nieludzkiej pracy ludzi różnych narodowości – opowiada Janusz Skowroński² – Filie obozu Gross-Rosen zlokalizowano nieopodal zamku Czocha. Komanda te nosiły nazwy „Marklissa” (Leśna) i „Hartmannsdorf” (Miłoszów). Oba zostały założone do produkcji wojennej, a konkretnie zespołów raket lotniczych. Należy zapytać, czy produkcja i próby tych zespołów by-

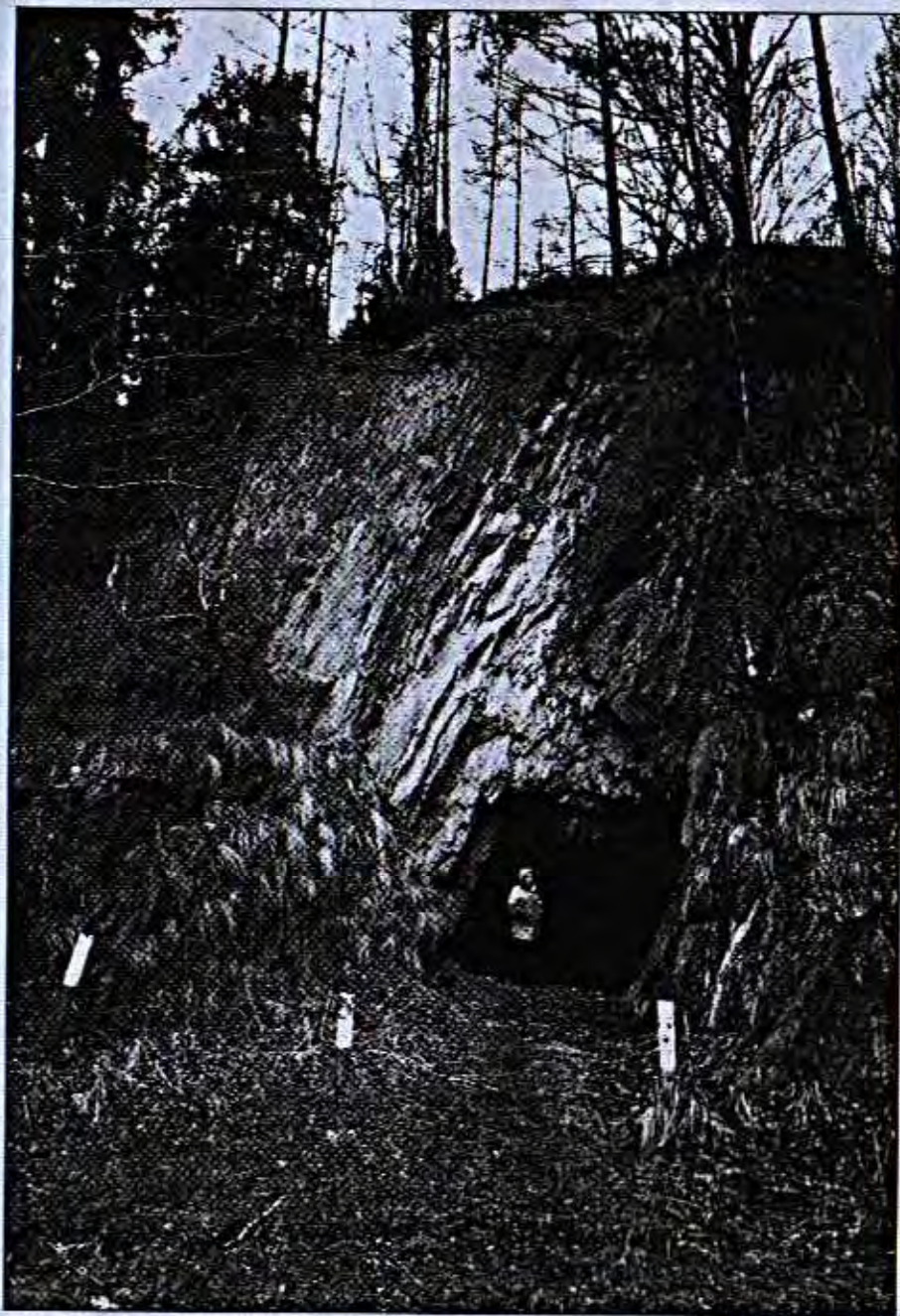
² Janusz Skowroński jest autorem znakomitej książki *Skarby III Rzeszy. Tajemnice zamku Czocha*. Zawarł w niej efekty wieloletnich i drobiazgowych poszukiwań zaginionych, zamkowych dóbr.

ły tu, na tych terenach, na tyle ważne, aby w ostatnich latach wojny zainteresował się nimi osobiście Wernher von Braun? Jest kilka powodów, żeby twierdząco odpowiedzieć na to pytanie. Przede wszystkim bliskość Bystrzycy, w której mieli majątek jego rodzice. Tu mógł odwiedzać ich syn, wykorzystując sposobność, jaką były inspekcje pobliskich fabryk zbrojeniowych. Wernher von Braun z pewnością nadzorował tu produkcję i próby z cudowną bronią. To wydawało się naturalne. W zamku Czocha mogły też znajdować się tajne archiwa. Niektórzy uważają, że należałoby je połączyć z przeprowadzanymi w Leśnej badaniami nad bronią V-1 i V-2. Poza tym w pobliskiej Olszynie Lubańskiej, w tamtejszych zakładach meblarskich pod mocno zakamuflowanym kryptonimem FZG-76 (Flkzielgeraet – cel latający) produkowano elementy drewniane do rakiety V-1. Drewniany był kadłub i skrzydła, na co nakładano stalowe poszycie. Inna udokumentowana wiadomość, to ta, że w Jeziorze Złotnickim, powstałym w wyniku spiętrzenia zapory Złotniki na Kwisie, w 1943 roku czyniono tajne próby z torpedami samonaprowadzającymi.

Hipoteza, że Gütschow pozwolił, aby na zamku mieściło się biuro badawcze zakładów w Leśnej staje się bardzo prawdopodobna. Nie wyklucza jej też Klaus Christian Kasper, pochodzący z Lubania niemiecki autor wielu książek o Dolnym Śląsku, który przewertował niejedne dokumenty z archiwów w Koblencji, Berlinie i Freiburgu.

Rakiety, tajemnicze eksperymenty z polem elektromagnetycznym, torpedy samonaprowadzające, budowa podziemnych tuneli – i to wszystko w miejscu, które uchodzi dziś za jeden z najspokojniejszych zakątków Dolnego Śląska. Nie chce się po prostu wierzyć. Zostały jednak ślady. Nie tylko tunele przy drodze z Leśnej do Świecica. To także ślady po obozie pracy – wartownie i stacja transformatorowa, które znajdziecie w pobliżu. To także obetonowane wejścia do wnętrza wzgórza na terenie dzisiejszej Fabryki Części do Maszyn Włókienniczych i Odlewni Metali „Baworowo” w Leśnej. W części zakładu wydzielono teren na hamowanie doświadczalne nowego typu silników raketowych startujących pionowo i poziomo spod wody.

Innym namacalnym śladem wojennych losów są małe, kryształowe pałeczki. Odnaleziono je kilka lat temu w przewodzie kominowym w zamku Czocha. Kawałki kryształu mają około 6 mm długości. Jeżeli zbliży się je do oka i dokładnie popatrzy, na końcówce o powierzchni 2 mm widać czarno-białe mapki i zdjęcia z podpisami. Na pozór nie przedstawiają nic ważnego. To widoki kurortów, znanych miejsc. Co



Nie dokończone sztolnie przy drodze Leśna-Świecie

jednak się za tym kryje? Jak je wykonano i dlaczego ukryto? Może to rodzaj szpiegowskiego szyfru?

O tajemniczych paleczkach pisałam już wiele lat temu. Od tamtej pory nie udało się ustalić nic nowego. Nieżyjący już Stanisław Siorek, badacz wojennych tajemnic Dolnego Śląska, uważał, że obrazki naniesiono na kryształki wysoce zaawansowaną techniką połączenia mikrofilmu z mikrokropką. Możliwe, że obrazki w kryształach miały służyć szpiegom do wprawiania oka i szybkiego zapamiętywania tak przekazywanych informacji. Nie sprawdziły się natomiast teorie, że kryształki to część fotoplastykonu. Kominiarze natomiast twierdzą, że podczas bombardowania na ogół nietknięte pozostają trzony kominowe. Komuś więc bardzo zależało na tym, aby kryształki ocalały. Dlatego schowano je w kominku. Na identyczne znalezisko natrafiono w kryptach w Lubomierzu. Przezroczyste „paleczki” leżały w pudełku po zapalkach. Niesamowite, prawda?

Przyjrzyjmy się jeszcze jednemu faktowi przemawiającemu za tym, że w czasie II wojny światowej w zamku mogły pracować biura związane z jakąś tajną produkcją. Czocha znajdowała się pod specjalnym nadzorem – świadczy o tym chociażby silna ochrona przeciwlotnicza. Być może dlatego nie znalazła się na sławnej wśród poszukiwaczy skarbów liście prof. Günthera Grundmanna, konserwatora zabytków Prowincji Śląskiej. Prof. Grundmann był odpowiedzialny za wywiezienie i zabezpieczenie setek zbiorów muzealnych, dzieł sztuki, archiwaliów, instrumentów, kolekcji numizmatów, a także zbiorów prywatnych. Chodziło o to, aby te wszystkie dobra nie ucierpiały w czasie bombardowań i w momencie nadejścia Armii Radzieckiej.

Günther Grundmann organizował składnice dzieł sztuki głównie w śląskich zamkach i pałacach, część rzeczy ukrywano także w kościołach. Na liście miejsc ukryć, którą odnaleziono w gruzach Wrocławia, nie ma jednak zamku Czocha. A miejsce to idealnie nadawało się do zabezpieczenia kilku, jeżeli nie kilkunastu, skrzyń z dziełami sztuki. Można tu było ukryć nawet znacznie większe rzeczy. Rzeźby, zbroje. Grundmann znał przecież Czochę od najmłodszych lat; spędzał je u swoich lubańskich dziadków. Dlaczego więc nie wytypował zamku na skrytkę? Podobno istnieje druga lista Grundmanna. Nie niej może znajdować się leśniański zamek. Ale jest jeszcze jedna możliwość. Konserwator nie brał zamku pod uwagę, bo wiedział, że ma on inne przeznaczenie i nie powinien zbytnio zwracać uwagi. Poza tym skarbów na miejscu i tak było w bród.

I znowu kolejny rozdział tej książki kończy się znakiem zapytania. Nie dowiemy się do końca, czy rzeczywiście von Braun pracował w zamku. Nie wyjaśnimy też, jaka produkcja miała rozpocząć się w korytarzach wyrytych przy drodze łączącej dwa zamki. Czy miały prowadzić do tak olbrzymiego kompleksu podziemi, jak ten w Górach Sowich?

Z pewnością jednak pod tymi znakami zapytania kryje się gdzieś historia cudownej, niemieckiej broni – ostatniej nadziei Hitlera. Poza tym... W 1941 roku Niemcy mieli kilkuletnią przewagę nad Amerykanami w zaawansowaniu prac nad projektem jądrowym. Gdyby Niemcom udało się połączyć badania nad V-2 z projektem broni jądrowej, losy świata potoczyłyby się zupełnie inaczej...

Sztolnie przy drodze Leśna–Świecie

Wejścia do sztolni znajdują się po lewej stronie drogi prowadzącej z Leśnej do Świecia. Część z nich jest okratowana, często stoi w nich woda. Nie warto przedzierać się przez kraty, widziałam kiedyś jak pomiędzy prętami zaklinował się jeden z eksploratorów. Sztolnie są niewielkie, pozostawiono w początkowej fazie budowy. Po prostu zajrzyjcie do tych, które są otwarte. Ruiny po prawej stronie drogi to ślady po obozie pracy – wartownie i stacja transformatorowa.

Wychodzimy z podziemia

Obejrzyjcie okoliczne zabytki. Na początek wybierzcie **zamek Czocha w Leśnej**. Stoi nad Jeziorem Leśniańskim, na którym w latach dwudziestych XX wieku wybudowano potężną zaporę. Koniecznie trzeba ją zobaczyć. Robi imponujące wrażenie. Dojdziecie bądź dojedziecie do niej ze Złotnik Lubańskich. Z Czochy kierujcie się w kierunku Złotnik, po lewej stronie zobaczycie sa-

motną wieżę, która dziś pełni rolę punktu wypoczynkowego, w rzeczywistości jednak to pozostałość po straconce, dawnej szubienicy. Mińcie wieżę i podążajcie za asfaltową drogą. Po prawej miniecie ośrodek wypoczynkowy z kawiarenką (dają tu świetne lody). Za kawiarnią znajduje się parking, dalej trzeba iść pieszo. Po 5 minutach spaceru, dojdziecie do przejścia wyrąbanego w skale, a dalej... po prostu zapiera dech. Druga taka zaporą, chociaż nieco mniejsza (23 m wysokości) znajduje się na Jeziorze Złotnickim, 120-hektarowym bracie Jeziora Leśniańskiego. Aby do niej dojechać kierujcie się z zamku na Lubań, po prawej zobaczycie asfaltową drogę prowadzącą do ośrodków wypoczynkowych i na niewielką plażę. Trzeba je minąć i jechać dalej. Za chwilę dotrzecie do zapory.

Po drugiej stronie Jeziora Leśniańskiego, w Zapuście stoją **ruiny zamczku Rajsko**. Przed wojną znajdowało się tu schronisko młodzieżowe, a jeszcze wcześniej coś w rodzaju prywatnej galerii. Oprócz sztuki etruskiej i rzymskiej, właściciel miał jeszcze sporą kolekcję obrazów wybitnych mistrzów. **Pałac w Biedrzychowicach**, w którym mieści się dzisiaj szkoła, krył natomiast wspaniały zbiór egipskich mumii. Podobno można tu spotkać starożytne duchy.

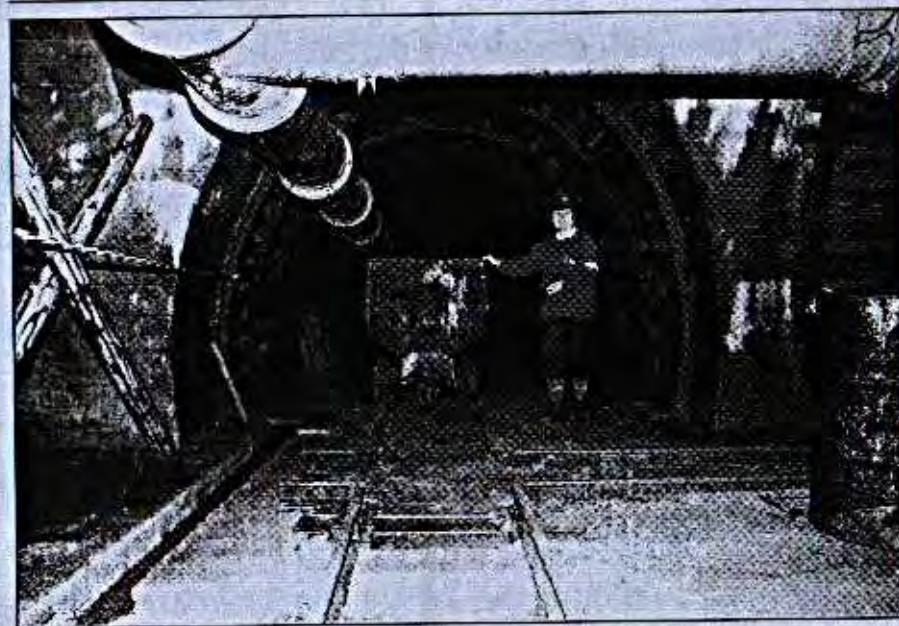
W okolicy warto też zajrzeć do dwóch kolejnych zamków. To **Świecie** (w ostateczności, jeśli nie macie zbyt wiele czasu można ominąć ten punkt programu; po wizycie w Czosze niewiele tutaj zabytków zrobi na Was wrażenie) i **Gryf w Proszówce**. Gryf ma skomplikowaną historię. Wystarczy wspomnieć, że prawdopodobnie w czasie II wojny światowej ukryto tu wywiezione z zamku Grodziec dobra, a w 1963 roku jedna z mieszkanek Proszówki oświadczyła, że w starych murach ukazała się jej Matka Boska.

Labirynty Uranosa

*Sen kowala * Kryptonim BONIT * Ilu robotników pracowało w podziemiach? * Wieś strażników tajemnicy * Nadchodzą radzieccy naukowcy * Rynek zapada się pod ziemię * Labirynty Uranosa * Woda, która przywraca męskość*

Historia Kowar to połączenie opowieści o niemieckich UFO, tajnych fabrykach z czasów II wojny światowej, skarbach ukrytych w podziemiach i pierwszej, radzieckiej bombie atomowej. Legenda mówi, że górnicy, którzy pracowali przy wydobywaniu tutejszego uranu, byli tak silnie napromieniowani, że w ciemności świeciły im twarze. Władysław Adamski, jeden z byłych dyrektorów kopalni, twierdzi jednak, że to nieprawda. Nie zaprzecza natomiast, że w kowarskich sztolniach tajemnica goni tajemnicę.

Zaczął się od snu. Gdzieś tak w początkach XII wieku biedny kowal usłyszał w nocy głos, który kazał mu iść na kamienne usypiska koło Kowar. Miał tam tak długo uderzać młotkiem o skałę, aż żelazo zamieni się w złoto. Kowal niewiele miał do stracenia, już dawno porzucił nadzieję na majątek, a właśnie planował małżeństwo z córką bogatego gospodarza. Poszedł więc we wskazane miejsce. Okazało się, że znajdują się tam pokłady rudy żelaznej, która dla kowali była cenniejsza niż złoto. Szybko powstała więc kopalnia. Średniowieczna tradycja natomiast przypisuje jej założenie w 1148 roku mistrzowi górniczemu, Walończykowi – Laurentiusowi Angelusowi. I chociaż od tej pory historia miasta miała być nierozdzielnie związana z wydobywaniem rud, to sławę przyniósł Kowarom dopiero uran. Niemcy rozpoczęli jego pozyskiwanie w kopalni żelaza w 1926 roku. Najpierw ruda stanowiła pro-



Przewodnicy oprowadzający po podziemiach twierdzą, że tutejsze sztolnie kryją wiele tajemnic



W ciemnych korytarzach można spotkać św. Barbarę błogosławiącą górników

dukt uboczny i wywożono ją na haldy. W następnych latach służyła za surowiec do pozyskiwania radu przydatnego w leczeniu niektórych schorzeń. Wszystko dla dobra ludzkości.

Ale już w czasie II wojny światowej w okolicy Kowar zaczęły dziać się dziwne rzeczy. W zakładach bielarskich ruszyła produkcja brezentu na plandeki dla pojazdów wojskowych, natomiast bielnik w pobliskiej Krzaczyńce został zburzony. W jego miejscu stanęły zakłady lotnicze, które otrzymały kryptonim BONIT. I tu zaczyna się jedna z najbardziej zagadkowych historii Dolnego Śląska, tajemnica, o której rozwiązaniu marzą wszyscy poszukiwacze skarbów. Wiadomo, że BONIT zajmował się szeroką produkcją. Montowano tu m.in. silniki do torped przywożonych z Piechowic. Potem sprawdzano ich szczelność w specjalnym, zadaszonym zbiorniku wypełnionym wodą. Jak pisze Bogdan Woźniesiński w publikacji *Krzaczyna – zakład lotniczy, podziemna produkcja, ukryty reaktor atomowy*¹: „BONIT kooperował z firmą w Ogorzelcu skąd przywożono śmigła, z warsztatem obecnej kotłowni sanatorium «Bukowiec», gdzie montowano przyrządy pokładowe; z dużymi magazynami w miejscu niedawnej «drogówki» w Kowarach; z Piechowicami (bomby ćwiczebne i torpedy); z biurem konstrukcyjnym w Kamiennej Górze (samoloty ARADO-234 napędzane silnikami turboodrutowymi); z zakładem włókienniczym w Bolesławcu (silniki lotnicze)”. Można więc sobie wyobrazić, jak potężna musiała to być produkcja.

Ale już wtedy zaczęły pojawiać się pierwsze wątpliwości. Dlaczego, mimo że Niemcy zatrudniali zaledwie 1000 osób, kucharki musiały przygotowywać dodatkowo posiłki, które potem wartownicy zabierali w termosach nie wiadomo dokąd? Dlaczego, mimo że warunki pracy nie były zbyt ciężkie, dookoła zaczęły pojawiać się zbiorowe mogiły? W końcu coraz szybciej roznosiła się pogłoska, że w Krzaczyńce uruchomiono podziemną fabrykę, a w zbudowanych głęboko pod powierzchnią ziemi halach znajdował się ukryty reaktor atomowy. Bliskość złóż uranu potwierdzała taką hipotezę. Jeden z Niemców opowiadał, jak w małych Budnikach zakwaterowano wartowników, którzy każdej nocy przychodzili wylączyć wentylatory podziemnych zakładów. W pobliżu odnaleziony został niewielki korytarz zaopatrzony w elektryczność. Po wojnie dzieci wynosiły z niego helmy i maski przeciwgazowe.

¹ Ten artykuł ukazał się w „Kurierze Kowarskim”, nr 3/1999.

Oddajmy jeszcze na chwilę głos Bogdanowi Woźniesińskiemu²:

„Zapomnianą wioską zainteresowało się wojsko. Wybudowano dwa betonowe budynki z przeznaczeniem na hotele. Podobno mieli tam szkolić oddziały dywersyjne. Wiąże się z tym zagadkowa historia. Z prac badawczych historyków, Kuzowkina, Szulmana, Szurinowa, Strangesa i Niemca Gerda Burde (*Geheimnisse des dritten Reichs – Tajemnice Trzeciej Reszy*) wynika, że Niemcy prowadzili tajne badania nad latającym dyskiem, który miał osiągnąć prędkość 2,5 macha, przy udźwigu kilku ton. W dalszej perspektywie miał być napędzany silnikiem jądrowym. Stąd zakłady zlokalizowano w pobliżu złóż uranu, a hotele dla naukowców w pobliskich lasach. Można to połączyć z podziemiami w Krzaczyńce. Ponadto ustalono trasę przewozu dokumentacji tego pojazdu z pracowni Miethego i Habermohla z oblężonego Wrocławia do Sowiej Dolny lub Kowarskiego Grzbietu. Dziś Budniki niczym nie przypominają swojej ciekawej i zagadkowej historii. Na zboczach kotliny rosną młode świerki. Za dwadzieścia lat, kiedy urosną, osłonią kamienne miedze. Wtedy nikt się nie domyśli, kto i po co je układał”.

Najnowsze badania podważają co prawda hipotezę, że Niemcy rzeczywiście wyprodukowali ogromny latający spodek, niemniej jednak prowadzili przecież zaawansowane badania nad bronią jądrową. Historia Krzaczyńce, mimo upływu lat, cały czas wzbudza emocje. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych eksploratorzy odnaleźli zakratowane ujście czerpni powietrza. Potem jakaś niewidzialna ręka wysadziła je w powietrze. Co takiego znajduje się jeszcze w podziemiach, że komuś zależało, aby pozostało w ukryciu? Zdaniem poszukiwaczy w fabryce czekała dziesiątki kilogramów platyny i tony technicznego srebra w najczystszej postaci, przeznaczonego do celów produkcyjnych. Dlatego eksploratorzy są tak zazdrośni o tę tajemnicę. Liczą na prawdziwe skarby.

We wrześniu 1945 roku fabrykę w Krzaczyńce przejęli Polacy. Oczywiście nie zdawali sobie sprawy z istnienia podziemi. Ponad dwa lata później, 1 stycznia 1948 roku, BONIT znalazł się w rękach Rosjan. W dziejach Kowar rozpoczął się zupełnie nowy rozdział. Teraz tutejszym uranem zajął się przemysł ZSRR. Krąży nawet plotka, że pierwszą radziecką bombę atomową wyprodukowano z tutejszego uranu.

² Ten fragment pochodzi z publikacji *Dysk nie wystartował*, która znalazła się w biuletynie wydanym z okazji X Zjazdu Miłośników Eksploracji w Wojanowie-Bobrowie w 1999 roku.

Kiedy w 1947 roku w mieście zjawiała się grupa radzieckich geologów, cały świat słyszał już o Hiroszimie i o tym, że w wyścigu zbrojeń Amerykanie pokonali resztę świata. Rosyjscy naukowcy szybko musieli nadrobić stracony czas. Postanowili szukać w Polsce, bo po pierwsze nie znali zasobów swojego kraju, po drugie zaś Niemcy pozostawili bogatą dokumentację. Na Dolnym Śląsku rosyjscy geolodzy zbadali 70 miejsc. Część pokładów, m.in. we Wleniu, Rzeszówku, Karpaczu i Szklarskiej Porębie wyeksploatowano już w trakcie rozpoznania. Geolodzy wiele obiecywali sobie również po Kletnie i Miedziance. Centralną pozycję w radzieckich planach zajmować miały jednak Kowary. Przedsiębiorstwo noszące początkowo nazwę „Kopalnie Kowarskie” zmieniło ją na nic nie mówiące „Zakłady Przemysłowe R-1”. Wszystko, co się tu działo, było w najwyższym stopniu tajne. Na rogatkach miasta pojawiły się posterunki wojskowe, obiektów przemysłowych pilnowali teraz żołnierze z Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego, UB i specjalna jednostka NKWD. Kowary stały się miastem zamkniętym.

– Na ścianie budynku dyrekcji widać ślad po kuli. To wartownik tłumaczył wiceministrowi handlu zagranicznego, że nie można tu wejść bez przepustki – wspomina Władysław Adamski, były dyrektor kopalni.

– Pracowników zobowiązywano do podpisania szczególnego oświadczenia o zachowaniu tajemnicy państwowej. Wielokrotnie zmuszano ich do pisania życiorysów, sprawdzano, czy nie należeli w okresie wojny do Armii Krajowej i innych, uznanych za nielegalne organizacji oraz czy nie mają krewnych na Zachodzie – pisze Mirosław Zdulski w artykule *Institucja totalna w monocentrycznym ładzie społecznym*³ – Ponadto NKWD nachodziło ludzi, wzywało ich po kilka razy w miesiącu. Przesłuchiwali wojskowi z bronią, przypominali o tajemnicy. W przypadku najmniejszych podejrzeń pracownicy otrzymywali dobę na opuszczenie Kowar. Zdarzały się wypadki, że ludzie znikali z dnia na dzień. Nagle nie pojawiali się w pracy, a następnego dnia w mieszkaniach nie było ich rodzin.

Oprócz górników, w najgroźniejszych regionach kopalni pracowali więźniowie. Do Kowar sprowadzano również żołnierzy. W 1950 roku pracowało tu około 7000 ludzi. Większość z nich zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jaki wpływ na ich organizm ma uran.

³ Artykuł ten ukazał się w „Roczniku Jeleniogórskim” XXXI/1999. Autor omawia w nim publikacje prasowe dotyczące Kowar, więc zacytowane tutaj wnioski są wynikiem badania licznych publikacji.

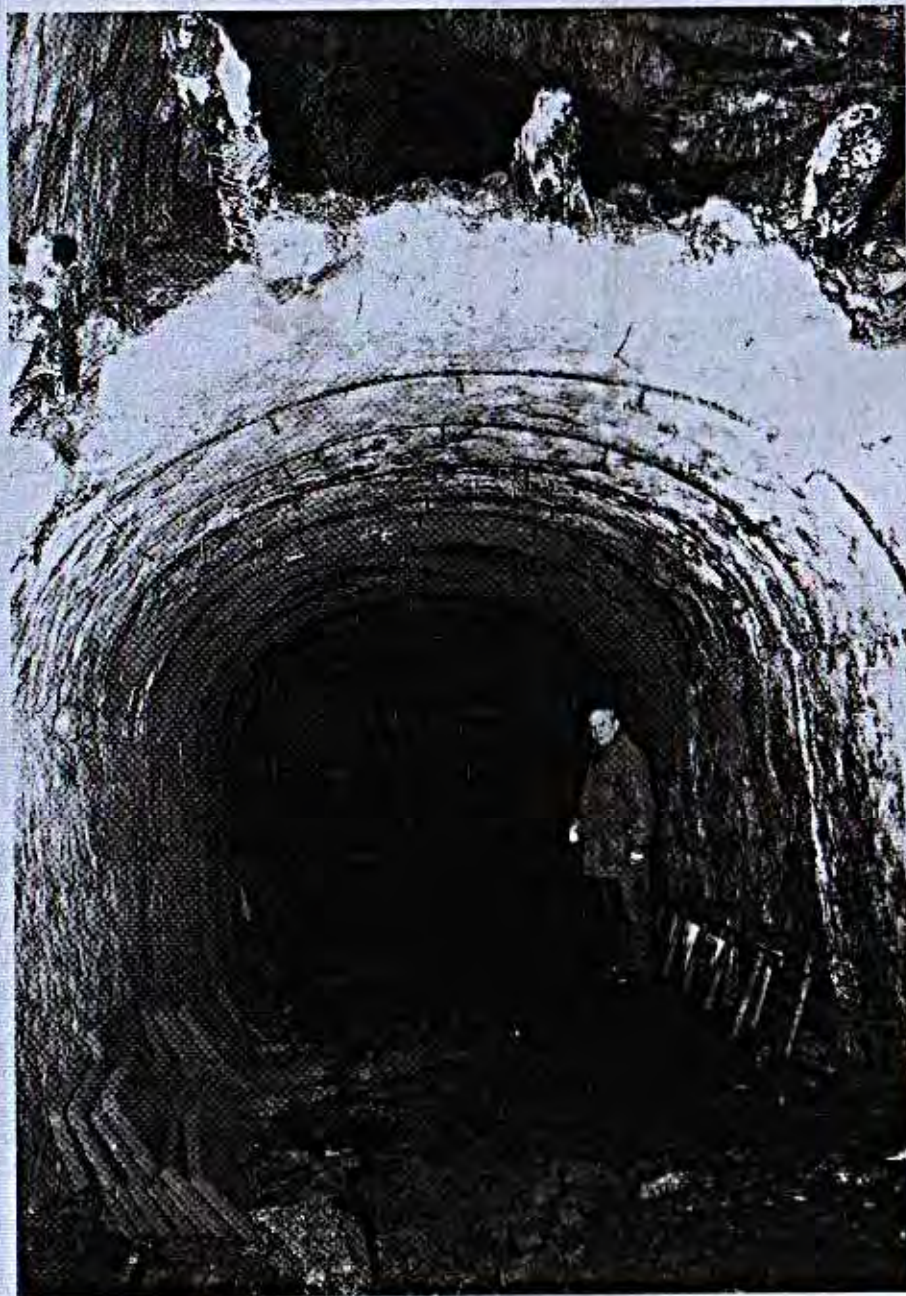
– Rosjanie pakowali urobek na samochody, pilnowało ich po sześciu żołnierzy z automatami. Warunki były ciężkie, a my nie mieliśmy żadnego zabezpieczenia przed promieniowaniem. Dostaliśmy tylko drelichowe ubrania i buty, urobek ładowaliśmy gołymi rękami – wspomina Stefan Morawski, który w Kowarach pracował od grudnia 1949 roku do października 1952. Do takiej pracy został zmuszony w czasie odbywania służby wojskowej – Praca w kopalni była niebezpieczna. W czasie mego pobytu w Kowarach zginęło dziesięć osób. Rodziny dowiedziały się, że poległ w służbie ojczyzny. Kiedy skończyłem pracę to pieniądze, które dostałem, starczyły na 10 paczek papierosów i 5 litrów wódki. I do tego te prelekcje wygłaszane każdego wieczora przez rosyjskich oficerów. O partii, wyższości socjalizmu. Co oni za głupoty gadali.

– W kwietniu 1951 roku przyszedł do mnie aparatowy Rosjanin, a ja mu się zwierzyłem, że jak pracuję przy uranie to codziennie bolą mnie zęby. Wówczas on mi wyjaśnił, że to z powodu uranu i że w Rosji też ci, co pracowali przy uranie, to najpierw skarżyli się na ból zębów, a później umierali. Prosił mnie tylko, żebym nikomu o tym nie mówił, bo czekało go za to więzienie – skarżył się jeden z górników w 1971 roku, kiedy odmówiono mu odszkodowania za chorobę zawodową.

Od 1948 do 1962 roku Zakłady R-1 w Kowarach wyeksportowały do Związku Radzieckiego 600 ton uranu. Franciszek Gawor, były dyrektor kopalni, twierdzi, że taka ilość starczyła do wyprodukowania 200 głowic jądrowych. Można tym zniszczyć życie na całej kuli ziemskiej. Już pod koniec 1946 roku w reaktorze pod Moskwą została przeprowadzona kontrolowana reakcja jądrowa. Uran stał się cenniejszy od złota. 29 sierpnia 1945 roku eksplodowała pierwsza radziecka bomba atomowa. Amerykanie byli w szoku. Ich samolot-laboratorium wykrył ślady wysokiego promieniowania w Azji. Zachód był przekonany, że Rosjanie nie skonstruują bomby przed 1956 rokiem. Czy udało się to dzięki uranowi z Kowar? Na odpowiedź na to pytanie trzeba będzie pewnie jeszcze poczekać.

W 1962 roku wydobycie uranu przestało być opłacalne. Wtedy też zlikwidowane zostały zakłady R-1. Po eksploatacji rud zostały 24 sztolnie i problem byłych pracowników, z których wielu zmarło, a wielu do dzisiaj choruje. Zostały też ogromne dziury.

O ile Kowary wyszły z „rosyjskiego okresu” niemal obronną ręką, to Miedzianka, w której również eksploatowany był uran, niemal zapadła się pod ziemię. Niemcy przekazali Rosjanom całą dokumentację kopal-



Inż. Franciszek Gawor twierdzi, że z pozyskanego w Kowarach uranu można było wyprodukować 200 głowic jądrowych.

nianą z planami przebiegu tuneli. Natomiast odjeżdżający Rosjanie nie zostawili Polakom zupełnie nic. W miejscu, w którym stał niegdyś zażytkowy rynek i ewangelicki kościół, dzisiaj rośnie trawa. Z kwitnącego miasteczka, Miedzianka zamieniła się w malutką, zagubioną na końcu świata wioskę. Dawne kopalnie dają o sobie co chwilę znać, bo w rozmiękczonej po powodzi ziemi pojawiają się głębokie i niebezpieczne leje. Mimo to dziwnym trafem Miedzianka jest jednym z najpiękniej położonych na Dolnym Śląsku miejsc. Jest też niezwykle tajemnicza, bo tutaj właśnie Niemcy mieli ukryć transport, który składał się z 57 wagonów. Skład skończył podróż w Jeleniej Górze, a ładunek pojechał do Janowic, a potem do starych sztolni Miedzianki. Legenda mówi, że Janowice i Miedziankę łączył w tych czasach podziemny tunel. To jednak tylko legenda. Podobne, niesamowite historie krążą również o sztolniach w Kowarach.

29 kwietnia 2000 kowarskie podziemia zostały udostępnione do zwiedzania. Turyści oglądają sztolnię nr 9, z liczącymi prawie 1200 m bocznymi chodnikami. To sztolnia poszukiwawcza z lat pięćdziesiątych. Właściwa kopalnia uranu znajdowała się nieco dalej. Dlatego, jak twierdzi inż. Franciszek Gawor, w korytarzach nie ma szkodliwego promieniowania. Czeka ją za to liczne niespodzianki. Kiedy do sztolni weszli przewodnicy okazało się, że...

– Znaleźliśmy w naszej kopalni miejsce, które jest zamurowane. Po prostu brakuje fragmentu korytarza – opowiada Barbara Badowska-Średniawa, kierująca ruchem turystycznym w kowarskich sztolniach – Kiedyś się śmiałam, że może jest tam zamurowany oficer NKWD. I co się okazało, że rzeczywiście zaginął tu kiedyś NKWDowiec. W sztolni brakuje 8 m, ciekawe co jest w środku?

Po kopalniach uranowych jedną część podziemi przejęła Politechnika Wrocławska. Instytut Górnictwa zbudował tu podziemne laboratorium.

– Studenci mieli w nim ćwiczenia z materiałami wybuchowymi i zapalnikami – opowiada inż. Franciszek Gawor – Potem w sztolni uruchomiono jedyne w Polsce inhalatorium radonowe. Dowożono tu na inhalacje kuracjuszy z Cieplić. Niedawno jednak odkryliśmy, że natura dała nam jeszcze coś, co przynosi nie tylko zdrowie...

Jest takie miejsce w sztolni, w którym wypływa wąska stróżka wody. Legenda mówi, że wodę tę ofiarował tutejszym górnikom Priap – grecki bóg płodności. Zeusa wygnał go z Olimpu, a wiatry rzuciły Priapa w okolice Kowar. Górnicy przyjęli dziwnego przybysza. Dobrze

kilka lat razem pracowali, aż rachityczny bożek nabrał tężyzny i zaczął się przyzwyczajać do godzin spędzanych w kopalni. Nicoczekiwanie jednak Zeus przypomniał sobie o wygnańcu. Bez bożka płodności świat stanął w miejscu. Na Olimpie postanowiono, że Priap musi wrócić. I tak też się stało. Na odchodnym podarował jednak górnikom z Kowar cudowną wodę. Przywracała męskość i chęć do życia. Każdy kto wejdzie do kowarskich sztolni może jej sobie nabrać do buteleczki. Wierzyć, nie wierzyć, ale spróbować zawsze warto.

Nad wszystkim zaś czuwa bóg Uranos, uosobienie nieba, mąż Gai – Ziemi. Ojciec tytanów, cyklopów i sturękich olbrzymów. Uran, siódma planeta od Słońca, została odkryta w tym samym dziesięcioleciu, co pierwiastek o tej samej nazwie. Ileż znaczeń może mieć jedno słowo. W zależności od tego w czyich ustach, oznacza moc, przeszeń, narodziny albo śmierć.

Sztolnie Kowary Kowarskie Kopalnie Żelaza i Uranu

Organizator: Barbara Badowska-Średniawa 58-530 Kowary,
skr. poczt. 4; tel./fax 075 7616318, 090604303

Sztolnie Kowary znajdują się w Kowarach-Pogórze. Dojazd jest w miarę dobrze oznakowany. Jeżeli jedziecie autobusem, wysiądźcie w Kowarach Pogórze, a potem czeka Was ponad kilometrowy spacer. Dla zmotoryzowanych przeznaczony jest parking znajdujący się około 600 m od wejścia do kopalni. Sztolnie udostępnione są do zwiedzania przez cały rok, pierwsze wejście o godz. 9, ostatnie o 17. Trasa ma łączną długość 1200 m. Zwiedzanie trwa ponad godzinę.

W samych sztolniach na zwiedzających czeka wiele niespodzianek. Oprócz ekspozycji minerałów, spotkacie tu św. Barbarę błogosławiącą górników oraz pracujących gwarków. To wszystko

oczywiście rzeźby, ale na pierwszy rzut oka można się pomylić. Każdy może też spróbować wody przywracającej siły życiowe, którą właściciele sztolni nazwali „Potencjalką”.

Wychodzimy z podziemi

Jeżeli jesteście już w Kowarach, zajrzyjcie do pobliskiego **Bukowca**. Właścicielką tamtejszego pałacu była hrabina von Reden, dzięki której do Karpacza trafiła świątynia Wang. Pałac w Bukowcu do najpiękniejszych nie należy, jest tu natomiast cudowny, romantyczny park, świetnie nadający się na dłuższe spacery albo wycieczki rowerowe. Na kilkudziesięciu hektarach każde, wyglądające na przypadkowe drzewo, ma swoje miejsce. Park został zaplanowany z pewną ideą. Miał pokazywać etapy rozwoju ludzkości. Stąd nad stawami powstawały liczne budowle: grotta człowieka pierwotnego, świątynia Ateny, średniowieczne opactwo. Dziś znajdziecie niektóre z nich. Oprócz ruin opactwa i świątyni, w parku znajduje się też zdewastowana wieża widokowa i dom ogrodnika.

Z Bukowca wybierzcie się do **Karpnik** – po drodze ładnie położona nad wodą smażalnia ryb w Krogulcu. W Karpnikach znajdują się niezwykle ciekawe, zabytkowe budowle – willa pani Achinger i zamek, zbudowany podobno przez templariuszy. Oba obiekty są w prywatnych rękach nie zostały udostępnione do zwiedzania, ale warto tu przyjechać i przyrzeć się im chociaż z daleka. W pobliżu warto jeszcze zajrzeć do **Wojanowa-Bobrowa**, gdzie znajduje się jeden z najdziwniejszych zamków Dolnego Śląska. Delikatna konstrukcja części mieszkalnej została otoczona potężnym murem, nazywanym często rzymskim obozem. Legenda mówi, że tutejszy właściciel miał niewytłumaczalne lęki i kazał obudować pałac murem.

Z Wojanowa-Bobrowa macie zaledwie kilka kilometrów do **Łomnicy**, gdzie we Wdowim Domu koło pałacu znajduje się hotel i restauracja z umiarkowanymi cenami. W pobliskich **Mysłakowicach** obejrzyjcie zamek i domy tyrolskie.

Fabryka śmierci

*Plany siedmiu hal * Maszyny zabierają ludzi * Jak sztolnie zabiły saperów * Co jest w podziemiach? * Śmierć sponsora * Niemka wie, gdzie są hale * Skrzynie ukryte w zamku*

Najpierw wzgórze zabiło trzech polskich saperów. Kiedy tunele usiłowali sforsować radzieccy żołnierze, zaminowane podziemia eksplodowały z taką siłą, że do leja, który został po wybuchu wpadły rosnące dookoła drzewa. Dlatego eksploratorzy postanowili wejść do podziemi od góry. Do odkrycia tajemnicy brakuje ciągle 50 m. Dziurę takiej głębokości należy wywiercić w szczycie wzgórza, aby specjalna kamera mogła zjechać do podziemnej hali.

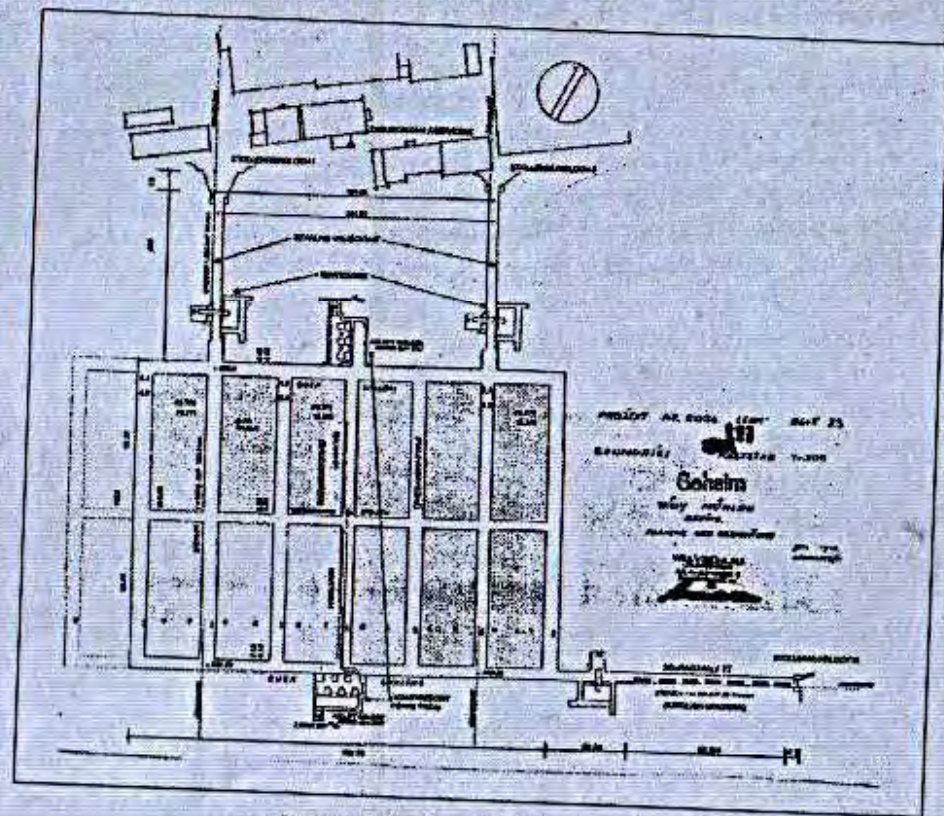
Być może nikt nie dowiedziałby się, że Góra Ryszarda w Bolkowie kryje w swoim wnętrzu ogromną fabrykę, gdyby nie przypadek. Dwa lata temu w niemieckim archiwum odnaleziono plany siedmiu połączonych z sobą hal. Nikt z początku nie wiedział, jakie było ich przeznaczenie, przypuszczano jednak, że chodzi o duży podziemny obiekt z czasów II wojny światowej. Plany zostały przesłane do Mieczysława Bojko, prezesa Towarzystwa Poszukiwań Zaginionych Zabytków „Talpa”. Bojko ustalił, że obiekt z planów może znajdować się w Bolkowie, ściśle mówiąc we wnętrzu Góry Ryszarda. Budujący fabrykę Niemcy wybrali 28 000 m³ skały. Do hal o długości 105 m i wysokości 6 m prowadzić miały 3 sztolnie. Wejść do nich należało szukać na terenie dzisiejszych Zakładów Przemysłu Lniarskiego „Silena” w Bolkowie.

O możliwości istnienia podziemnej fabryki wspominał kilka lat temu Stanisław Siorek, nieżyjący już badacz wojennych tajemnic Dolnego Śląska. Powołując się na odnalezione we wrocławskim Archiwum Pań-

Fabryka śmierci

stwowym dokumenty twierdził, że w Bolkowie funkcjonowały naziemno-podziemne zakłady lotnicze o nazwie VDM Luftfahrewerke AG. Ten tajemniczo brzmiący skrót to Vereingte Deutsche Maschinerwerke, czyli państwowe zakłady lotnicze, należące do Zjednoczenia Niemieckiego Przemysłu Maszynowego. Zdaniem Siorka fabryka lotnicza funkcjonowała też w pobliskich Świnach, a pod zamkiem w Płoninie miały się znajdować rozległe podziemia, połączone z Bolkowem, odległym o 7 km podziemnym tunelem. Tunel taki miał łączyć również Bolków z zamkiem w Świnach.

Fabryka w Bolkowie znajduje się na tzw. Wykazie Wróbla, liście funkcjonujących w czasie II wojny światowej zakładów produkujących na potrzeby wojska. Bogusław Wróbel, redaktor naczelny magazynu „Eksplorator” mówi, że wszystkie obiekty z jego wykazu mają zarówno część nadziemną, jak i podziemną. Tak samo musi być więc i w Bolkowie.



Plan podziemi pod Górą Ryszarda

– Z naszych informacji wynika, że na początku 1944 roku do Bolkowa przeniesiono z Hamburga zakłady lotnicze. Wiązało się to z przywiezieniem supernowoczesnego, jak na tamte czasy, sprzętu – opowiada Mieczysław Bojko, prezes „Talpy” – Kiedy weszli tu Rosjanie, to nie wiedzieli do czego służy większość sprzętu. Dlatego maszyny wywozili na platformach prosto do pociągu i sprzęt odjechał na Wschód razem z całą obsługą. Ten, kto pracował przy danej maszynie, musiał po prostu z nią pojechać. Nie miał innego wyjścia.

W naziemnej części zakładów pracowali Żydzi z bolkowskiej filii obozu w Gross-Rosen. W części podziemnej mieli pracować jeńcy rosyjscy, których obóz miał się znajdować zaraz obok żydowskiego i o którym do dziś nic nie wiadomo. Jasnowidz spod Jeleniej Góry, którego Mieczysław Bojko sprowadził na Górę Ryszarda, twierdzi, że w jej wnętrzu znajduje się masowy grób. Jasnowidz podał nawet liczbę ciał znajdujących się w zawalonej fabryce – dokładnie 132 jeńców. Z fabryką w Górze Ryszarda wiążą się też opowieści o skarbach – tutaj rzekomo miały trafić okrucy bezcennej Kolekcji Praskiej, do Bolkowa również prowadziły ślady transportu z dziełami sztuki, który na polecenie Hansa Franka jechał do Sichowa i nigdy tam nie dotarł.

A jeżeli odrzucić historię o złocie i dziełach sztuki, ciągle pozostaje tajemnica samej fabryki. Jak miała wyglądać, jaką jej część wykonano, na co naprawdę można natrafić w jej podziemiach.

– Oficjalnie w fabryce produkowano części do silników lotniczych oraz części do urządzeń optycznych. Na pewno robiono tu też części do rakiet V-2 – opowiada Mieczysław Bojko – Tuż przed nadejściem frontu Niemcy zaminowali i wysadzili wejścia do fabryki. W 1947 roku do podziemi usiłowała się dostać ekipa polskich saperów; w wyniku eksplozji dwóch żołnierzy zginęło, a trzech zostało rannych.

Wkrótce do zakładu usiłują dostać się Rosjanie. Przekopują pierwszą warstwę zawalonych skał i trafiają na wielkie miny. Tym razem wybuch powoduje śmierć pięciu osób. Do ogromnego, powstałego w wyniku eksplozji leja powpadały rosnące dookoła drzewa. Kolejni śmiałkowie próbują wejść do fabryki dopiero w 1997 roku.

– Wtedy Towarzystwo Poszukiwań Zaginionych Zabytków „Talpa” podpisało umowę z miastem i zakładami Lniarskimi, na terenie których miały znajdować się wejścia do podziemnej części fabryki – mówi Mieczysław Bojko, prezes „Talpy”. Początkowo prace firmowało towarzystwo Poszukiwań Zabytków z Warszawy. Później już pracowaliśmy sa-

modzielnie. Z planów, a także ze zbieranych przez nas informacji wynikało, że w czasie wojny prowadzono prace produkcyjne już w dwóch halach. Inne prawdopodobnie nie były jeszcze wykończone. Ich powierzchnia wynosi 3850 m². To są ogromne podziemia. Prowadząc do nich trzy korytarze komunikacyjne. Wejścia do dwóch znajdują się w północnym stoku góry, trzecie na południowym wschodzie. Szerokość hal wynosi 3,45 m, długość każdej 152 m. Sztolnie pierwsza i trzecia są zawalone, druga była zaminowywana co kilka metrów i tak wysadzana. W każdej sztolni jest śluza i drzwi pancerne ze betonu i stali o grubości 180 cm.

Poszukiwacze zaczęli prace od sztolni numer jeden. Przekopali 67 m. Potem eksplorowali przejście numer trzy. Przedłużyli istniejący korytarz dochodząc prawdopodobnie w miejsce znajdujące się 9 m nad jedną z hal. Prace sponsorował Roman Jaworski, zastrzelony później w Kowarach przed własnym domem.

– Na eksplorację pierwszej sztolni dał 400 milionów starych złotych, na trzecią 800 milionów. Początkowo Jaworskiego nie interesowała w ogóle ta tematyka, długo trzeba go było przekonywać. Kiedy go zastrzelono, jego śmierć wiązano ze skarbem i wykopaliskami. Ale to nie prawda. Trudno mi powiedzieć dlaczego zginął, ale na pewno nie z powodu Bolkowa – tłumaczy Mieczysław Bojko.

Jaworski skarbami zaczął interesować się dość późno. Prawdopodobnie wraz z własną ekipą usiłował eksplorować okolice Sobiesza. Trudno powiedzieć, na co liczył w przypadku Bolkowa. Dopiero z chwilą natrafienia na coś wyjątkowo interesującego brano pod uwagę zawarcie umowy rządowej. Jednak aż do śmierci sponsora nie udało się dotrzeć do wnętrza fabryki. Prace stanęły w miejscu.

– Sztolnie, które częściowo spenetrowaliśmy, nie są obetonowane, prawdopodobnie ich nie skończono – mówi prezes „Talpy”. Trudno powiedzieć, jak wyglądają hale. Mamy zeznania Niemki, która twierdzi, że jej brat (nadzorca) mówił, że na prawo od wejścia funkcjonowały dwie hale produkcyjne.

I znów musimy czekać. Członkowie „Talpy” obiecują, że prace doprowadzą do końca. Wtedy podziemia Góry Ryszarda zostaną udostępnione turystom. Ale podziemna fabryka to nie jedyna tajemnica Bolkowa. Z przekazów wynika, że w samym zamku ukryto w czasie II wojny światowej kilkanaście skrzyń. One też czekają na swoich odkrywców.

Spacer pod parkiem

*Tysiące ludzi ucieka do schronu * Każdy kamień ma swój numer * Ratusz dla wybranych * Sztab zarządzania kryzysowego schodzi pod ziemię * Sensacyjne odkrycie* Bunkrowa restauracja*

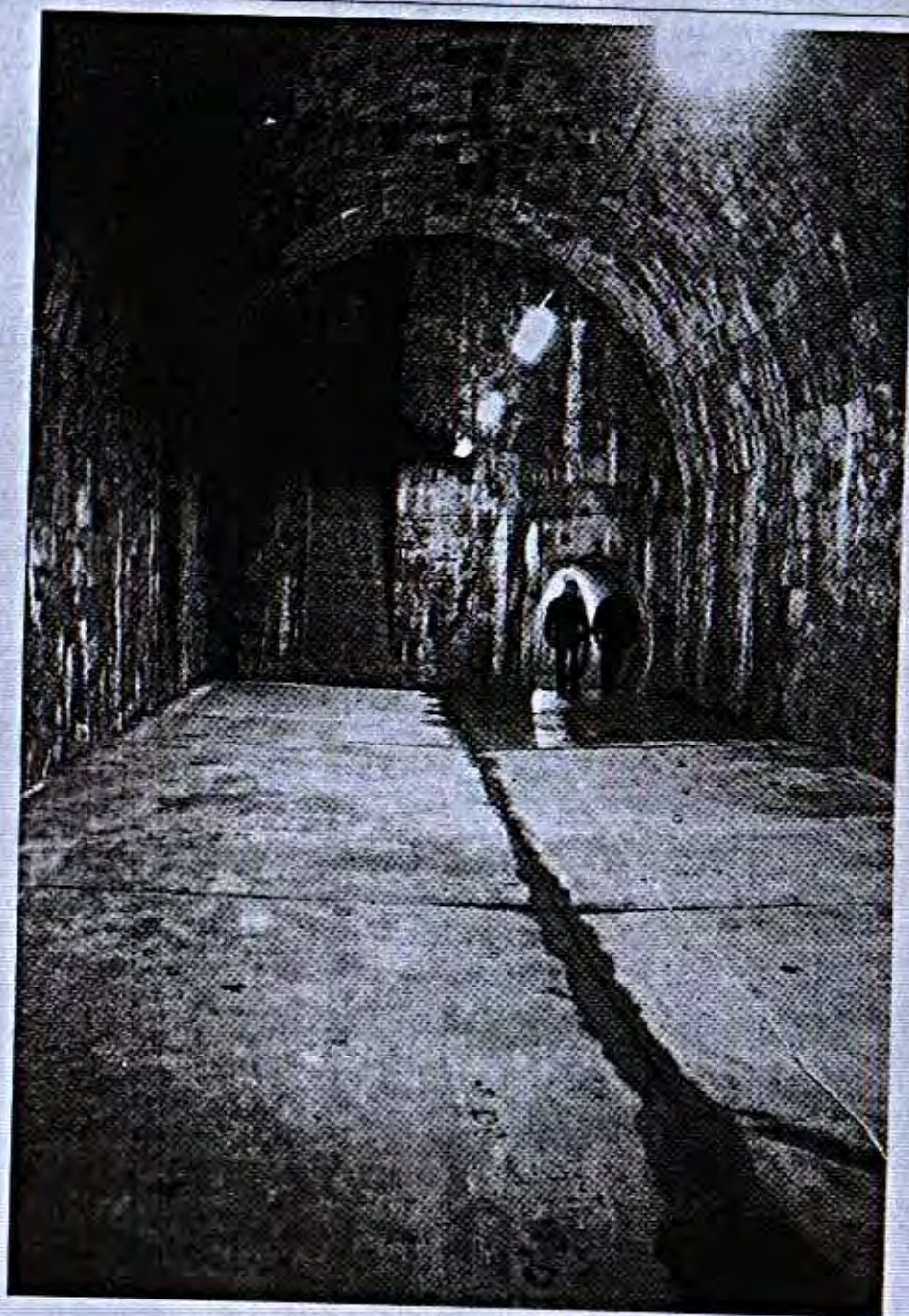
Kiedy w 1995 roku pisałam *Tajemnice ukrytych skarbów*, zgłosiło się kilkunastu świadków, pamiętających dziwne tunele i przejścia pod centrum Wrocławia. Powstała w ten sposób mapa podziemnego miasta – ukrytych głęboko szpitali, magazynów i schronów z czasów Festung Breslau. Mapa nie miała jednak nic wspólnego z praktyką. Do wielu, a w zasadzie do większości z opisywanych bunkrów, nigdy nie udało się odnaleźć. Podobnie jest w Jeleniej Górze. I tutaj świadkowie opowiadają o ukrytych przejściach łączących różne części miasta. Przygrywką do tej podziemnej podróży jest Wzgórze Kościuszki.

Wzgórze Kościuszki to właściwie centrum Jeleniej Góry. Dookoła zatłoczone ulice, ładne, przedwojenne domki. Na wzgórzu stary park, a pod parkiem... oczywiście podziemia. Rozległe i bardzo tajemnicze.

– System chodników budowali radzieccy jeńcy z komand znajdujących się na terenie fabryki papieru w Dąbrownicy. Mogło się tu podobno pomieścić około 10 000 ludzi – twierdzą Waclaw Kozłowski, zastępca szefa Miejskiego Inspektoratu Obrony Cywilnej w Jeleniej Górze, i inspektor Piotr Tutak.

Chodzimy sobie po wnętrzu góry. Nicktóre z korytarzy są bardzo wysokie i niezwykle malownicze. Wilgotne ściany delikatnie połyskują. Większość kamieni, z których zbudowano tunele ma swoje oznaczenia.

Spacer pod parkiem



W tych podziemiach każdy kamień ma swój numer

Wystarczy unieść głowę i czytać na półokrągło sklepionym suficie. Numeryki na blokach miały ułatwić więźniom ich układanie. Widać tu niemiecką dokładność. Starannie, niemal wykaligrafowane cyferki działają na wyobraźnię. Przypominają, że te korytarze nie powstały same. To wynik morderczej pracy setek ludzi. Wielki, zaokrąglony korytarz prowadzi do systemu komór i innych korytarzy. Część z nich została ukończona, część, wydrążona w piaskowcu przypomina trochę wejście do jaskini. Rozrzucone kamienie, zasypane ziemią i piaskiem rowy kryją liczne pułapki. To tylko fragment większego systemu.

W Jeleniej Górze podobne podziemia drążono w okolicach dworca kolejowego i rozbudowywanego w czasie II wojny światowej lotniska.

– Moim zdaniem przygotowywano tu schrony dla ludności cywilnej – mówi Mieczysław Bojko, prezes Towarzystwa Eksploracyjnego „Talpa” z Mysłakowic – W razie zagrożenia, w bunkrze pod ratuszem mieli się schronić ci najważniejsi. Pozostali kierowani byliby do innych podziemi. W schronach miał się znajdować, nazwijmy to, sztab dowodzenia kryzysowego. Nikt jednak nie zdążył go wykorzystać, bo działania wojenne ominęły Jelenią Górę. Mimo to, przygotowano tu nawet coś w rodzaju podziemnego szpitala.

Mieczysław Bojko twierdzi, że podziemia koło dworca i lotniska zamierzano połączyć podziemnymi korytarzami. W ten sposób powstałoby drugie podziemne miasto. W jego skład wchodziłyby też podziemia zamku Paulinum.

– Największe schrony zostały zlokalizowane koło lotniska. Miały spełniać funkcję magazynów przemysłowych. Ukrywano tu sprzęt zbrojeniowy. Są tam ślady po barakach i wartowniach. Na górcie widać ślady po wysadzonych wjazdach – opowiada prezes „Talpy” – Korytarze przy dworcu to typowe schrony dla ludności cywilnej. Na stojąco mogło się w nich zmieścić około 2000 ludzi. Ale podziemia miały też części, w których można było przeżyć nawet kilka tygodni.

Tak też przygotowywano hale pod Wzgórzem Kościuszki. Jeszcze w XIX wieku w tym miejscu wydrążono podziemia użytkowe. Wtedy wzgórze nazywało się Rycerskim. Tam właśnie przed wojną stała restauracja z obszerną piwnicą piwną oraz magazynami. Dzisiaj dawna restauracja to budynek LOK-u, który ma połączenie z podziemiami. Jest ono w tej chwili zamurowane.

W 1943 roku Niemcy zaczęli przystosowywać i rozbudowywać podziemia. Codziennie rano z Dąbrownicy ruszała 30-osobowa grupa



Nikt dokładnie nie wie, jak rozległe są podziemia Jeleniej Góry. Niektórzy porównują je do legendarnego podziemnego miasta pod Wrocławiem

Tajemnicze podziemia

więźniów. Zdażyli wydrążyć m.in. 3 hale. Mają około 6 m szerokości, 15 m długości i 8 wysokości. Podziemia były zaopatrzone w prąd; do dzisiaj widać też resztki instalacji wodnej. Miały się tu znajdować kompletnie wyposażone sanitariaty.

Pod ziemią można było po prostu normalnie żyć.

Prawdopodobnie do labiryntu pod Wzgórzem Kościuszki prowadziło 7 wejść. Oficjalnie tylko jedno z nich jest dostępne. Pozostałe są albo zawalone, albo zamurowane. Ktoś jednak po nich ciągle chodzi. W 1999 roku do budynku LOK-u na wzgórzu włamali się złodzieje. Być może weszli od dołu.

Mieczysław Bojko z Towarzystwa Eksploracyjnego „Talpa” twierdzi, że podziemia kryją jeszcze wiele tajemnic.

– Trafitem na miejsce, w którym znajdują się fragmenty silników raketowych do V-2 – mówi – Nie mogę dokładnie powiedzieć, gdzie to jest, bo zaraz poszukiwacze skarbów ruszą tam z koparkami. To odkrycie utwierdziło mnie w przekonaniu, że na Dolnym Śląsku ciągle można jeszcze coś znaleźć.

Podziemia pod wzgórze Kościuszki przy wyjątkowych okazjach są udostępniane do zwiedzania. W części korytarzy ma powstać restauracja, są też dalekie plany, aby otworzyć tu podziemną trasę turystyczną.

Muzeum Górnictwa Podziemnego w Nowej Rudzie

57-402 Nowa Ruda, ul. Obozowa 4
tel. 074 872-35-01 do 05 wew. 54-11

Muzeum znajduje się na byłym polu górniczym „Piasz” kopalni Nowa Ruda, niedaleko drogi Wałbrzych – Kłodzko. Obejrzyście tutaj bardzo ciekawą sztolnię o długości 700 m. Znajduje się w niej pełne wyposażenie, przede wszystkim sprzęt służący do zabezpieczenia pracy górników. Na powierzchni unikalne w skali światowej piece szybowe i obrotowe służące ponad 100 lat do prażenia łupka oraz zabytkowe i nowoczesne wieże szybowe. W niewielkim muzeum znajduje się ogromny przekrój kopalni, modele maszyn, środków transportu oraz oryginalna dyspozytornia, która niegdyś była sercem kopalni – centralnym punktem informacji i kierowania ruchem.

Zwiedzanie podziemi trwa około 45 minut, sal wystawowych – 30 minut. Muzeum jest czynne codziennie oprócz niedziel. Pierwsze wejście o godz. 9, ostatnie o godz. 11.

Muzeum Przemysłu i Techniki w Wałbrzychu

58-300 Wałbrzych, ul. Wysokiego 28
tel. 074 822031 w. 1221

Muzeum ma swoją siedzibę w Zakładzie Górniczym „Julia”. Zabytkowy kompleks architektoniczno-przemysłowy kopalni pochodzi z połowy XIX wieku. Aż 21 znajdujących się tu obiektów objętych jest ochroną konserwatorską. Centrum kompleksu to dwie stalowe wieże z lat 1893-1902, które zostały wkomponowane w baszty, zbudowane wcześniej na wzór sewastopolskich baszt obronnych, używanych w czasie wojny krymskiej. Zobaczycie tutaj dokładnie jak wyglądała praca w kopalni. Do zwiedzania udostępnione są łaźnia, lampownia, magazyny, warsztaty, kuźnia i biura ruchu. Trasa podziemna biegnie przez XX-wieczne wyrobisko. Turyści mogą tu pojechać górniczą windą, obejrzeć sprzęt ratowniczy oraz urządzenia transportu: lokomotywy, kołowroty, wozy i przenośniki. W programie specjalnym jest też pokaz pracy maszyn wyciągowych z 1911 roku. W planach jest udostępnienie Lisiej Sztolni z XVIII wieku.

Zwiedzanie kopalni zajmuje około 2 godzin, można jednak regulować długość trasy. Muzeum jest czynne od wtorku do piątku, pierwsze wejście o godz. 9, ostatnie o godz. 11. Od czerwca do września wejścia we wtorek i czwartek o godz. 15.

Na sam koniec... wcale nie wychodzimy z podziemi

Pisałam dla Was kilkanaście tras turystycznych, które wiodą przez kopalnie, sztolnie i jaskinie. Kiedy dziś do nich wchodzić, wszystko wydaje się takie naturalne. Ściany są ładnie podświetlone, nikt nie pobrudzi butów, bo system schodków i przejść bezpiecznie prowadzi w najciekawsze miejsca, narzędzia górnicze są czystutkie i błyszczące. Czasami nawet sobie nie uświadamiacie, że nad głową wisi kilkanaście albo kilkaset ton skały, a w tych podziemiach zdrowie traciły całe pokolenia górników. Sztolnie, jaskinie, kopalnie żyją. Regularnie przyjeżdżają tu fachowcy, którzy co kilka tygodni opukują każdy kamień, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście do środka można bezpiecznie wchodzić. Prowadzenie podziemnej trasy to niejednokrotnie znacznie trudniejszy interes niż np. kupienie zamku, do czego Was namawiałam w poprzednich książkach. Dlatego też zrozumcie, gdy w Jaskini Niedźwiedziej nie będziecie mogli zrobić zdjęć, bo to szkodzi żyjącemu w końcu organizmowi, a w Osówce trzeba będzie założyć kask, bez względu na to, czy psuje fryzurę czy nie. Zejście pod ziemię to poważna sprawa.

Oprócz opisanych przeze mnie tras, zachęcam Was jeszcze do odwiedzenia dwóch byłych kopalni węgla kamiennego w Walbrzychu i w Nowej Rudzie, a także do zajrzenia do niewielkich jaskiń pod zamkiem Chojnik i na Witoszy w Stanisławowie. Właśnie w drodze na szczyt Wi-

¹ Rischmann był niezwykle barwną postacią. Miał dar jasnowidzenia, dokładnie opowiadał o przyszłości Ziemi. Losy proroka dokładnie opisałam w książce *Tajemnice, zamki, podziemia*.

toszy można obejrzeć 3 grotty. Pierwsza z nich, zwana Skalną Komorą znajduje się przy żółtym szlaku, tuż pod skałą z punktem widokowym. Skalna Komora ma około 11 m długości i nakryta jest potężnymi blokami granitowymi. Do wnętrza prowadzi 5 otworów, do których wiodą schodki. Nicco dalej przy żółtym szlaku spotkacie Ucho Igielne ze skalną półką, na której można usiąść, a pod samym szczytem Jaskinię Rischmanna¹. Legenda mówi, że tutaj mieszkał sławny XVII-wieczny pustelnik i wizjoner. Jaskinię noszącą jego imię tworzą 2 potężne granitowe bloki, które nakrywają przejście pomiędzy skałami. Wejście na Witoszę jest więc niezwykle ciekawe, nawet jeśli nie interesują Was podziemia. Tu jest po prostu bardzo ładnie. Warto też przejść przez Dziurawy Kamień, nazywany również Podziemnym Tunelem. To jaskinia znajdująca się przy czarnym szlaku prowadzącym na zamek Chojnik w Sobieszowie. Dziurawy Kamień ma około 20 m długości i kończy się 4-metrowym kominem, którym bardzo łatwo można wydostać się na powierzchnię. To wielka atrakcja przed kolejną przygodą, spotkaniem z samym Chojnikiem.

Na sam koniec chcę podziękować wszystkim Czytelnikom „Słowa Polskiego” i moich poprzednich książek za pomoc. Dostaję od Was setki listów. Nie zawsze daję radę na wszystkie odpisywać, chowam je jednak skrzętnie i o wszystkich pamiętam. Właśnie dzięki nim, a także Waszym uwagom, ciepłym słowom i materiałom mogły powstać *Tajemnicze podziemia*. Dzięki Wam poznaję coraz lepiej Dolny Śląsk i mogę się tą wiedzą dzielić z innymi. W czasie podróży zawsze mogłam też liczyć na bezinteresowną pomoc przewodników i innych osób związanych nie tylko zawodowo, ale i emocjonalnie z opisywanymi przez mnie miejscami. Kiedyś Jacek Duszczyk, badający od lat tajemnice Podziemnego Miasta Osówka zadzwonił do mnie i powiedział: „Chyba ze mną coś jest nie tak. Zamiast w nocy spać, to myślę o Osówce”. Jeżeli złapiecie już bakcylię, podobnie jak Jacka będzie Was gnało do poznawania kolejnych, niezwykłych historii. Jakoś tak się dzieje, że ludzie poszukujący spotykają ludzi podobnych do siebie i wtedy nie ma już szansy wyrwać się z niewoli tajemnicy. Bo przecież koło podziemi na ogół stoi ciekawy zamek, w zamku jest dziwne przejście zamurowane przez dawnego właściciela, właściciel ten zbudował kiedyś kościół, w którym wisiał obraz – wskazówka do rozwiązania pewnej zagadki, z zagadką związana jest opowieść o... Można by wymieniać bez końca. Nie liczcie więc na to, że pojedziecie sobie na wycieczkę i szybko o wszystkim zapomnicie.

Tajemnicze podziemia

Bawcie się dobrze zwiedzając te wszystkie podziemne cuda. Jeżeli będziecie mieli czas i ochotę uzupełnić podane przeze mnie informacje albo przekazać swoje uwagi, dzwońcie do mnie lub piszcie. Czekam z niecierpliwością.

Joanna Lamparska
tel. 071 3706133, fax 071 3706111
e-mail: j.lamparska@slowopolskie.pl
ul. Podwale 53 a
50-039 Wrocław



Bibliografia

- John Quincy Adams „Listy o Śląsku”, Oficyna Wydawnicza Volumen, Wrocław-Warszawa 1992
- Włodzimierz Antkowiak „Nie odkryte skarby. Przewodnik dla poszukiwaczy”, Wydawnictwo Lecki, Gdynia 1993
- Jan Biliński „Gmina Pielgrzymka i jej mieszkańcy”, Pielgrzymka-Lubin 1998
- Jerzy Cera „Tajemnice Gór Sowich”, Wydawnictwo AURH „INTER CERA”, Kraków 1998
- Tadeusz Dziekoński „Wydobywanie i metalurgia kruszców na Dolnym Śląsku od XIII do połowy XX wieku”, Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 1972
- Marck Dudziak „Riese. Tajemnica Gór Sowich”, Wydawnictwo JKM, Konin 1996
- Dariusz Garba „Riese. Das Raetsel um Hitlers Hauptquartier in Niederschlesien”, Heinrich – Jung-Verlagsgesellschaft mbH Zella-Mehlis, Meiningen 2000
- Roman Gorzkowski, Krzysztof Maciejak „Złotoryja i okolice”, Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, Złotoryja 1992
- Roland Gröger, Marek Sikorski „Na granicy legendy i wiary. Skarby sztuki i osobliwości Ziemi Kłodzkiej”, Wydawnictwo „Ziemia Kłodzka”, Nowa Ruda 1993
- Julian Janczak „Z kuferkim i chlebakiem”, PTTK „Kraj” Warszawa-Kraków 1998
- Jacki Kalarus „Tajemniczy świat Osówki”, Wydawnictwo J. Poniatowski, Nowa Ruda 1997
- Marian Kornecki „Złoty Stok, Srebrna Góra”, Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 1980
- Krzysztof Kwaśniewski „Podania dolnośląskie”, Skryba, Wrocław 1999

- Kinga i Krzysztof Maciejakowie „Złoto. Vademecum poszukiwacza”, Oficyna Wydawnicza ATUT, Złotoryja 1999
- Romana i Leszek Majewscy „Legendy i opowieści Ziemi Kłodzkiej”, Biuro Usług Turystycznych LIDER, Kłodzko 1998
- Krzysztof R. Mazurski „Góry Złote i Łądek Zdrój”, Wrocław 1999
- Michael Neufeld „The Guided Missile and the Third Reich: Peenemünde and the Forging of a Technological Revolution”, Rennenberg i Walker, 1993
- Richard Overy „The Air War, 1919-1945”, London 1980
- Christian Parma, Apoloniusz Rajwa „Turystyczne jaskinie Tatr”, Sport i Turystyka, Warszawa 1978
- Tomasz Przerwa „Opowieści srebrnogórskie”, Wydawnictwo Rzeka, Wrocław 1998
- Janusz Skowroński „Tajemnice zamku Czocha”, Agencja Wydawnicza CB, Warszawa 1999
- Robert S. Wistrich „Kto był kim w III Rzeszy. Leksykon”, Wydawnictwo Znak, Kraków 1997
- Igor Witkowski „Supertajne bronie Hitlera”, WIS-2, Warszawa 1998
- Zdzisław Zwoźniak „Alchemia”, KAW, Warszawa 1978
- „Dziedzictwo kulturowe Dolnego Śląska”, tom I pod red. Z. Kłodnickiego, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1996
- „Dzieje Złotoryi”, pod red. R. Gładkiewicza, Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, Złotoryja-Wrocław 1997
- „Podziemne trasy turystyczne Sudetów Środkowych i Wschodnich”. MIRWAL-ART 1998
- „Jaskinia Niedźwiedzia w Kletnie. Badania i udostępnianie”, pod red. A. Jahna, S. Kozłowskiego i T. Wiszniowskiej, Polska Akademia Nauk we Wrocławiu, 1989
- „Jaskinie regionu Sudetów”, pod red. M. Puliny, PTPoZ, Warszawa 1996
- „Polskie podróże po Śląsku w XVIII i XIX wieku”, w opracowaniu Andrzeja Zielińskiego, Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 1974
- Materiały z Internetu
- „Z kart historii. Zapomniani bohaterowie”, prof. dr Andrzej Twardowski
Strona poświęcona broniom odwefowym III Rzeszy
www.shadownet.top.pl/~mclon/wyb.html
- Pociski V-1 oraz V-2 www.aci.com.pl/~wywiad/v1.html
- zdjęcia archiwalne: archiwum kopalni złota w Złotym Stoku, archiwum „Słowa Polskiego”, Internet, zbiory prywatne
- Plany podziemi w Górach Sowich na podstawie Piotra Kruszyńskiego

Spis treści

Na wstępie schodzimy do podziemi / strona 3

Zmarli w złocie pochowani

*O dwóch rycerzach zamienionych w wilki * Czy naprawdę istniały krasnoludki? * Nadchodzą kreteńscy kopacze * Mnich przeklina górników * Tunel pod cmentarzem * Niemieckie skarby w kopalni * Ojciec Aurelii błąka się po sztolniach / strona 8*

Kilka praktycznych porad, jak zostać poszukiwaczem złota

*Gdzie szukać? * Jak szukać? * ABC płukania * W tych miejscach prubójcie szukać złota / strona 24*

Panowie w latających płaszczach

*Znalezieni na bagnach * Walończycy szukają skarbów * Po widelcu do złota * Duchy podziemi * Drwale i paszcza potwora * Światło czarnych świec * Jakub spotyka czarowników * Worek magicznych sopli / strona 30*

Arszenik i alchemicy

*Jak nie znaleziono eliksiru nieśmiertelności * Co ma Casanova do Złotego Stoku? * Górnicy żywcem pogrzebani * Zabójcze opary * Odmuchów ot muchów * Gertruda szuka męża * Konno do kopalni * Inwestycje Wita Stwosza * Ciężarówka z rosyjską wódką / strona 42*

Księżyc uwięziony w podziemiach

*Wybuch odkrywa wejście * Korytarze, których nie znamy * Piersi Afrodyty * Niedźwiadek zaklinowany na wieki * Kolos, który bał się ludzi * Grotolazi czołgają się przez szufladę * Podziemia pod podziemiami * Lwy pożerają chrześcijan / strona 58*

W poszukiwaniu zaginionej czaszki

*Śmiałkowie w wielkich kosztach * Jednorożec na szczęście * Wrzody cudownie uzdrowione * Kto opiłował kły? * Człowiek sprzed tysięcy lat * Ani śladu po dowodach * Tajemnicze troglodyty * Podziemne jezioro * Smok o trzech głowach / strona 70*

Największy strażnik Europy

*Ciężarówki pełne skarbów * SS wysadza forty * Kanonier na Panińskiej Ścieżce * Śląski Gibraltar * Makieta dla wtajemniczonych * Prezydent i zbójnik w jednej stali twierdzy * Ucieczka na miotłecce * Tragiczny wystrzał / strona 76*

Złodziej warkoczy

*Zaczarowany prezent dla króla * Złotowłosa diaboliczna * Komendant włamuje się do kościółka * Bęben z ludzkiej skóry * Jak się zakraść pod armatę? * Piękna trucicielka morduje kochankę * Baron w kłocace * Skarby II wojny światowej / strona 96*

Życie codzienne w podziemnym mieście

*Jak upiec w piwnicy chleb * Miasto zapada się pod ziemię * Kłódzko po trzęsieniu ziemi * Nietknięty spadek historii * Na ratunek Starówce * Speleolodzy w czarnym labiryncie * Prosta różnica między gilotynami / strona 112*

Olbrzym śpiący pod skałami

*Hale jak wielkie grobowce * Schron czy laboratorium atomowe? * Radzieccy saperzy na Wielkiej Sowie * Najpiękniejsza kwatera Hitlera * Eksperymenty w starym zamku * UFO wylatuje ze sztolni * Zawalone ciężarówki * Kto grozi poszukiwaczom? / strona 120*

Ślady Raketowego Barona?

*Tunele przy drodze * Zdrada pociąga zdradę * Sily ciemności wznoszą szubienicę * Komnata ze szklanym dnem * Cudowna broń Hitlera * Wernher von Braun przyjeżdża na Śląsk * Od V-2 do lotu na Księżyc * Obrazki zamknięte w kryształach / strona 150*

Labirynty Uranosa

*Sen kowala * Kryptonim BONIT * Ilu robotników pracowało w podziemiach? * Wieś strażników tajemnicy * Nadchodzą radzieccy naukowcy * Rynek zapada się pod ziemię * Labirynty Uranosa * Woda, która przywraca męskość / strona 168*

Fabryka śmierci

*Plany siedmiu hal * Maszyny zabierają ludzi * Jak sztolnie zabity saperów * Co jest w podziemiach? * Śmierć sponsora * Niemka wie gdzie są hale * Skrzynie ukryte w zamku / strona 178*

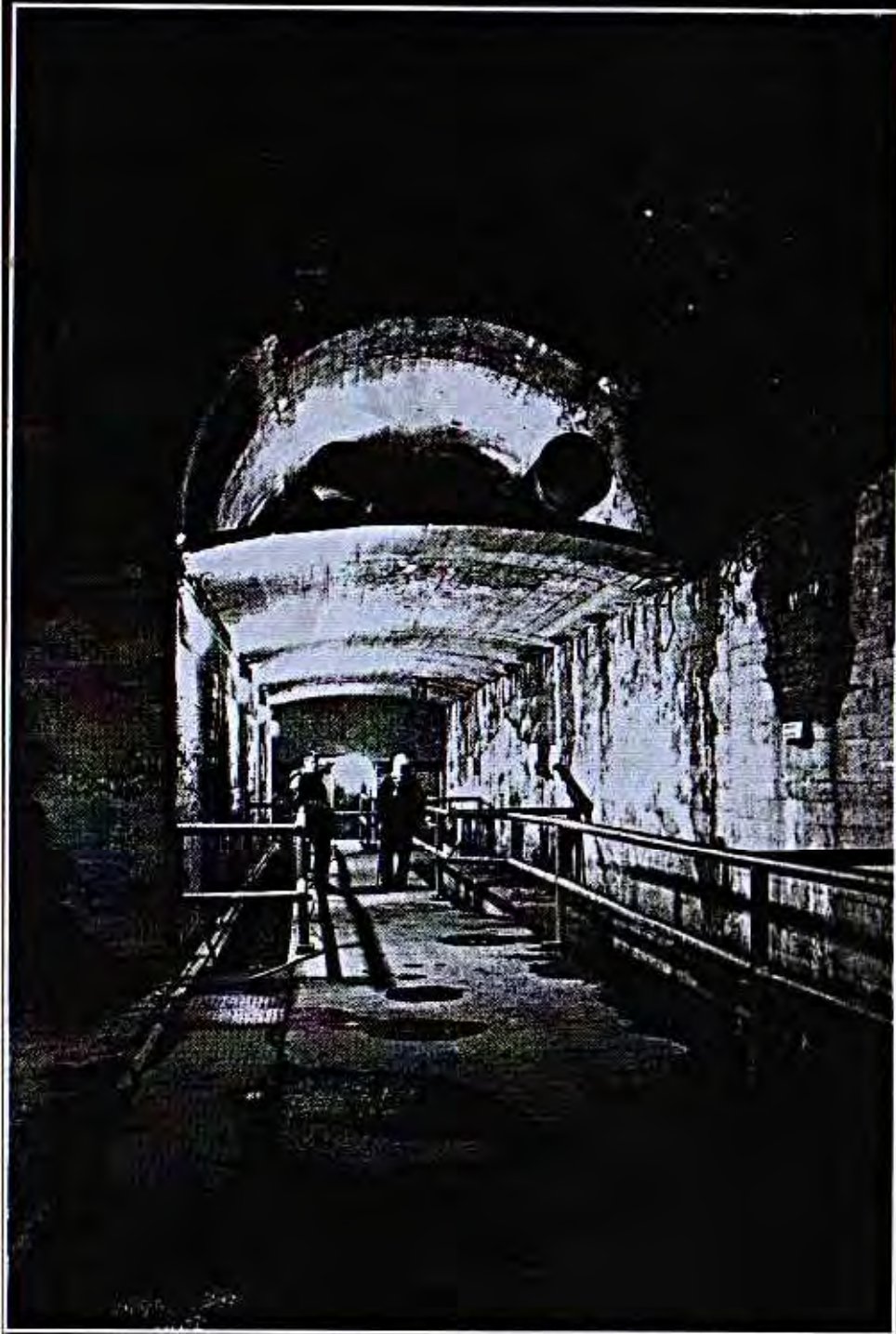
Spacer pod parkiem

*Tysiące ludzi ucieka do schronu * Każdy kamień ma swój numer * Ratusz dla wybranych * Sztab zarządzania kryzysowego schodzi pod ziemię * Sensacyjne odkrycie * Bunkrowa restauracja / strona 182*

Na sam koniec... wcale nie wychodzimy z podziemi / strona 188

Bibliografia / strona 191

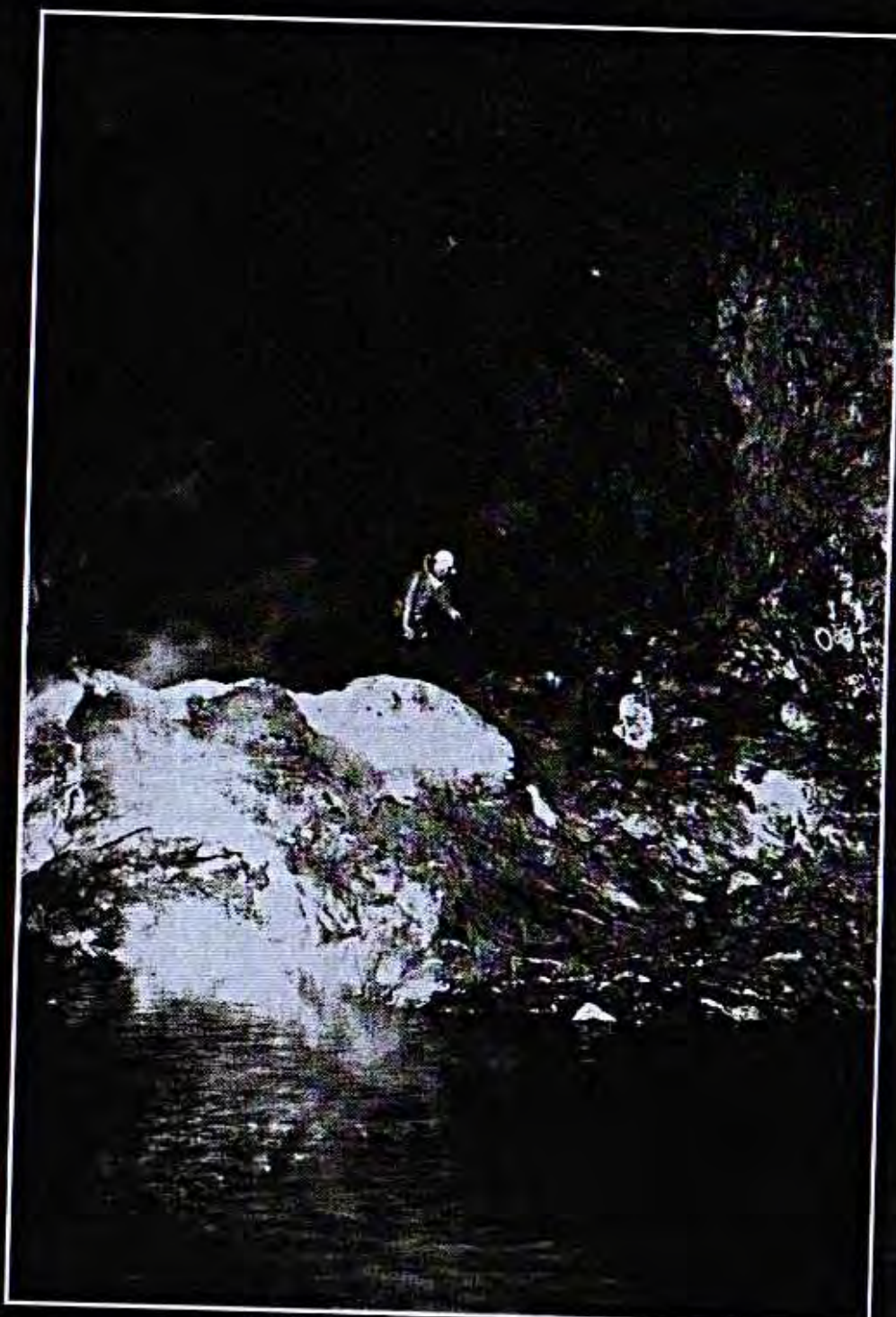
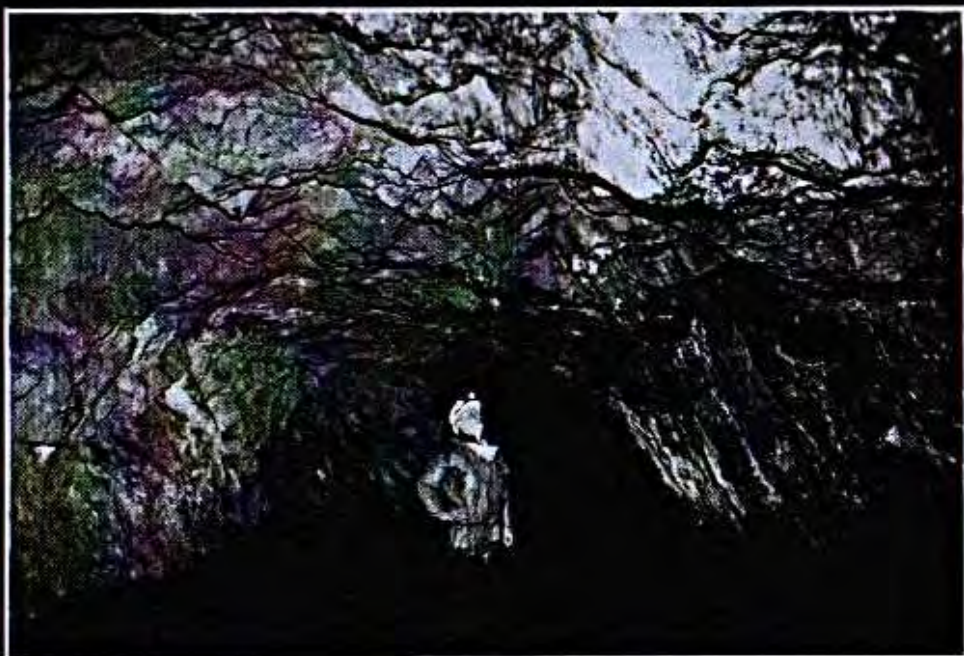




2. Walim. Częściowo obetonowana sztolnia, podobnie, jak pozostałe podziemia, porzucona w trakcie budowy.



3-4. Tajemnicze Miasto Osówka koło Głuszczy – największe, udostępnione do zwiedzania podziemia w Górach Sowiach.

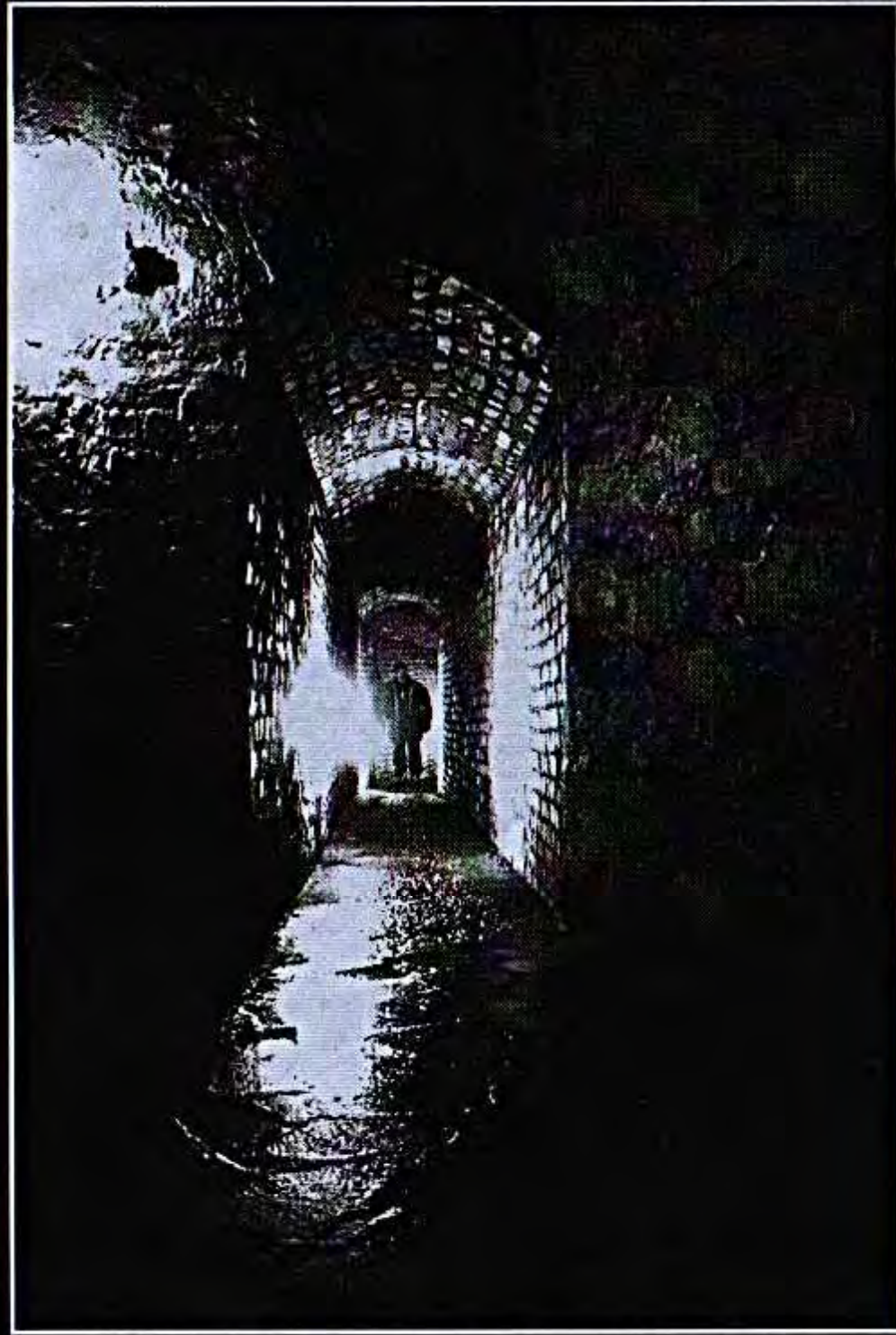


5-6 Włodarz — największy, częściowo niedostępny

7 Włodarz — część niedostępna



8-9. Jaskinia Niedźwiedzia – piękno stworzone przez naturę.



10. Podziemne Kłodzko – te korytarze biegają pod Starym Miastem.



11. Korytarze pod Wzgórzem Kościuszki w Jeleniej Górze.



12. Sztolnie nawiedzane przez duchy – kopalnia złota w Złotoryi.